# JADŹWINGOWIE

TOM I.

WOLNO DRUKOWAĆ,

*Z warunkiem złożenia prawem przepisanej liczby Exemplarzy w Komitecie Cenzury.*

*Warszawa dnia* $\frac{6}{18}$ *Grud.* 1844 *r.*

STARSZY CENZOR i NACZELNIK K.C.R.

*NIEZABITOWSKI.*

W DRUKARNI T. WYSZOMIERSKIEGO.

# JADŹWINGOWIE

## POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

NAPISAŁ

**J. A. Miniszewski.**



Patrzcie o Giaury, jam siny, blady
Zgadnijcie czyim ja posłem?...

*ALPUCHARA.*

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM AUG. EMMAN. GLÜCKSBERGA,

PRZY ULICY MIODOWÉJ, N⁰ 497. POD FILARAMI.

1845.

TOWARZYSZOM MŁODOŚCI

NA PAMIĄTKĘ PRZYJACIELSKĄ

TĘ POWIEŚĆ POSWIĘCA

AUTOR.

# I.

— Nuże kapelo, zagrzmij huczno! Ho, ho, za moich czasów nie bywało tako, iżby zadrzemała drużyna. — Hej, mołojce i dziewki, dalej w tany, bo jakem Starosta, przyciągnąwszy pasa powiodę *mazowieckiego*! 1)

— Ha ha ha, Panie Starosto, obróćcie się na Pana Boga, a potém zliczcie krzyżyki na waszym karbie — zobaczymy co z tego będzie? zawołał śmiejąc się Wojewoda.

— Jakem Starosta, chociażby siedm z górą! — Hej kapelo, *mazowieckiego*! tylko huczno; — z moją Marysieńką — Kochanciu, pójdźmy w tany

— Boże odpuść! — Co też Jegomości do głowy przyszło! I nie boicie się Panie mężu, żeby pruchno nie sypało się za wami?

— Marysieńko kochanciu! zapomniałaś, jak widzę, jakto bywało za naszych czasów...

— Obadwa pono zapamiętamy jedno, rzekł Wojewoda Jan Kostka; — ale, Panie Bracie, nie zapieram się, że choćby najweselsza drużyna, najurodniejsze zebrały się dziewki — za drugiemi kurami kleiły mi się oczy.

— Hola Wojewodo! Bóg widzi jako pierwszego nie słyszałem jeszcze kura, chociaż od pieluch zwykłem pilnować się téj pory — i nie rozumiem wcale dla czego niknie ochota.

— Najwięcéj naszą to dzieje się winą. —

— A to w jaki sposób?

— Oto panie Starosto, nie przykładamy się jak należy do kielicha — a młodzi wtedy najśmielsi kiedy u Panów Ojców czeremere w głowie....

— Nieto, nieto Wojewodo! Bywało za moich czasów ostrzéj na młodych jak dzisiaj. Jakem Starosta! kiedy przy rodzicach gnieździłem się jeszcze — mróz czy lato, sypiało się, kożuchem przyodziawszy, na dworze. Mater dei! kiedy to razu jednego schwytał mnie rodzic w pościeli pierzanéj na oborze, kędy matka litując się niedoli tajemnie mięciuchne zrobiła mi posłanie — kiedy to nie pochwycił nahajki... niedość tego — chociaż to nie przy Wielkiéj-nocy, lodowy otrzymałem dyngus, aż mnie po nim zimno do drugich

kur trzęsło. Takto bywało. — Na drugi dzień poklepał ojciec po ramieniu, kiedy ściskałem go za nogi i dał czarę miodu, bym wypił za własne zdrowie — a potém w las! na tura łowem; a i to bywało bez łuku, jedno z dzirytem lub spisą — oko w oko bestyi! Ho, ho — pomimo onéj karności, jak tylko zebrała się drużyna, a zabrzmiała kapela — starzy, posiadawszy na ławach, przypatrywali się pląsom, a rodzic wołał na mnie: «śmiało Jacku!.... żwawo!... dziś święto dla Asze-ci.» Także uścisnąwszy Pana rodzica za nogi, hula babula! dopótym wywijał, dopóki nie domacałem się podłogi gołemi palcami. A rodzic uśmiechał się jeno, chociaż nie miał zwyczaju przebierać miarki. Bo to, bywało, Panie Wojewodo — dosyć spojrzawszy na pląsy młodzieży, już jakieś czeremere świdruje po głowie. — Boże odpuść! — ale człowiekowi przybaczy się pustota i radby wyskoczyć razem z młodymi!....

— Jak bywało tak bywało — jam gospodarz, rzekł Wojewoda: winienem dogodzić każdemu z gości; — wynieśmy się lepiéj do mojéj alkowy — bo młodym zazwyczaj kolką w oku starzy. My sobie zagadamy o dawnych czasach — panie matki niechaj pilnują dziewek.... Panie Starosto, Panie Bełcho, Panie bracie, Panie somsiedzie, — nuże! — nuże! —

I wnet Wojewoda powyciągał starych do drugiej komnaty, zasiedli kołem wedle stoła, srebrne puchary zabrzękły, miarą płynął miód z beczołki a wspomnienia zagrały gwarem. Jakto i dzisiaj bywa, gawęda cały wieczór nie potrwa o jednem — powoli powoli, cofnęła się do przeszłości za dwadzieścia latek i uwięzła pomiędzy Jadźwingami.

— Bywało, Panowie bracia, mówił Starosta, nie był człowiek nigdy na swoiej zagrodzie bezpieczny, póki ten ród Jadźwingów gnieździł się po lasach. Jako Tatarzy na Rusi i MałoPolsce, tako Jadźwingowie plądrowali Polesiu kraje przyległe dokoła. Z szablą człowiek sypiał, a kolczugi nie zdejmował z siebie, bo to dniem czy nocą spodziewałeś się owych gości niemiłych. Mater dei! bywało, kiedy jeszcze gnieździłem się u rodziców doma, mało dwadzieścia razy potykałem się z tym niecnym rodem. A tu pan ojciec na jesieni woła: »Jacku wyleniały futra na niedźwiedziach; łyskają się gdyby aksamit wenecki — ruszaj Asześć do kniei rozprawiać się z mrukami!« Takoż człowiek, chociaż w duszy rad łowom, obawiał się Jadźwingów. Bo to, bywało, gonisz za łosiem lub turem, aż oto stawa ci przed oczy w niedźwiedziej odzieży Jadźwinga jeden i drugi — oko w oko — i łuk napina

wołając: « A ty Lachu co w naszym porabiasz lesie? oddaj zdobycz i broń twoją!» Bywało panowie bracia, miasto żądanego haraczu — »Czego chcesz poganinie?» po karku jeśli równi liczbą — a jeśli chmara, to w nogi. Boto lud zręczny w potykaniu się pieszo i silny — Sercem zaś niezrównany — bo nie widziano, aby kiedy Jadźwinga po porażce został żyw który — i ztąd klęski narodu ich wielkie, że woleli umierać jak uchodzić z pola — a nie pytali nigdy o liczbę tych którym stawali na oczy.

— Chwała Ci Boże wielki! Odwróciłeś przynajmniéj plagę tę od nas! — mówił Belcha.

— A natomiast krzyżaki stają nad karkami, rzekł inny.

— Inna to sprawa, zawołał Starosta: z krzyżactwem boje według czci i wiary — młody jakby w szkole ćwiczy się na harcach z Niemcami a starsi bez ubliżenia czci, z boską pomocą, i szablą poczciwą, nie mają co lękać się zdradzieckiego napadu. Ale to Jadźwinga niespodzianie napada, i nim podążysz chwycić za szabli rękojeść już eś bywało na ziemi broczył krwią własne dziedziny — i patrzysz na dworzec gorejący z całym dostatkiem, żoną i dziećmi, jeśli tych nie uprowadzili Jadźwingowie do koczowisk swoich.

Wojewoda siedział zadumany i słuchał tylko,

a po czole sunęły się chmurki ćmiąc zwyczajną szlachetnym rysom pogodę. Czarne oko błąkało się bez celu po izbie, a dłoń głaskała pieszczotliwie siwą brodę że włosy trzeszczały, co było oznaką zwyczajną posępnych Wojewody myśli. Starosta napomknął jakoś gawędę do Wojewody przygód, ocucił się z zadumy stary wojownik, a pociągnąwszy z puchara tak opowiadać zaczął. —

—Dziwne to czasy, Panowie bracia — dziecinchem byłem jeszcze drobnym — ale pomnę jak nieraz o moje uszy obijały się imiona Księcia Konrada Mazowieckiego; Bolesława Pudika 2) — to Batego z Tatarami, to Litwy i Jadźwingów napady. — W szczęku oręża rodził się człowiek i z szablą wzrosł na wojownika się kierując z malenkiego, jakto zwyczajnie u nas. Macierz bujając kołyską śpiewała a brząkała o stalową tarczę — takci człowiek z pieluch nawyknął do zgiełku i wrzawy wojennéj, zda się że i umierać przyjdzie przy odgłosie jednejże kapeli.

Dziś lato pańskie 1306, a kiedy człowiek patrzał przed kilkoma niedzielami na elekcyą Króla Władysława, trudno uwierzyć samemu sobie, iżbym ja to w istocie widział, co widziałem. — Zrodziłem się przy schyłku panowania Leszka Białego, zda mi się, że widzę jeszcze roniącego łzy

rodzica kiedy powziął o śmierci tego Króla wiadomość, a było to jakoś 1231 roku. Sporym już byłem chłopięciem kiedy opowiadano mi przygody biednéj sieroty Bolesława Pudika i dobréj jego macierzy. Takto zazwyczaj cisną się opiekuni do bogatéj sieroty, chociaż nieproszeni, a cóż dopiero do książęcéj głowy. Luboć to tam człowiek słyszał w późniejszych łatach, z drobnostkami wszytkiemi, owe Książąt Henryka Szląskiego i Mazowieckiego Konrada spory o wychowanie małoletniego monarchy, nie wlepiło się to przecież w serce chociaż uwięzło w pamięci, a to człowiek najmiléj wspomina co zachwycił do serca gdy wzrasta współcześnie wypadkom. Rodzic mój długi wiek strawił na służbach u Księcia Konrada, rzadko zajrzał do rodzinnéj zagrody, jeno wiecznie to uganiał za Tatarem, to za Litwą i Jadźwingami, to ścierać się musiał z bratniemi ludami Mało-Polan lub Szlązaków. Rodzic bić musiał i serca był hartownego na boje; kiedy wmięszał się to i bił uczciwie, niepytając za co bije i po co, ałe bił dłatego bo swojemu Księciu na to zezwolił. Nieraz, pamiętam, gwarząc w towarzyszy kole o sprawach Księcia Konrada, sarkał rodzic przeciwko pana tego niesłuszności w kłótniach częstych z sąsiadami, lub w uciemiężaniu biednego Księcia Bolesława po-

wierzonego mu w opiekę. Pamiętam (opowiadał Wojewoda) kiedy doniesiono mu że Konrad, dowiedziawszy się o porozumieniu Henryka Szląskiego z Królową wdową i młodym Królem, które chciał Henryk przeciągnąć ku sobie, otóż wtrącił Bolesława wraz z matką do Czerskiego zamku, chcąc ich głodem umorzyć. Ale nie widząc tam więźni swoich bezpiecznymi, przewiózł ich do Sieciechowskiego klasztoru nad Wisłą, polecając mnichom strzeżenie ich pilne. Nie mógł tego przenieść na sobie rodzic kochany, a podziękowawszy Bogu iż nie wplątano go w tę sprawę, ślubował wybawić nieszczęśliwe panięta z więzienia. Konrad był serca okrutnego: przewidywał to rodzic iże żywi ztamtąd nie wyjdą więźniowie — a ztąd i klęski najokropniejsze na Konrada spadną, jeżeli powstaną mściciele. Było zaś i Królewica żałosno i upadku Konrada: co więc umyślił dokonać rodzic, poszło to na korzyść stron obu, a na jego uczciwość razem. Któż w owym czasie nad Przybysława z Rostkowic więcej miał względów Książęcych, więcej u narodu miłości, u postronnych sławy? (3) Takci rodzic ledwie pokazał się w Sieciechowie a słowo rzekł Opatowi, wnet pobożnego kapłana nakłonił iż podjął się uwolnienia więźniów. Jakoż udało się rodzicowi szczęśliwie tak wszystko ułożyć, że ani

zemsty ani podejrzenia nawet nie ściągnął i na siebie i na Opata za udział czynny. Powiedziano Konradowi jakoby orszak rycerzy nocą wedrzeć się miał do klasztoru i uprowadził ze sobą Bolesława i jego macierz, nim zdołano poznać ich liczbę i zabrać się do pogoni. Do śmierci pono nie wiedział Pudik ktoby mu oną głównie wyświadczył przysługę, bo rodzic mój nie rozgadywał tego co robił, a robił tylko swoje. Na dobre wyszło Pudikowi to oswobodzenie, albowiem wnet z Henrykiem zgodnie do ładu przyszli, rozdzieliwszy państwo pomiędzy siebie.

« Już wtedy i szablę dźwignąć byłem w stanie, kiedy okropna chmara Tatarów pod dowództwem Batego wdarła się do Polski. (4) Pamiętacie panowie bracia i wy, a drudzy z opowiadania znacie narodu owego drapieżność. Pocóżbym wam opowiadał to uprowadzanie dziewic, te rzezie i mordy, ową klęskę w jednéj bitwie, gdzie tyle poległo naszych iż uciąwszy jedno ucho każdemu, poganie dziewięć ogromnych worów uszami temi naładowali. Przeszła ta szarańcza aż do Odry i dalej, plądrując Morawją i Czechy; najbiedniejsze zaś pobratnich ziem Ruskie Książęta, poszli wszyscy w jarzmo pogaństwa, ulegając przemocy. Po kilka razy wracała ta

dzicz, i do dziś wyglądasz jeśli nie Litwy to Tatara, onych nieproszonych gości do ciężko zapracowanego kawałka chleba.

• Było to jeszcze przed Tatarami kiedy Konrad z Bolesławem wojując, pobit był u Suchodołu. Dopóki pogaństwo gościło u nas, nie miał czasu do pomsty, a i niepotrzeba tego było, bo Bolesław tułać się musiał, do obcych przed nieprzyjacielem uchodząc. Dziwna to kiedy z teściem Belą, Węgierskim Panem, uciekając obadwa wzajemnie do siebie, a obaj od jednychże Tatarów naciskani, zeszli się obaj na Tatrach. Niebardzo to było i na chlubę obudwu zostawiać naród bez pana w tak ciężkiej potrzebie, aleć to tam znaliśmy już do Pudika jako on niemęzkiego wcale serca; nie troszczono się tedy zbytecznie o niego, bo kiedy ustąpili Tatarowie pojawił się Monarcha zdrów i cały. Wnetci Konrad przy pierwszem uspokojeniu się kraju zebrał ludu i ciągnął przybrawszy i Litwę, i Jadźwingi, aby niszczyć kraje Bolesława, ku któremu jakoby zaprzysiężoną do śmierci chował nienawiść. Przybiegli poganie od Konrada na pomoc przyzwani a poczęli okropnie kraje niszczyć, zwłaszcza Sandomierskie, uprowadzając dobytku i ludu co nabrać mogli

tylko. Ale gdy Konrad nie wypłacał im żołdu przyobiecanego, za niewiarę przeciw niemu samemu obrócili oręż i Mazowsze plądrować poczęli ogniem i mieczem, niszcząc kraj od Wisły do samego Ciechanowca. Płock cały spalili, jeden tylko ocalał zamek; aż szlachta zebrała się, a najwięcej Łęczycanie i Mazury; pogromili pogaństwo, odebrali im łupy i odparli daleko. W tymto czasie rodzic mój Przybysław za pojmanie kilku Książąt Jaćwierzy dostał był Prasnysz wdziedzictwo wieczyste od Konrada. Ledwie upokorzona Litwa i Jadźwingowie zadrzemali na chwilę, wnetci Konrad począł wojować z Bolesławem i zaraz wtargnął do Mało-Polski, aż też widać Bóg sam litując się biednego ludu ucisków, zabrał go do chwały swojéj roku 1247 po narodzeniu Pańskiém. Niedługo po nim rodzic mój opuścił świat ten, a jam najstarszy z rodziny zastąpił siostrom ojca, biorąc na się rząd domowy — a tu razem i szabli z ręki nie popuść, bo nie było lata bez kłótni, bez wojny lub napadu Litwy albo Tatarzyna. Nogaj i Telebug, dwaj Chanowie Tatarscy, niemniejsze poczynili Polsce i Rusi krzywdy jako sam Baty. Aż tu i Mendog ze Swarnem wodzem swoim, niszczą biedne Mazowsze całe, palą Płock, co ledwie porosły po Jaćwierzów splondrowaniu zaczął przychodzić

do siebie; Semowit Książe oddaje głowę okrutnemu Swarnowi, a Konrad syn jego ledwie ogromnym ocala się okupem. Pobożny Bolesław Książe Kaliskie poratował dopiero lud uciśniony, dodając i wojska i żywności i rzemieślnika coby popalone wsie i miasta z gruzów podźwignąć. Bóg wie jakby jeszcze długo nieszczęścia owe potrwały, gdyby nie kłótnie pomiędzy Litwą wzajemne, które przywiodły ich do rzezania siebie samych, jakby wroga, bratnią krew tocząc.

Pierwszy raz to dopiero podobno Król Bolesław pomyślał o pomszczeniu się na wrogach za klęski poddanym jego zadawane. Bo też i narzekania ludu ze wszech stron nie dawały mu pokoju, tak iż umyślił wyprawić się na uskromienie Jadźwingów. Jako rodzic mój Przybysław z Rostkowic służył wiernie Książętom, wzdy ich sprawy broniąc, tako i ja utrzymując chwałę imienia, jako dziedzic jedyny do dzisiaj służby moje powolne w każdéj niosę im potrzebie. Co tylko pojąłem małżonkę, nacisła potrzeba — i bacząc na ojca chwałę spieszyłem na bój krwawy, zostawując w domu młodą i piękną połowicę. Ciągnęliśmy z Pudikiem prosto na Podlasie, kędy główne Jadźwingów były siedziby, a ciągnęliśmy z tém postanowieniem, aby

ród niecny do szczętu wygładzić, a było to roku 1264.

« Dowiedzieli się wcześnie Jaćwierze o zbliżaniu się naszém i wnet zebrali się w liczne hufy, oczekując nas na ciasnej między borami dolinie. Było to już wieczorem kiedy ujrzeliśmy poganów przed sobą, a chociaż radzi jak najprędzéj na nich uderzyć, bo każdy klęski od nich jakowéjś doświadczywszy, w sercu chował nienawiść, słońca zachód jednakże nie pozwalał wdawać się w sprawę, zwłaszcza z ludem świadomym miejsca a walczącym sprawnie choć pieszo. Odśpiewawszy tedy pieśń Boga-Rodzicy rozłożyliśmy się na noc pośród lasu obozem, oczekując jutrzenki, z któréj pierwszym brzaskiem bój mieliśmy rozpocząć. Jadźwingowie podobnież nam radzi téj zwłoce, udali się w przeciwną stronę lasu, porozkładali jako i my ogniska, ranka do bitwy czekając, ubezpieczywszy się strażami dokoła. Dolina środkująca pomiędzy nami była pusta i przez nią widzieliśmy wzajemnie swoje obozy, a krzykami z obu stron podżegali się do zajadłości większéj w jutrzejszéj bitwie. Niedługo przecież po trudach dziennego pochodu zasnęli z obu stron żołnierze i cichość nastała ponura. Zaledwie pierwszy sen zakleił powieki, rozbudziły nas hasła strażników naszych, porozstawianych

w różnych okolicach obozu. Jaćwierzeć to, zaledwie pierwsza zakwitła rumieńcem zorza, już okrążyli dokoła nasz obóz i ze wszech stron na niespodziewających się tego umyślili uderzyć. Dość przecież wcześnie spostrzegli ich strażnicy i wystarczyło czasu do pochwycenia miecza, a doskoczenia, nierozbieranego na noc z rynsztunku, konia.

»Natarcie ze strony pogaństwa było silne, wytrzymali je nasi na lewém skrzydle potężnie i zmusili pogan do wolnego cofania się i formowania w jednę massę na równinie. Jadźwingami dowodził Książe ich Komiat, przebiegły, odważny i silny; przebiegał swoich hufy w różne strony, zachęcając słowami i przykładem; a był to mąż dzielny: sam widziałem jak harcował w pojedynczych walkach, jak łamał naszych zagony i wszędy zwycięzca. Bolesław uniesiony ambicyą czy też i męztwem wrodzonem, które w najmiększéj piersi odezwie się na polu bitwy, uderzył z mieczem w ręku na piesze Jaćwierzy zastępy i gromił ich potężnie, kiedy Komiat zwrócił się ku niemu dziki wydając okrzyk. Komiat był rosły i silny, jedném cięciem powaliłby był Bolesława: wypadało poddanemu zasłonić go swoją piersią i zastąpić mieczem. Pędząc jak strzała ku Królowi, Komiat spotkał ostrze

mojéj włóczni i wskróś przebity upadł, raz jeszcze wydając okrzyk dziki, okrzyk co strwożył Jadźwingi i przeraził ich serca Gdzie nie masz wodza, a zwłaszcza gdy go brakuje pośród bitwy, tam biada najdzielniejszemu rycerstwu! Tak stało się i z Jadźwingami: górując nad nami liczbą a równi sercem i dłonią, widocznie z pola nas, by odparli byli, gdyby nie śmierć ich wodza. Komiat zginął, ta wieść przebiegła od hufu do hufu i jednych do rozpaczy przywodziła, drugim zabierała serca potrzebne w trudnéj sprawie.

Przeważyło się na naszą stronę zwycięztwo, z niemałym przecież krwi okupem; Jadźwingowie bowiem nie mają nigdy zwyczaju ustępować z pola, jako walczący najwięcéj pieszo — otóż dopóty trwała bitwa, dopóki ostatni z nich utrzymać się mógł na nogach. Legło ich wiele tysięcy, mała liczba uszła, nie tak lękając się śmierci jako w myśli przestrzeżenia swoich w koczowisku o klęsce okropnéj Jakoż po bitwie wtargnąwszy w głąb ich krainy, zastawaliśmy tlące się chatki, ogołocone z mieszkańców; gdzieniegdzie tylko starzec osłabiony, łzami skrapiał pożogi, woląc oddać głowę pod miecz zwycięzców, niżeli opuszczać gniazdo rodzinne — czekał z mieczem w drżącéj dłoni przybycia nieprzyjaciela. Pogoniliśmy ku Niemnowi u-

chodzące resztki Jadźwingów, nieocalając upartych. Wiele ich przecież z modłami przyjęło nas w swych kniejach, poddając się i przyjmując świętą wiarę Chrystusa. Wiele żyznego kraju zostało bez ludu — otóż Bolesław w ten nowo podbity kraj naprowadził ludu z Rusi — i znamienitszym porozdawał rozległe ziemie. Takoż i mnie dostała się ta dzisiejsza dziedzina moja, w której upodobałem sobie więcéj jako w Prasnyszu, ojca puściźnie. Boć to człowiek zawzdy przylgnie do swojéj pracy ochotniéj — a jeśli miło wspominać lata młodzieńcze, takci miło zjeść kawałek chleba własną zapracowany dłonią i krwią okupiony własną.

« Mijały, mijały latka, zawzdy w pracy, to z Tatarem, to z Litwą, jakto bywało i będzie wzdy na Polskiéj ziemi. Zmarł król Bolesław o lecie Pańskiem 1278, a Leszek Czarny synowcem będąc, nastąpił po stryju na Monarchiją Polską, zaczynając panowanie swoje od tańca z Tatarem który go miał ochotę w Krakowie nawiedzić. Nie wyszło nikomu na dobre z Leszkiem zagrywać w kłótnie, pan to bowiem był dzielny i bił dobrze nieprzyjacioły. Pamiętamy go wszyscy, nie trzebać mi się długo nad nim rozwodzić, bo co u mnie na ustach to i w waszych sercach nie drzemie; co działał jeden mieczem, to nie prze-

ścigał drugiego; otóż prowadzę do tego co mi na sercu najcięższe, prowadzę do Jadźwingów, tego nienawistnego mi ludu.

« Było to w dwa lata po wstąpieniu na tron Leszka, jam wtedy już szronieć na czuprynie poczynał, a cicho bywało jakoś od Litwy, drzemały resztki Jadźwingów spokojnie, pomieszani z Ruskim ludem. Jakto wzdy bywa, kiedy człek pierwszy siwy włos zobaczy, toć zda mu się, iże go spoczynek czeka na stare lata, gdy tymczasem praca zachwycić może tym cięższa. Chociaż nie bywało owych napadów jako za Mendoga, wpadali przecież często gęsto przez Niemen ku naszej stronie drobnemi oddziałami, to Litwa, to Jadźwingowie, urywając to luda, to dobytku potrosze. Nigdy człowiek nie zasnął spokojnie, by mu przed snem i we śnie nie przyśnił się Jadźwinga. Jedyna córa była dla starości mojej całą nadzieją. Bożenę dał mi Bóg w pierwszym roku naszego pożycia, i ona była pierworodną i ostatnią dziedziczką. Niemając synów, spuścić imienia chwały nie było komu, takci człowiek i zalegał pole ku końcowi. Zawsze przecież żyło się jak żyją ludzie: — grzebiąc w roli, Polskie to gospodarstwo: —zasiać na zimę, wypędzić Tatary pomagające sprzątać Mało-Polanom snopki z pola, a potém kiedy jesień

twarda, tuż zima, znowu potańczyć z Tatarem na stepie, z wiosną uścisnąć się z Jadźwingami, z Litwą, i znowu siejba, a dalej żniwo i Tatary znowu. Na zabawkę tylko pomiędzy książętami, różnemi czasy, kłótnia parę zamków w gruz rozsypie, krwią bratnią pokropi niwy — snać to siejba na wojnę coby u nas wzdy kwitła.

• Było to na jesieni, co tylko powróciliśmy z łowów i przy ognisku do gawędy zasiedli, przypadł goniec od was panie Staresto, przyzywając przeciwko Jadźwingom na pomoc. A naciśli was jakoś to niespodzianie, bo na okopach zamczyska stanąć nie było komu i w blankach tylko jedyny i ostatni widzieliście ratunek. (5)

— Tak, przerwał Starosta; bywało nie powrócili jeszcze moi z łowów tedy, a wszystkich co było do obrony zostało piętnastu, szesnasty biegł do was szukać pomocy.

« Zerwaliśmy się tedy, prowadził dalej Wojewoda, i na koń nietracąc czasu — a było nas do sta zbrojnych; i dwór bowiem liczny u mnie, i w gościnie naówczas kilkunastu biesiadowało — takci zbrojno pobiegliśmy cwałem, niosąc sąsiadowi potrzebny ratunek, a zostawiając żonę, córę i dostatek, Boskiéj opatrzności. Przybiegliśmy w sam czas najpotrzebniejsi, bo pogaństwo głowniami podpalało bramę, a za chwilę jużby było zapóźno podać ratunek ludziom, kiedyby i ogni-

ste ogarnęły budowę dłonie. Natarliśmy tak żwawo i dzielnie że pierwéj trzecia część Jadźwingów poległa, nim wszyscy nas spostrzegli, a miejsce do ucieczki dla pieszych mało sposobnem było. Ztąd po niedługiéj utarczce, gdy i w zamku zawarci uczynili wycieczkę, i z łowów powróciła wyprawa, takci poginęli Jadźwingowie wszyscy; może z nich dwóch lub trzech ocalało żywych. Niebawiąc się długo po skończeniu sprawy, natychmiast wracaliśmy ku domowi; przeczucie jakieś złowróżbe ciągnęło mnie tam żywo. Zaledwie z lasu wyciągnęliśmy na pole, a tu, jak gdyby księżyc wschodził, gore czerwone koło na niebie daleko przed nami, jakoby nad moim zamkiem. Pan Gerwazy dworzanin mój i towarzysz broni najstarszy, co wzdy lunacye obserwował pilnie, spojrzał po niebie i ukazał sierp nowiany pomiędzy gwiazdami sunący się na pogodném niebie. Źle, toć nie pełnia, a widzimy łunę coraz świetlejszą, a nad nią bijące w górę kłęby białego dymu. «Przez Boga, zamek płonie!» krzyknęli wszyscy: jak strzały puściliśmy się szparkim lotem, a tu na dziedzińcu snują się jeszcze poganów ostatki, zabierając łupy na konie. Rozpacz to była patrzéć na taką ciężką krzywdę. Co podpadło nam żywego pod miecz, nie uszło; poło-

żyliśmy trupem niemało, ale większa połowa uszła bezpiecznie do lasów, unosząc ze sobą wszystkie moje skarby — i skarb najdroższy za który ostatnią kroplę krwi wyszafowałbym mojej, jedyną pociechę starości, córkę urodliwą Bożenę. Próżne były pogonie, przepadła, a śmierć tysiąca poganów nie wróciła mi ukochanego dziecięcia. Sam jeden byłem na siłach za słaby abym mógł wtargnąć w głąb siedzib pogańskich i mieczem mścić się krzywdy mojej i wynaleść moją Bożenę. Zbierałem po kilkudziesiąt, po kilkuset ochotnych a nienawistnych Jadźwingom; poszukując swoich skarbów wdzieraliśmy się aż za Niemen ciężkie pogaństwu zadając klęski, wyrzynając dzieci i nawet niewiasty. — Długo tak przecież potrwać nie mogło; i oni nie ścierpieli krzywd od nas — a zebrawszy się z Litwą razem w zastęp ogromny, wtargnęli aż w Lubelską ziemię, kraj pustosząc nielitościwie. Wojskiem szli ogromnem, było ich bowiem tyle, iże w trzy wielkie uszykowali się hufy, a każdy huf swoją pustoszył kraju okolicę.

« Król Leszek naówczas siedział na stolcu krakowskim i szlachty sądzeniem zajmował się czas długi. Kiedy napróżno pobudzałem przeciwko Jadźwingom i Krzyżaki i Mazowieckie księżęta,

umyśliłem udać się do samego Leszka Monarchy i tam szukać skutecznéj pomocy Wystawiwszy królowi utrapienie ciągłe nieszczęśliwego kraju, mordowanie ludu i uprowadzanie dziewic, a wszystko w takim jako było świetle — gdy i Lublinianie nagabali króla usilnie aby się pomścił co rychléj — wnet Leszek, zawzdy skory do gromienia nieprzyjaciół, wyszedł w pole ale przybył za późno — uszło już bowiem z łupem bezpieczne pogaństwo, wracając się bogatsze do koczowisk swoich. Wahał się Leszko czyliby ścigać uchodzących z łupem a których było na czternaście tysięcy, gdy sam miał rycerstwa niewięcéj nad tysięcy siedm — czyliby wracać lub oczekiwać pomnożenia swéj siły. Cud to boski prawdziwy — we śnie wahającemu się Leszkowi objawia się Michał święty i o zwycięženiu nieprzyjaciół upewnia, rozkazując natychmiast ścigać nieprzyjacioły, obiecawszy w tem pomoc swoję. 6) Takci Leszko zbudziwszy się nazajutrz, to objawienie swoje rozpowiada rycerstwu wszemu, a oni uznając boską w tém wolą, nalegać poczęli usilnie by gonić Jadźwingi. Nalegałem i ja najmocniéj na Króla o to, zaręczając mu moją pomoc w prowadzeniu wojska po znajomym mi wybornie kraju. Takci zabrawszy na koń żywności tylko na dni kilka,

zostawiwszy tabory wszelkie, puściliśmy się żwawo w pogoń za uchodzącemi. Dognaliśmy całą ich potęgę między rzekami Narwią i Niemnem d. 13 Października r. 1282, albowiem obciążywszy się łupami spieszno uchodzić nie mogli. Spostrzegłszy nas Litwini jęli uchodzić, ale Jadźwingowie dodawać im serca poczęli, mając to w obyczaju swoim nigdy z pola nie schodzić i radzili potykać się śmiało. Leszko napomniał swoje rycerstwo pokrótce, wystawił poniesione krzywdy i ukazał do zemszczenia się porę. Uszykowawszy w jeden huf wojsko, pierwszy na nieprzyjaciela uderzył. Trudno poganom było przełamać naszych w jeden ściśniony huf uszykowanych, a kiedy raz przemagać ich poczęliśmy klęska ich była powszechną, zwłaszcza gdy Litwa pierzchać poczęła. Wiele dopomogli nam więźniowie, którzy z tyłu będąc za pogaństwem porozwiązywali się szybko, a wielki krzyk uczyniwszy naszym wiele dodali serca. Psy nawet co za gospodarzami zbiegły, gryzły Jadźwingów, jako nieprzyjacioły je pojmując. Rozpierzchniętych pogan ścigać poczęliśmy zawzięcie, zwłaszcza uwolnieni dopiero co z pęt więźniowie i ci z wojowników, którzy do nich zawziętość mieli jako ja największą. W tej to bitwie Jadźwingowie na dawnych swoich siedzi-

bach ponieśli klęskę ostatnią, gdzie reszta zdatnego do dźwignienia miecza ludu wyginęła. Scigaliśmy i tropili ich dni kilka, wtargnąwszy za Niemen aże w ich dziedziny pozwolone od Litwy. Co zaś Litwa — ci w ucieczce największą ponieśli od ścigających klęskę; reszta co uszła, pozabijali się sami, nieśmiejąc wracać do swoich ze wstydu. Z łupów odbitych i zdobytych na Litwie, Leszko zbudował kościół S. Michałowi w Lublinie, na pamiątkę tego że go we śnie widział i do zwycięztwa dopomódz obiecał.

« Leszek widząc we mnie żądzę zemsty niepohamowaną, a w ostatecznem Jadźwingów wytępieniu tamę od napadów najlepszą, zostawił mi dwatysiące wojska, sam z resztą powracając na poskromienie buntującéj się przeciwko niemu szlachty Mało Polskiéj, która w nieobecności monarchy uczyniwszy sobie sejm w Sandomierzu z Janem Wojewodą i Krystyanem Kasztelanem swoim, — a pono że i Paweł Biskup Krakowski cichaczem z niemi działał, — otóż przyzwali sobie Konrada Mazowieckiego Xięcia i ogłosiwszy go panem swoim wszystkie zamki mu poddali. Czego Leszko gdy się dowiedział, spiesznie na poskromienie poburzonych ciągnął, a gdy Konrad nieufając w siły swoje do potkania się z Lesz-

kiem spieszył do Mazowsza w celu zebrania potrzebnych mu ludzi, a przyrzekając powrót niezawodny — nadciągnął wtedy Leszko. Panowie którzy z Konradem trzymali, potrwożeni w jego nieobecności, gdyż tu najwięcej szło o nich jako tych co pobuntowali przeciwko prawemu monarsze szlachtę, zaczęli tracić serce w miarę zbliżania się Leszka. Monarcha uczciwy nie chce krwi rozlewu jakoteż i nienawiści ku sobie ściągać jakowéj: umyślił tedy spokojnie ukończyć, i darowawszy winy zbuntowanym, zamki dobrowolnie poddane odebrał, i tak w niedługim czasie domową wojnę ukończył. Ja tymczasem mając do ścigania ostatków niecnego rodu dostateczne siły, w najgłębsze Jadźwingów wdzierałem się knieje, a poznawszy że ci co zostali na Podlasiu mieli związki z tymi co na Litwie pierzchli, szukałem winnych, żadnemu nieprzebaczając na życiu.

« Jednego dnia, kiedy w gęstéj kniei uganialiśmy się za pierzchającą garstką Jadźwingów, z szczególną zawziętością ubijaliśmy pojedynczo dognanych, lub ścigając ich strzałami z łuków. Gdy wszyscy z małego oddziału poginęli, został jeden jeszcze, który dźwigając ciężar jakiś na plecach z nieporównaną uchodził zręcznością coraz w ciaśniejsze gęstwiny. Dobiegaliśmy za

nim zawzięcie, sypiąc za nim z łuków strzały: — jednego razu jęknął okropnie, dziko wykrzyknął i puścił ciężar, sam-jeden krwią zbroczony manowcem uchodząc Kiedy inni gonili za nim, ja pochyliłem się nad opuszczonym ciężarem i usłyszałem przytłumione głuche jęczenie. Dreszcz mnie jakiś przebiegł, bom dosłyszał imie Jezusa i Maryi słabym wymówione głosem. Rozwijam skórę co ducha — o nieba!... ujrzałem.... moją najukochańszą Bożenę broczącą we krwi białe piersi — bo strzały pogoni zaraniły ją ciężko... Spojrzała na mnie stygnącem okiem, poznała mnie do razu, ale już tylko przycisnęła dłoń moją do swojéj piersi, jęknęła... i wyzionęła ducha!... Obok Bożeny kwili się drobne chłopiątko i słabą rączyną sięga do piersi skrwawionéj. Oblałem łzami nieszczęśliwą moją córkę, a te łzy oblały i drobne dziecię — bo myśl przebiegła w méj duszy że to dziecię mojej Bożeny. — Przywołałem towarzyszy, zabrałem ciało nieszczęśliwéj córki i dziecię ono drobne, postanowiwszy wychowywać je, bo ciagle szeptało mi przeczucie że to krew moja, krew Chrześcijańska. Brali mi to za złe towarzysze, dowodząc że choćby to było z mojéj spłodzone córki zawsze z ojca pogana; nie uważałem na to bynajmniej i ochrzciw-

szy natychmiast, wychowałem, przybrawszy za syna i dziedzica sierotę Jadźwingę. — Zdzisław to owym przybranym synem, on dziś dojrzały, a od małości okazywał wiele przymiotów chrześcijański ród pokazujących.

— Podobieństwo rysów twarzy, rzekł Starosta, jawnie przekonywa o tem, iże to dziecię waszéj Bożeny. O ile zapamiętać ją mogę, miałać i ona takie złote włosy i takie błękitne oczy. Kto dawniéj wasze przeczucia nazywał dziwactwem, niechaj dziś pozna bliżéj Zdzisławka, ten go pokocha do razu. Niechajby sobie i czystym był Jadźwingą, jabym go dzisiaj wziął za swego syna, bo to żywy jak ogień, w kniei jak żubr odważny, a w domu wesołością swoją dodaje wszystkim ochoty. Stary Olelko nauczył go grywać na lirze: kiedy to zaczną razem tęskne nucić dumki — ja wtedy topię się w przeszłości.

• A mnie zda się, przerwał Wojewoda, że moją w objęciach ściskam Bożenę ściskając dobrego Zdzisławka. Nienawidziłem ród Jadźwingów, wytępiłem go do szczętu — biedną tę jedną sierotę umiłowałem do tyla, że mu oddam i imie i wszystkie dziedziny w puściznie. Może to niejeden poczyta mi za dziwactwo, ja przecież ani kochać przestać go nie mogę, anibym

rodowi jego ubliżyć pozwolił. Jadźwingów ród pogardzony jako nam nieprzyjacielski — Jadźwingowie jednakże zawsze byli narodem, a dzielnością nieporównani. Mieli oni Książąt i szlachtę swoją: znak jaki miał Zdzisławko zawieszony na szyi i godło na piersiach wykłute, napuszczone farbami, zdają się mówić że jakiś Jadźwingów Książe lub Wojewoda był mu rodzicem.

Te wspomnienia przywodzące na myśl Bożenę, zawsze dla Wojewody przykremi były. Zasępiał się zwykle i pogrążał w dumaniach. Znał to do niego i Starosta i każdy ze słuchających; Wojewoda przecież wspominał często Bożenę, i zdawało się że czas, miasto wygładzać pamiąkę, odświeżał ją w rodzicielskiem sercu co chwila. Wojewoda skończywszy swoje opowiadanie zatdumał się posępnie, zgromadzeni sąsiedzi gawędzili kupkami, a Starosta mając coś niespokojnego w sercu, wyniósł się z komnaty i zaszedł pomiędzy tańczącą młodzież znowu.

Grzmiała kapela, ale chociaż niepóźno tak; zbytnie, tańce nie idą swoim trybem z dawną ochotą. Starosta odsunął się w ustronny kątek i zataczał wzrokiem po wszystkich zwolna, a taki miał obraz przed sobą.

W całéj izbie najbardziéj uderzały rysy grającego na lirze: był to Olelko śpiewak mieszkający na dworze Wojewody od lat szesnastu przeszło. Brunatna cera i strzeliste spojrzenie Olelka zajmowały każdego, niedziw więc że Starosty źrenice najprzód na Olelku spoczęły. Olelko był to człowiek pięćdziesiąt lat z górą mający. W czarnych włosów pierścieniach i kędziorach rzadkiéj brody już gdzieniegdzie przeglądały promienie białe. Niski lecz krępy, z bark wyglądał na olbrzyma, wysokością nie przechodził jednakże pięciu stóp najwięcéj. Długie ręce o mało że nie sięgały kolan, palce niedbale przemykały się po lirze, a oko płomieniste sypiąc iskry prawie, nurzało się w obliczu Zdzisława. Na licach śniadych Olelka raz osiadał uśmiech, drugi raz spłoszony usiadał chmurą posępną między brwi na czoło. Jeżeli kto pilnie słuchał akkordów jego liry, zrozumiał pewne Olelka myśli, ale ktoby chciał zrozumieć Olelka musiałby drugim stać się Olelkiem, i tak strojnie w dźwięk jeden zlać się z jego duszą, jak zgadzały się tony liry Olelka z jego spojrzeniem i wyrazem dzikich rysów twarzy. Olelko od czasu jak przybłąkał się na dwór Wojewody umie trafić w jego myśli, i stary wojak lubi słu

chać wieczorami smętnych powieści lub pieśni starego barda.

Zdzisław, przybrany syn Wojewody, był to młodzieniec dorodny. W jego spojrzeniu pełno szlachetnej dumy wojownika, lica białe okraszone czerstwej rześkości rumieńcem, pięknie odbijały przy złotych włosach i żywo-błękitnem oku. Postawa wysmukła, gładka, ale szerokość ramion zapowiadała niepospolitą siłę; kiedy zaś uśmiech zagrał na licach lub gniew zmarszczył Zdzisława czoło, tak było wtedy wiele dzikości w rysach młodzieńca, że ginął cały urok pierwszem jego wejrzeniem sprawiony. Od Zdzisława jakaś siła odsuwała wtedy — nie był to wstręt żaden, bo ta dzika dumna powaga zagrawszy uśmiechem na męzkich rysach przejmowała każdego szacunkiem i obawą. Kiedy zaś rozochocił się Zdzisław, nadeń weselszéj nie było duszy; on sam jeden zdolny był wszystkich ucieszyć. Pomimo surowości obyczajów, Zdzisław posunął się w koło starszyzny a ozwał się tylko, wnet zyskał słuchaczy przychylność. Młodzież znowu, czy na łowach, czy w zabawach rycerskich, czy w pląsach, jego uważała jakoby za wodza w swojém kole. Śmiał się Zdzisław, zaśpiewał, — chórem brzmiały wesołe śmiechy i pieśni; zmarszczył brwi, aż głucho w drużynie

do koła. Wiemy już o rodzie Zdzisława z opowiadania Wojewody, coby zaś dzisiejszego wieczora zachmurzało myśli młodzieńca — ja tego nie wiem. Często gęsto zwraca on oczy na starego Olelka, to ukradkiem spojrzy na Helszkę Starościankę, a wtedy chmura tym cięższa zasępia jego myśli. Czyliż on miałby nienawidzieć Helszkę?... o nie! to niepodobna. Helszka szesnaście latek zaledwie liczy, jej lica tak powabne, tak miłe, aże drzy Zdzisława serce kiedy okiem powlecze po tym jak krew z mlekiem rumieńcu. A oczęta kiedy wystrzelą z pod ciemnéj rzęsy, to czarodziejki oczęta sypiące gradem uroki. Jednakże Helszka powodem jego smutku, bo po każdém spotkaniu jéj czarnych oczu, płonią się oboje — zadrzy Helszka, zadrzy Zdzisław. Bóg wie co oni mają ze sobą!

Ale Starosta nie wiem jak to wyrozumiał wszystko, bo często brwi marszczył, a że najczęściej spoglądał na Zdzisława i Helszkę za to ręczę, i szeptał sam do siebie:

— Zawsze to krew pogaństwa, chociaż i syn przybrany uczciwego rycerza... Staszowie i Kostkowie — jakem Starosta, nie ustępują sobie pierwszeństwa w znaczeniu — a jeśli idzie o starożytność herbu, pokażcie mi dawniejszy ród

nad Toporczyki!... Starościanka, — niby. Wojewodzic.... ale bywało... ha! zawsze Jadźwinga poganin; wie Bóg z kogo ród wywodzi.

Tak sobie niby dumał, niby szeptał Starosta, a kiedy wpadł w zadumkę i śnił przyszłości obrazy i przeszłości wspomnienia — rozsądek zaigrał w duszy, wyrzucał przesąd dziwaczny i szeptał mu jakoby do ucha:

— Hola, hola Starosto! — Jadźwinga! i cóż to gorszego od ciebie, Jadźwinga? przypomnij sobie Zdzisława na łowach, rozszarpuje niedźwiedzie, jednem cięciem obala tury, wszystkiego pouczył go stary Olelko, co od kolebki nie odstępuje młodzieńca. Wszakże łowy to obraz boju, a kto tak śmiało stawia czoło bestyi, nie ulęknie się żelaznych rycerzy zachodu, ani poganina Litwina A zkąd herby? zkąd przywileje królewskie? Wszakże to wszystko zyskują na wojnach mężni. Każdy zrobić musi początek, a ze sławnego ojca. wyprzędziesz dopiero pasmo wnuków przykładających się do sławy imienia. Zdzisław od Kostków przybrany za syna, stanie się zapewne godnym synem rodziny, do której należy od dzieciństwa; a wychowywany pod wodzą dzielnego rycerza przejmie cnoty przybranego rodzica i dziada jego Przybysława z Rostkowic. Patrzaj,

wszakże Wojewoda drugim dopiero stawa w swoim rodzie — ustąpiłże czemkolwiek rodzica czynom? — Zdzisław namiętnie spogląda na Helszkę — kocha czy nie kocha... niewiadoma, chybabyś ty spojrzenia rozumiał jąk głośno-brzmiące słowa. — Gdyby więc poprosił o rękę twojej córy i dziewosłęby w dom przysłał —toć i nie ma czemu się wzdragać. — A zresztą Zdzisław odziedziczy wszystkie po Wojewodzie dostatki...

Rozjaśniło się nieco Starosty oblicze pełne szlachetności. Pogoda jasna, wesoła, zagrała w uśmiech, zakwitła na czole —popuścił pasa, nalał czarę miodu, wrócił pomiędzy starszyznę: «Kochajmy się!» krzyknął, i duszkiem wychyliła za nim cała drużyna.

— Hola Zdzisławku! Bywało, weselej pląsało się dawniej; jak widzę moja Helszka prześciga dzieci w Mazowieckim. Nuże kapelo! żwawszego! — A ty stary położyłbyś tę lutnią wcale nieprzypadającą do ochoty dźwiękami swojemi. Tam mi piosenka bywało kiedy zmięszasz ją w strojny brzęk z lirą — toć i po sercu załechce i dawne przypomni latka — ale gdzie tańce, ochota — precz z lirą! surma, cymbały grzmijcie!

Zdzisław obróci się do Starosty, a kiedy ten napomknął o Helszce, przenikliwem spojrzeniem

badał serce wojownika pilnie — a widząc szczerość jego nieudaną, odzyskał wesołość i puścił się w tany żwawo.

Powoli już i świt zarumienił zorzą niebo. Skończyła się ochota tańczącej młodzi, bo też i dawniej żelaznych nóg nie miewali. Starzy podochoceni zaczynali drzymać, bo i do gawędy materyałów nie stało. Znają wszyscy jedno, bo razem wzrastali: a kiedy opowiadasz co bądź rówiennikom, jeno to tylko jako wspomnienia miłe — ale te wspomnienia nie odpędzą śpiku klejącego oczy przy rannéj zorzy na niebie.

Niedługo na zamku cisza osiadła głucha. W jednéj tylko alkowie dosłyszałbyś stąpania — była to alkowa Wojewodzica. Zdzisław przechodził się w ciemności samotny i dumał posępnie, a serce raz wzdymało się żalem, drugi raz ściskała je boleść. Długą tak dumał chwilę, a potém wyrzekał samotny:

— Czemuż ja zrodziłem się Jadźwingą? Nie znam mojego rodu. Przybrał, to prawda, ale przelałże jak w syna we mnie krew swoją Wojewoda? Nazywam go ojcem, każdy jednakże wie o tem, że ja synem pogardzonego i wytępionego rodu! Kocham nad życie Helszkę, i tak mi błogo, tak miło w sercu kiedy na nią spoglądam, a tak

posępnie kiedy na ród swój wspomnę, że mi łza do oka ciśnie się gorąca. Chociażbym uczucia moje wynurzył Wojewodzie, gdyby odmówił prośbom jego Starosta, zniósłżebym tę zniewagę, tę pogardę? O ja nieszczęśliwy, czemuż nie umarłem w żywocie matki, lub pod mieczem którego z Lachów! Lepiej mi było urodzić się Polakiem, choćby synem ubogiego szlachcica, niżeli być, wychowańcem opływającego w dostatki Wojewody a dręczyć się tą myślą, kochając bez nadziei; bo jestem bez imienia, nie znam swego rodu, tylko na mnie pokaże ktoś na w poły ze wzgardą: *to Jadźwinga, wychowana przez Wojewodę sierota*!»

Tu zadumał się Zdzisław tym posępniej, gdy obok niego zabrzmiał głos dziki głos ryczący Olelka. Niedojrzałby w ciemności rzednącej rysów twarzy i gry muskułów Olelka ale przycisk z jakim wymawiał słowa, dobitnie malował serca uczucia.

— Co mówisz, Zdzisławie? Ty masz być celem pogardy ludzkiej?

Zdzisław stanął nagle jakby piorunem rażony. Poznał głos Olelka i sam nie wie czego się lęka. Olelko dziwną moc posiadał nad umysłem Zdzisława: on wszczepiał jakąś twardość dziką w duszę jego; czy to pieśń mu zanucił, pieśń by-

ła tak twarda jakby z żelaznéj wychodziła piersi. Jeżeli opowiadał mu przygody jakiego wojownika, tym wojownikiem był niezawodnie Litwin, Żmudzin lub Jadźwinga, odważny, silny, mstliwy, wspaniały a zawsze okrutny i nienawistny Lachom. Kiedy Zdzisław pośród tanów namiętnie spoglądał na Helszkę, rysy Olelka i spojrzenia były tak dzikie, tak ponure, a liry dźwięki w fantastyczne mięszając się akkordy wzburzały nagle Zdzisława duszę; serce biło gwałtownie, wzrok iskry rzucał; i znowu cichły tony liry i młodziana stygło serce; posępność tylko żałosna grała pieśnią w sercu, odległą, aż za ojców groby. Tylko wtedy stanęła na oczach młodzieńcowi zimna przodków mogiła, dąb święcony pod którym rozpowiadał mu o Jadźwingach niejedno Olelko, znikała z oczu Laszka a serce biło dla ojców.

Gdy wyrzekającemu smutnie, nagle stanął przed oczy Olelko, zadrżał młodzian, głosem śpiewaka jakby piorunem rażony, i zaledwie kilka słów odpowiedzieć zdołał.

— Tak, Olelku.... ród mój nieszczęśliwy wyginął, ja zostałem sam jeden na pogardę ludzką!...

— Sam jeden?

— Czyliż ocalała chociaż jedna dusza Jadźwingi, Jadźwingi pamiętającego o tém, czém byli jego przodkowie? Jeżeli spojrzę na te snujące się mary co żyją pomięszane z Lackim i Ruskim ludem, mogęż powiedzieć: «to mój brat, to Jadźwinga....» kiedy ten wyrodek zagrzebawszy się w roli, żyje tylko dla tego aby miał kawałek chleba, czyby go to wygrzebać z ziemi jak wół w pocie czoła, czyby też wyżebrać go u Lachów...

— Zdzisławie, nie mów tego! Widzisz te nędzne zasępione twarze, wniknałżeś w głębią ich duszy? Przekonałżeś się o tém kiedy, że on przeszłości wspomnień nie przyzywa, że ten nie czuje krzywdy, nie pragnie zemsty, kto czołga się u stóp nieprzyjaciela? Wtargnąłżeś kiedy w głębokie lasów knieje? A może tam żyje jeszcze lud wolny, niepodlegający Lachom; a może tam pracują nad tém, jakby podźwignąć ród swój podupadły..

— Miałżebyś wiedzieć....

— Zdzisławie, cóż to obchodzi ciebie? nie mówiłżeś przed chwilą że *ród Jadźwingów jest celem pogardy ludzkiéj*? Wszakże los błogi wyniósł ciebie do szczytu, stoisz pomiędzy Lachami, nazywają cię synem morderce twoich przodków..... I cóż ci brakuje do szczęścia? pocóż troszczyć się tobie o lud *pogardzony*? Piękna Laszka słodkie

na ciebie rzuca spojrzenia, kapłan chrześcijański zwiąże wasze dłonie, twoja Helszka urodzi ci syna, co może kiedyś wojując z Litwą w krwi Jadźwingi swój miecz zahartuje.... Pocóż troszczyć się tobie o Jadźwingów współbraci? Jedni śpią w mogile, drugich szkielety blichuje słońce na stepie, lub fale Bugu liżą hartowne ich czaszki... inni, żyjące mary, tułają się po lasach, a inni, oj są i tacy co z maleńkiego wychowawszy się pomiędzy Lachami, jak miękkie niewiasty wzdychają, płaczą nieledwo, i dla czego? Oto że porodzili się Jadźwingami i nie mogą powiedzieć: «jam Lach!»

—Olelku! przez Boga, pamiętaj że mówisz do człowieka co dzierży w dłoni żelazo i niem zamknąć bluźniące usta potrafi!...

—Uderz, uderz w te piersi Zdzisławie!... pokażesz że masz chociaż kroplę krwi Jadźwingów, chociaż cząstkę ich duszy mstliwej, bo umiesz zapłacić zniewagę, jak odpłacał ją Jadźwinga prawy!

— O nieba! jakżem ja nieszczęśliwy! Olelku, zaprzestań mnie dręczyć; niedość, żem ja potomkiem dzielnego ludu, a dziś jak żebrak błagać muszę łaski wrogów, a błagam bo milczę i obcuję z niemi: jeszcze ty naigrawać się będziesz mo-

jéj niedoli? Drży dłoń, chociaż serce ogniem płonie; nie mogę zatopić ostrza w twojéj piersi, chociaż mnie znieważasz, bo niewidoma siła... Ach ja nie wiem dlaczego lękam się ciebie...

— Zdzisławie, zawołał cichszym i drżącym głosem, jakby rozrzewniony Olelko: tą siłą jest krew twoja, krew ojców zaszczepiona w twoje serce... Szanuj tę krew drogą, niechaj ona zawżdy uderza twojem sercem silnie, zawzdy kiedy wchodzisz pomiędzy Lachy, kiedy spojrzysz na krasawicę ich rodu! Posłuchaj mnie, młodzieńcze, opowiem ci cóś o ludziach twojego rodu, powiem ci jak dzielna krew, co Jadźwingów sercami bije.

«Dawnemi czasy, nie narodziłeś się jeszcze, żył dzielny wojownik, Jadźwingów Książe, imieniem Komiat. Jego dłoń groźna wstrząsała Lachów sercami, rzucając tam trwogę okropną. Litwa i Żmudź jako i Prusaki, chociaż to ludy bratnie, doświadczały nieraz Komiata dzielności kiedy dobył miecza przeciwko nieprzyjaciołom. Ruś odległa nie zasłoniła się przed Komiatem szerokiem Dniepra łożyskiem; dłoń Komiata pruła spienione bałwany i Dniepra jak Bugu, a miecz Komiata omywał się z krwi raz nie-

jeden w głębokich toniach Baltyku. Mieli Lachy Króla Bolesława co go Wstydliwym zwali, a był to Król słabego umysłu i przez życie całe nie był zdolny opierać się nieprzyjaciołom i razić ich skutecznie. W tych czasach Komiat łącznie z Mazurami wtargnął nieraz w Lackie dziedziny, ogromne zabierając bogactwa i tłumy ludu w niewolą. Gdy coraz silniéj wzrastając w potęgę, co chwila groźniejszym stawał się dla Lachów, Bolesław przedsięwziął na Jadźwingi wyprawę i z wojskiem licznem wtargnął w kraj Jaćwierzy. Lud ich natenczas wspomagał Prusaki, broniące bogów swoich od zguby przeciw Krzyżakom, niosącym nowego Boga ku czci na krzyżu, a mieczem o jego rozpowiadając naukach i cudach. Mała więc liczba została w siedzibach, coby stanąwszy pod bronią mogła skutecznie działać przeciw napadającym ich dziedziny Lachom. Komiat co prędzej zebrał młodzież i starce, czekając nieprzyjaciół do boju gotowy. Czuł on aż nadto słabość swojej siły, ale pamiętał o tém że Jadźwingów prawem zwyciężyć lub zginąć i niepytając o liczbę wrogów stanął do boju i pierwszy na nieprzyjacioł uderzył. Długo męztwo walczyło zawzięcie z przeważającą co chwila szalę zwycięztwa liczbą. Komiat swoim przypomina ojców czyny, a Komiat

ża dziesięciu bije. Pędzi wódz dojrzawszy Króla samego, by oszczepem strzaskać jego piersi. »Bracia, wykrzyknął, gdyby mi na placu legnąć wypadło, bijcie się śmiało, nieważając na to; gdy każdy Jadźwinga dwóch Lachów ubije, to jam już pomszczony, ja w niebach szczęśliwy!« To rzekłszy oszczep do góry odwinie, do rzutu barki szerokie wypręża, już miał cios wracać, w pierś Króla go puścić, gdy kopją pchnięty na ziemię upada. Widział to naród jego nieszczęśliwy, zajękły piersi tysiąca tysięcy, jęk ten odbiły po pustyniach echa, ale już Komiat nie podniósł się z ziemi! «Smierć Lachom!» piersi wykrzyknęły wzdęte, i zaślepiony żalem lud się rzuca; padają Lachy, padają Jadźwingi... przemogły wrogi. Dziś w pustyni niwa szeroko kwitnie w wybielone kości. Strzaskane czaszki do dziś się walają, i Lach z pogardą nieraz je potrąca, a tam Jadźwingów kości, tam *Komiata* kości...»

« Został Komiata syn młodziuchny jeszcze i drobną rączyną niezdolny podźwignąć miecza. Sierota mały, cała Jadźwingów nadzieja, miał wzrastać na to, aby kiedyś pomścił się na Lachach ojców ciężkiej klęski, on miał nagrodzić straty i odpłacić mordem za mordy.

Lud wojowniczy cofnął się za Bug, za Narwią i za Niemen jeszcze, reszta bez ducha uderzyła czołem przed Lachów Bogiem, i wodą polewając skronie zrzucała imiona przodków wsławione — na zakałę swojego rodu!... Aż Komiat młody już konia dosieść zdolny pląsa z młodcami rówiennikami po ługach, goni po kniejach tury i niedźwiedzie, probując siły swojéj jakby ona już wielką była? czy zdolna zmierzyć się z mieczem i stalową Lacha piersią? bo Komiat młody żył tylko pamięcią ojca chwały, żył tylko nadzieją zemsty na jego zabójcach.

«Jednego razu młody Komiat stanął pomiędzy radą starszych i oświadczył, że już czas zemsty nadszedł, już jego rówiennicy porośli i miecze ojców spragnione krwi Lachów.

«Wstrzymaj się młody wodzu, odrzekła rada, poczciwe i serce i dłoń młodzieńcza co żyje dla ojców tylko i mści się za ich krzywdy: ale dzisiaj za słabi aby mierzyć się z Lachami, chociaż równi na siłach, wyżsi od nich sercem, ulegamy przecież dzielności ćwiczonego w wojennéj sztuce ich oręża. Idź więc młody wodzu z kilku towarzyszami pomiędzy Lachy, napatrzcie się ich zwyczajom, zwiedźcie ich zamki i miasta, a kiedy i my nauczymy się tak jak oni wojować sztucznie

stawiać mury, podniesiemy oręże, ty nas poprowadzisz Książę Komiacie, zemsta zawr w sercach, i poleją się rzeki z krwi Lachów.

«Nie słuchał tej mowy Komiąt młody i dumnie odpowiedział przezornej radzie:

«Słyszał kto aby kiedy Jadźwinga znał inne mury i zamki dla swego serca jak piersi własne? Słyszałże kto aby posiadający siłę, i poczciwą cnotę szukał w sztukach i fortelach przymierza? Precz myśli podła! Młodzieńcy, za mną, na Lachy!

«Rzekł to młody wódz i zaraz młodzież z okrzykiem otoczyła go rodośnym: daléj, na Lachy na Lachy! Spojrzał wódz młody po tłumie odważnym i uśmiech rycerski rozigrał się na licach: gdzie spojrzy, to widzi serce tak silnie bijące jak jego serce. Zadumał się jednakże nieco, gdy przypomniał opowiadania starych, co przebiegali nieraz kraje Lachów i opowiadali mu jako one ciągną się daleko. Pięćdziesiąt razy słońca zorza ci zakwitnie, nim zajdziesz od północnego morza do gór pokrytych śniegami, wiecznie bielejącymi na wysokich grzbietach. Na zachód trzy wielkie rzeki jak wstęgi ścielą się po Lackich równinach, pomiędzy kwieciem strojnemi ługami, a wszędy Książęta, Królowie i rycerze dzielni, a wszystko to Lachy!

« J cóż ja pocznę z taką wrogów potęgą? pomyślał sobie Komiat młody: czyliż z tą garstką młodzi potrafię zniszczyć ogromną wrogów siłę, rozległe zszybować kraje. I oni mają serca a mieczy, a dłoni sto razy więcej; gotowi do ostatka nasz ród osłabiony wytępić.

« Tak sobie podumał i począł *Rady* naukę rozważać i przekonał się iże stary rozum, stare doświadczenie nieprożnemi odzywają się słowy.

« Puścił się Komiat w kraj Lachów szeroki, odział się w zbroję, przybrał rycerskim obyczajem godła, błąkał się z dworem swoim po zamkach Lachów, aż zajechał na dwór rycerza sławnego, którego imie pamiętali i pamiętają do dzisiaj Jadźwingowie Rycerz miał skarby wielkie a miał i córę urodną; zobaczył ją Komiat i już zapomniał za czem w kraj Lachów się puścił Niebieskie oczy krasawicy Laszki oczarowały Komiata, długi czas bawi na zamku Rycerza, nie może oderwać się od Laszki, a dworzanie krzyczą na niego « Wodzu my powrócimy do ojczystych siedlisk my niechcemy jak ty bratać się z Lachami. «Otrząsł się młody wódz z owych uroków Laszki, spojrzał po towarzyszach, a wszędy po twarzach widzi niby to pogardę, niby żal bolesny i tęsknotę do rodziny, do przodków pamięci. J nic nieodrzekł

i dosiada konia, niepożegnał nawet Rycerza ani kochanki i powracał spiesznie do siedzib rodaków, nad Bug rzekę starą, zrzócił stalowe zbroje, przywdział skóry niedźwiedzie i z garstką mołodców raz po raz nawiedzał Mazowsze, Polesie, albo jeszcze kraj dalszy i bił Lachy, burzył miasteczka i zamki, lud uprowadzał bezbronny, a wszystko powoli, zcicha; zdawało się że zapomina o Laszce. Jednakże często niebywało wodza po kilka dni w koczowisku, niby to błąkał się łowem po pustyniach, niby zwiedzał Lackie dziedziny, a wódz młody tułał się około zamku rycerza by chociaż jedno słówko Laszki posłyszał, chociażby raz jeden zobaczył krasne jej lica. Nareszcie gdy dzikiego ognia niezdołał poskromić w sercu, zapomniawszy ze wzgardą obyczajów jakich nauczył się pomiędzy Lachami, a przestrzegał je potém, otóż mówię zebrał mołodców żwawych i odważnych, po różnych częściach rozesłał ich kraju, a sam uderza na zamek rycerza i unosi w knieje czarodziejkę Laszkę.

«Rycerz w żałości podburza wszystkie Lachy, obiega dwory książęce; jedzie aż na Kraków do Monarchy prosić pomocy i kiedy młody Komiat w dwa lata potém nacieszywszy się z Laszką, łącznie z Litwą wtargnął w głębokie

dziedziny, burzą się Lachy i przysięgając zemstę, udają się w pogoń, za unoszącym nad Bug z kościołów łupy Komiatem.

« Młody wódz gardzi bojącą się Litwą i wpośród Litwy, nieuważając na to że łamią mu pierzchające Litwinów szyki, on Ojca zwyczajem postanowił umrzeć lub zwyciężyć! Nie zwyciężył, nie umarł.... bo ranionego unieśli towarzysze, jak gdyby mu było życie potrzebne w tedy, gdy cała jego runęła potęga.... »

— Gdzież teraz Komiat? zapytał Olelka bacznie słuchający Zdzisław.

— Komiat zapewne po lasach się błąka... jeszcze została część ludu w sercu z odwagą, z siłą w dzielnej dłoni. A może, jakby żebrak pogardzony, tułać się musi, do zemsty bezsilny; i kiedy miecza podnieść już nie może, tajemnie knowa zemstę.... na zabójców rodaków swoich i kochanki Laszki....

— Och gdybym wiedział gdzie znajdę Komiata zbiegałbym całe Polesie i Litwę; gdybym go znalazł!...

— J na cóż?.. napróżno...

— Olelku!

— Mówię wzrastaj jeszcze w siły. Jeżeli Komiat dowie się o tobie, żeś gotów mścić za Ojca na Lachach, to ciebie wezwie do swojej kryjówki. .

— J któż mu to powie?

— Powie mu serce, kiedy dzwon uderzy, a kapłan dłonie Jadźwingi i Laszki powiąże stułą! Bo Laszki wspomnienie z upadkiem rodu Jadźwingów tak bliskie, że Komiat...

— Jakto? cóż Laszka wspólnego mieć może z tą zemsty żądzą? Czyliż serce Jadźwingi tak ciasne, iże niepomieszczą się w nim razem i miłość i zemsta.

— Słuchaj Zdzisławie! pragnął Komiat zemsty i zemsty w serce na Lachy pozbierał tyle, ile potrzeba na wytoczenie krwi stu tysięcy mężów. Komiat zobaczył Laszkę, i miłość zwolna tak zemstę strawiła, że w sercu sama jedna pozostała. A potem Rycerz ojciec krasawicy, mszcząc się porwania jedynej dzieciny, ród Jadźwingów wygładził do szczętu prawie. Bo czemże dzisiaj ta garstka tułaczy, ach ona tylko nadzieją jedynie! Patrzaj Zdzisławie jak Laszki ponętnę dla Jadźwingów zdradliwe! — Bo jeźli ją pokachasz zapomnisz o twoich przodkach i wyrzekać nie raz przyjdzie....

— Olelku! zaprzestań! rozumiem, pojmuję ciebie — dość o Laszce, już ja ją z mojego wyrwać przysiągłem serca, nie wspominaj mi o niéj nigdy; ale powiedz zkąd tobie tak doskonale rodu Jadźwingów znajome przygody? miałżebyś ty sam być Jadźwingą?

Olelko dziki wzrok wlepił w twarz Zdzisława, zda się że nim przebił do serca, do duszy, a potem zadumał się i podniósłszy głowę, tak mówił.

— Wiele już razy pytałeś mnie o to, milczałem jak w głaz zaklęty; lub kłamałem przed tobą. Zdzisławie, byłeś dziecięciem.. ale dzisiaj dojrzały wiekiem, i ramieniem i sercem zdolny do czynu; dowiedz się o tem co taiłem dotąd przed tobą. Jestem Jadźwingą! Nigdy nie zapierał się żaden z przodków moich dzielnego imienia, bo ród Jadźwingów był dzielny! Wieleż to razy nasze rumaki chasały po za Wisły nurtami; zdobywaliśmy zamki, bili Mazury i Mało-Polan.. bronili siedlisk ojczystych.. J dla czegóż więc miałbym zapierać się mojego rodu? Ale Zdzisławie nie badaj mnie więcéj! Słuchaj tego co sam opowiem tobie!... pamiętaj!...

....Już zorza zniknęła i słońce jesienne wschodzi na niebo. Chociaż strudzeni powstaną wnet goście, żegnaj Zdzisławie, ja dzisiaj daleko, daleko jeszcze wędruję. Ród nasz przed laty kiedy był potężnym

w otwartem polu spotykał się z wrogiem, dzisiaj za słabi do bitwy, nierówni, działajmy zwolna, śmiało a wytrwale. Umiéj Zdzisławie oszukiwać Lachy, a może, może kiedyś przydasz się rodakom, jeżeli tylko serce zachowasz czyste bez Laszki...

— Olelku! kiedy już wiem, że jesteś moim rodakiem i takim jak ja nieszczęśliwym tułaczem, już teraz nieoderwiesz mnie od siebie. Moje serce przeczuwało krwi jedność z dzieciństwa, tak mnie ciągło do twojego boku, kochałem nieznając ciebie. Dzisiaj już jedne nasze będą myśli, pójdę z tobą wszędy, powiedz mi gdzie się udajesz?

— Mówiłem Ci Zdzisławie, milczenie... próżno badasz, mamże tego żałować, żem ci co bąć powiedział? Spocznij chociażby na chwilę, niechaj nie poznają na twojem licu śladów bezsenności, bądź wesół, udawaj! Przyjdzie czas, kiedy dowiesz się cóś więcéj, a teraz bądź tylko cierpliwym....

## 2.

Na szerokiej puszczy Wojewoda sprawiał łowy. Dzień to był jesienny, pogodny, mnóstwo szlachty okolicznéj zebrało się na tę uciechę. Młodzież najwięcéj w niedźwiedziej odzieży lub włosich kaftanach, z łukiem i kołczanem na ramionach z rochatyną i szczepem w dłoni (7), przechodziła się około szałasu wystawionego na wzgórku, gdzie miało być główne dla zbierania się miejsce. Wojewoda przywodził ochocie w urzędzie Łowczego. Starsi naradzili się z sobą względem porządku łowów i rozrządzenia zebranéj drużyny, a młódź niecierpliwie liczyła

płynące chwile, które rozdzielały ich od potykania się z mieszkańcami kniei.

—Ciekawym,— kto pierwszy powali oszczepem mruka? mówił Starosta do młodzi wychodząc z namiotu. Bywało za młodych latek uderzał człowiek śmiało, bo to owego czasu dłoń jeszcze krzepką była i niezawiodła nigdy, przy porozumieniu się z okiem, rzucając oszczep. Niepierwszy raz to pono zbieramy się wszyscy, jako tu jesteśmy razem, na leśną uciechę. Bywało Zdzisławko wzdy najśmielszy i najszczęśliwszy. Hej mołojce! kto pierwszy przed Zdzisławkiem powali tura, żubra lub mruka rochatyną lub dzirytem, podarzę go najlepszą z moiéj zbrojowni szablą! Jest tam niemiecki rapir bogaty, znajdzie się i carogrodzka greckiej sztuki szablica, jest tatarzyna bułat nieposledniej wartości—do wyboru! A co Zdzisławku wybrałeś ich odemnie kilka, zły przecież gust Aszeci.

— Ja brałem to co sercu milsze... czyli smutniejsze, bo to zdobycze po moich przodkach.

— No, no, rozumiem; rachuję na ciebie zuchu dziarski mołojcze, przykładam nawet tarczę brandeburgską.,. bo wiem że one mi zostaną w zbrojowni jak były, nieprawdą Wojewodo?

— Idzie o cios Zdzisławka mojego? jać dodam zbroję kowaną złotem przez Rzymian jeszcze, dawny to pomnik, a takiej nasi nieukują płatnerze.

—Dobrze, dobrze, a mnie staremu wolno należeć do owego ubiegania się? rzekł Pan Gerwazy.

—Panie Bracie czy wiecie z kim gra idzie?

—Chociażby z Komiatem owym sławnym rozbójników Jadźwingów Książęciem, harcowałem z nim za młodych latek, a był to łowca sprawny, powiadają że rozszarpywał niedźwiedzie, uderzając na nie z nożem tylko w ręku.

—Bywało to za Komiata, Komiat w grobie od latek dawnych, dawnych, ale to sprawa ze Zdzisławem...

Gdy Gerwazy wspomniał Komiata, Zdzisław zadumał się, marząc o przodku sławnym. Starosta powiedział Gerwazemu z kim ubieganie się o nagrodę. Zdzisław spojrzał na przeciwnika, gdy w jego ustach jak echo odbiło się imie Zdzisława. Stary wojownik rozśmiał się szydersko, spoglądając na młodzieńca, na którym tyle polegał Starosta, dostrzegł on tego uśmiechu i dumną zapłacił go pogardą.

—J toć Jadźwinga, rzekł Gerwazy. A tym słowom prócz szyderstwa towarzyszyło jakieś lekceważenie: takim sposobem niemyślę trudzić sił moich, potykałem ja się z tym rodem inaczej .. nieczekając nagrody, ale zemsty za moje krzywdy, zemsty której nienasyciłem do dzisiaj.

Tym słowom wojownika towarzyszył jakiś smutek, żal namiętny, a spojrzenie rzucone na młodzieńca Jadźwingów potomka tak dzikie, aż zmarszczył się, na okazaną wzgardę Zdzisławowi, Starosta; ale kto pamiętał klęski Gerwazego od Jadźwingów zadane, ten nie dziwił i nie gniewał się pamięci złączonéj z samą nienawiścią. Wojewoda niesłyszał słów ostatnich Gerwazego, niedosłyszał ich pono Zdzisław; bo obadwa wtedy, już zajmowali się rozstawianiem myśliwców po kniei, a drugich szykując w obławę. Gerwazy był to stary spracowany wojak, mający blisko lat ośmdziesiąt, ale zahartowawszy siły rycersko w kraju potrzebach, dzisiaj na łowach nieustępował żadnemu z młodzi, a w czasie wojny i jednéj nie minął wyprawy. Chociaż włos siwy, czerstwe jeszcze miał lica, oko chociaż przygasłe, lecz żywe a szramiaste czoło: barki szerokie i krzepkie jeszcze dłonie, a wzrost kolosalny. Charakter jego był dziki i mstliwy, było w duszy cnót rodowych niemało te jednak-

że przemagały nad innemi, które były rycerskie, lecz męzkość Gerwazego zmięszana była z jakąś rozpaczą dziwaczną i nie dziw kto znał życie i przygody Gerwazego, ten rozumie jego serce. Dawnemi bardzo czasy podobno przed śmiercią jeszcze Komiata, Gerwazemu Jadźwingowie włość spalili, a mszcząc się upornej dworca obrony, gdy go zdobyli, wyrznęli żonę i troje dziatek drobnych; poginęli wszyscy towarzysze, sam tylko Gerwazy bronił sie jeszcze w ciasnem przejściu alkowy, aż szczęśliwie nadbiegła odsiecz, chociaż już późna, ocalił jednak życie Gerwazy. Nie dziw się czytelniku, że stawiam ci w opowiadaniu samych mordów obrazy, były to wieki wojenne, okropne napady pogaństwa z jednej strony, dumne feodalnych panów zatargi z drugiej napełniły karty dziejów krwią samą prawie, stawiając przed oczy szereg mogił, grzebiących cnoty rycerskie, niknące jedne po drugich w fantastycznych nieraz uniesieniach, walcząc za fałszywe pojęcia o honorze i godności własnej, Jadźwingowie mężni w boju, łącząc wojownicze cnoty z chciwością łupów, niszczyli kraje Mazowsza i sąsiedniej Mało Polski napadając z nienacka bezbronnych nieprzygotowanych do oporu mieszkańców. J żadne plemie podobno, z tych, które zlały się powoli w jeden

Naród Polski nie przedstawia nam takiego jak Jadźwingowie obrazu. Małe wspomnienia w dziejach, drobną składając całość, przedstawiają nam, choc iaż w zakresie dość szczupłym, jednakże wyraźne rysy dzielnego ludu. Uporne trwanie w bałwochwalstwie niedopuszczało weń oświaty zachodu; ztąd dzielność przyrodzona, nieotrząśnięta z koczowniczego barbarzyństwa, w czynach dzikich, niemiłe nam zostawiła o nich wspomnienia. Słabość sił szczupłego narodu niemogła sięgnąć szczytu potęgi pomiędzy sąsiadami, mimo tego widzimy ubieganie się wytrwałe, niezłomne, aż przemagające siły dręczonych sąsiadów położyły koniec ich samodzielnemu istnieniu. Mijają wieki, mijają pokolenia ludów dzielnych, giną szczepy znamienite; ostatki zlawszy się w massy, w pomięszanéj krwi dzieciach żyją jedynie wspomnieniami, których czas niezatrze. W czasach mało-piśmiennych jeszcze, przemknęli się Jadźwingowie, niezostawiając po sobie nic oprócz pamięci klęsk jakie zadawali sąsiadom; wszystko co znajdzie dzisiaj o nich badacz, niezłoży wybitnego rysu ich charakteru. Kto więc zbudza ich przeszłość z mogiły, na szkicowych jedynie wsparłszy się zarysach, śmiało roić może o Jadźwingach dziko, fantastycznie. Ale dość o tém, wracam do Gerwazego. Stary wojownik

do dzisiaj chowa pamięć swojéj krzywdy, niejeden podobną jemu zniósł klęskę i zapomniał dawno, ale Gerwazy był namiętniejszego serca, żywszych uczuć, dzielniejszego ognia i nigdy nie zapomniał Jadźwingów. Zemstę zaprzysiągł i mścił się do ostątka istnienia nienawistnego mu ludu. Dzisiaj pamięci nawet upadłych dziką okazuje wzgardę; spojrzy na Zdzisława zapomni wnet o jego cnotach, bo ród Zdzisława jest Jadźwingów rodem; on już gardzi młodzieńcem. Nie słyszał nigdy Zdzisław bluźniących jego rodowi słów Gerwazego, ale młodzieńcowi zrozumiałe aż nadto spojrzenia starca, by w nich coś więcéj wyczytał jak słowa. I Zdzisław nigdy niezapomniał odpłacić mu zimną pogardą; — a w sercu — w jego sercu? Czyliż on nie szanuje nad dziadów pamięci?

Trąby myśliwskie zabrzmiały hasłem — powtórzyły echa wyciem przeciągłem ten odgłos, rozbiegając się w najgłębsze puszczy wąwozy i gęstwiny. Popłoszone dzieci pustyni zrywają się z legowisk — gibka sarna ucieka bojaźliwie — przeciąga się gotowy do stoczenia boju niedźwiedź a tury i żubry gęstą potrząsaiąc grzywą stawiają rogi i głuchem ryczeniem oznajmują napastnikom, że czekaią śmiało bitwy.

Młódź rozbiega się w różne strony kniei, ten marzy o nagrodach Starosty i Wojewody, ów własnej dogadzając passyi szuka chciwym wzrokiem nieprzyjaciela, a Zdzisław zasępiony przedziera się w niebezpieczne gęstwiny, między łożyska turów i niedzwiedzi i szepce sam do siebie.

—Komiat był dzielny — przyznał mu to najzawziętszy nieprzyjaciel rodu Jadźwingów. Jam potomkiem jednego z towarzyszy Komiata lub jego poddanych, bogdajbym w téj chwili dowiódł, iże każdy Jadźwinga ma serce prócz dłoni. Spojrzał na mnie z pogardą wróg mojego rodu; mierzy mnie szyderczém okiem od stóp do głowy — oj! gdyby nie twoje siwe włosy, to żelazo powiedziałoby ci wszystko co w sercu dla ciebie. «*Jadźwinga*!» To było ostatnie wychodzące słowo z ust jego, które dosłyszałem. Z jakimże to imie wymawiał przyciskiem; zda mi się że widziałem na tych szramach jego twarzy boleść, żal, zemstę i trwogę strojące sie w jeden wyraz szyderskiej pogardy na jego licach, kiedy wymawiał imie Jadźwingów, przynajmniéj zna ich serca.... nieujmiesz im tego w czem godni chwały a twoje piersi, twarz i dłonie noszą pamiątki dzielności i niejednej z nimi pracy. —

To wyrzekłszy niby sam do siebie, niby żaląc się wiatrom, Zdzisław podniół głowę i uglądać począł przeciwnika. Gdy młodzian w najciemniejszy bór zaszedł, z legowiska mchem słanego, podniósł się mruk olbrzymi i mrucząc uchodzić począł.

— Wy dumni Lachy, — uderzacie w tedy na dziką bestją, kiedy z was kilku przypatruje się czynowi odważniejszego; Jadźwinga, mając z natury duszę odważną, niepotrzebował ani oklasków, ani, w przypadku obrony, towarzyszy — łowił sam jeden, jakby to szedł obławą... Hej mruku! zwróć się do mnie i nadstaw pierś i paszczą!

To mówiąc Zdzisław wypuścił drobną strzałę dla rozdrażnienia bestyi, niedźwiedź raniony, chociaż lekko, wspiął się i zwrócił ku ścigającemu go młodzieńcowi. Rozśmiał się Zdzisław, odrzucił od siebie dziryt i z krótkim kordem oczekiwał zbliżenia się mruka. Rozgniewany niedźwiedź zadaną raną, rozjuszony dumną pogardą stojącego nieruchomo myśliwca, wspiął się i z roztwartemi łapami biegł szybko na przeciwnika. Zdzisław stanął silnie i kord odmierzył. Już mruk ryczący miał go w uściskach swoich zawinąć, a roztwartej paszczy kły, miały w krwi młodzieńca się spłukać, kiedy kord siłą pchnię-

ty dłonią zagrządł w sercu syna pustyni — jęknął zwierz głucho i upadł na ziemię. —

— Ha Łachy stąwcie tak czoło bestyi! — a tak bił Komiat, tak mnie uczył Olelko. —

To rzekłszy róg myśliwski uchwycił, róg znanego głosu, udrzył weń przeciągle trzy razy — i wnet odpowiedziała ech wrzawa, a potém gwar rogów odzywających się z różnych stron pustyni. —

— Ha! Panie Gerwazy, omyliłże mnie kiedy Zdzisławko? Słyszę chasło jego rogu, Zdzisław zwycięzeą olbrzymiego mruka, bo przeciągle brzmiały tony jego pieśni.... Hop! hop!

— Hop! hop!.. odpowiedział Zdzisław — hop! hop! powtórzyli myśliwcy, czy echa — wreszcie Starosta stanął u pagórka, na którym Zdzisław wsparłszy się na przeciwnika trupie oczekiwał przyzwanych.

— To Ojciec kniei, jakem Starosta! — niewidziałem podobnej wielkości mruka — rana w piersi — z kordem tak śmiały Zdzisławko? — Wiesz co młodzieńcze, to za wiele lekkomyślności... mruk tak olbrzymi... niespotkałem od dzieciństwa podobnego!

— Otóż i drugi tam sunie, zawołał Pan Gerwazy: to łup dla mnie!

To wyrzekłszy Pan Gerwazy wypuścił trafnie strzałę, ta bok rozpruła bestyi — niedźwiedź ogniem z ócz prysnął, kły zapianił i pobiegł ku myśliwcom. Gerwazy wysuwa się szybko naprzód — w dłoni starca rochatyna — zwierz ją wytrąca, widzi to Zdzisław — wacha się chwilę — » to wróg mojego rodu! « szepnęły usta, ale niepowtórzyło tych wyrazów serce, Zdzisław poskoczył tej chwili ku bestyi, kiedy starzec leżał już powalony... kord błysnął zwierz się podnosi zaryczy okropnie — i dwa pchnięcia jednocześnie lgną we wnętrznościach jego — kord Zdzisława w paszczy nóż Gerwazego w boku. —

— Chwała Ci Boże! Otóż macie Panie Gerwazy, za ciężko z ośmiu krzyżykami stawać z mrukiem do boju — drży już prawica i zdradza często-gęsto.. Szczęście że Zdzisław w czas nadbiegł....

— Nie to, nie to Starosto, dłoń jeszcze pewna, ale traf nieszczęśliwy, uderzyłem o pień nogą i to przyczyną.... że upadłem na ziemię... dziękuję ci za pomóc młodzieńcze....

— To,mówiąc niepodał dłoni wybawcy swojemu Gerwazy, i zimném tylko jak i słowa podziękował spojrzeniem. Zdzisław nic nie odrzekł, tylko nadbiegłym pachołkom wskazał na łupy,

a sam wziąwszy rochatynę do ręki, rzekł do Starosty.

— Kolej na tura, znajdę go w głębi puszczy.

— Dość tego, dość młokosie, i sił nie forsuj — i życia nie narażaj bez potrzeby — poczciwe serce i dłoń silna przydadzą się jeszcze nie w jednej potrzebie!

Ale młodzieniec niesłuchał przestrogi, odbiegł od towarzyszy w głąb lasu — puścił psa gończego w knieję i zdążał dalej. Próżne były poszukiwania młodzieńca, znachodził nieostygłe jeszcze legowiska żubrów i turów; ale nie spotkał żadnego.

— A cóż za licho uwzięło się na mnie, zda się że przeczuwają zbliżanie się moje i wczas uchodzą i żubry i tury — przysięgam że niewyjdę z kniei dopóki jednego z nich u stóp niepołożę moich! —

To mówiąc przedzierał się Zdzisław w dzikie jary, zasłane kłodami zwalonych dębów — tak dwie z górą błądził godziny, aż przed nim rzednące modrzewie i buki zapowiedziały niwę otwartą. Postąpił ku niej Zdzisław i stanął u brzegu lasu, a taki przed oczami miał obr az:

Kwadratowa, prawie dość obszerna niwa, zasłana była wyblichowanemi kościami ludzkiemi. — Tu i owdzie porozrzucane szkielety przedstawiały jakby koczowisko umarłych. Dojrzałeś wspartą o kamień białą trupią głowę tam znowu palce zanurzone w ziemię, i w błocie grzęznące szczęki — a dalej od brzegu wysoka mogiła ozdobiona krzyżem, wznosiła się pod cieniem wybujałego świerku. Wpośrodku tego obrazu śmierci, na niwie sterczał zrąb nizki kamiennéj jakiejś budowy, a wszędy dzikie porasta zielsko ostu lub żółtej paproci. — Zadumał się Zdzisław, wlepiając troskliwie oko w ten zniszczenia przybytek i szeptał sam do siebie.

— Od sześciu lat przebiegam okoliczne knieje, najgłębsze pruje zarośla — tu pierwszy raz zachodzę.... Cóż to jest?... czy złudzenie czyli jakowe czary?

— Tak sobie mówił zdumiony Zdzisław, a wiatr kurzawy suchéj pochwyciwszy słupiec, tańczył z nim dokoła ruin budowy, to zagrał pieśnią fantastyczną, dziką, wzruszając konary odwiecznych drzew pustyni. Młodzieniec toczył na około wzrokiem, zadrżał stanąwszy śród tego cmentarza — ale po chwili dreszcz go ten opuścił — Zdzisław spojrzał dumném okiem po niwie, u

uchylił kołpaka przed krzyżem na mogile i ciekawością wiedziony postępował zwolna ku ruinom. — Była to sześciokątna budowla z prostych złożona głazów, mchem przekładanych warstwami. Dachu tu nigdy podobno nie było; szeroki tylko otwor służył za bramę wchodową. Do koła świątyni porozrzucane stósami leżały czaszki, tak drobne czasem, jakby to dziecięce - miałżeby mór gwałtowny zachwycić mieszkańców lasów w tych miejscach i jednéj chwili wymordować ich razem? — A ten krzyż na mogile co znaczy? dla czegożby wszystkich w podobne niezachówano grobowce? Mór gwałtowny uśmiercił tysiące mężów, starców, niewiast i dzieci — a to żelazo połamane, nibyto tarcze strzaskane, kord złamany, kawał przyłbicy, co one znaczą tutaj rownież poniszczone?! Te żelaza szczątki rumienią się rdzą krwawą--te głazy zrąbu czarno poplamione— krew że to co je zbryzgała przyschnięta? —

Tak sobie dumał Zdzisław, zbliżając się coraz ku ruinom, pod jego nogą trzaskają przepalone od słońca i czaszki i żebra —a myśl tak posępna, ciemna, jak grobowa cisza, to szumi — to jęknie echem w sercu i duszy młodzieńca. Gdy już dochodził Zdzisław drzwi budowy, rumot jakiś zatętniał wewnątrz. Wśród tak posępnych obrazów i myśli, niedziw że zadrżał chociaż odważny mło-

dzieniec przerażony niespodziewanym chałasem. Stanął na chwilę, ale wnet odzyskał wrodzoną moc duszy, rękojeść tylko uścisnął rochatyny i wewnątrz budowy wstąpił.

Powierzchowność murów zewnętrzna i zarosła dziko niwa, niezapowiadały wcale podobnej czystości, jaką zastał wewnątrz Zdzisław. Głazy porównane płasko, zakryte były nibyto hieroglifami: niby wyobrażeniami rozlicznych figur. Naprzeciw drzwi framuga wklęsła, mieściła niezgrabnie wyciosaną statuę, wyobrażającą jakieś zapewne pogańskie bożyszcze. Wydeptane z ziemi czarnej dno świątyni, powiadało że tu nie zawsze bez ludzi. Przed bożyszcza posągiem kamienny niski podnosi się słupiec, zapewne ołtarz ofiarny świeże nosi krwi ślady i resztki popiołu z ogniska, zagasłego niedawno. Po rogach świątyni trupie głowy, z utkwionemi w czaszkach ostrzami noży, bielały opierając zęby długie na grubych, suchych piszczelach.—

Zatoczył Zdzisław dokoła okiem powoli, i wszystko zobaczywszy z kolei; utkwił znowu zrenice w bożyszcza posągu...

— O nieba! krzyknął postępując żywo ku posągowi.. oczy młodzieńca pryskały ogniem, na wierzch prawie wychodząc, utykały w piersi

bożyszcza — a na tej piersi wyryte znamie sześciokątnej gwiazdy między dwoma kłami odyńca, zakrzywionemi do środka wklęsłością. — Szybko młodzieniec roztwarł odzienie swej piersi, zwrócił tam oczy i widzi znak ten sam wykłuty na niej wyraźnie.

A więc to przodków moich świątynia — a to przedmiot czci naddziadów moich — ten posąg... Te kości, co bielą się na niwie — to szczątki ojców moich niezawodnie; byłożby to pobojowisko ostatniej ich klęski? O Boże wielki! — Lachy krwi ojców moich wytoczyli tyle, a jam żył dotąd pomiędzy niemi i niepomścił się krzywdy mojego narodu.

— Jesteś prawem dziecięciem Komiatów! zawołał Olelko pojawiający się jak duch bez ciała tuż obok Zdzisława niespodzianie; Olelko odziany w suknią barda; tak jak przebywał na dworze Wojewody, stał na przeciw młodzieńca i wlepił weń rozrzewnione i łzą zwilżone oczy.

— Nie wyrzekaj przeciwko sobie Zdzisławie — nie jesteś wyrodnym! Kto szanuje Ojców popioły ten posiada jeszcze szlachetną ich duszę — Młodzieńcze! godzina zemsty nie wybiła jeszcze, niewskazano ci dotąd ofiary — a serce kochać ci każe tych Lachów z którymi obcujesz, bo je-

dni zastępują ci rodziców, drudzy przyjaźnie dłoń ściskają. O dziecie! znałem Jadźwingę srogiego serca, co darował życie zabójcy swojego ojca — bo tym zabójcą był ojciec jego kochanki — przyjaciel poczciwy! — Odgadłeś, stanąwszy na téj niwie, czyje depcesz kości, łza twoja polała ich popioły — a łza ognistéj duszy młodzieńca, to miła ojcom ofiara, gdy skrapia śmiertelne ich szczątki.

Zdzisław jeszcze więcéj zdumiony spoglądał na Olelka. Starca oblicze malowało wybitnie co w jego dzieje się duszy, żal, gniew, żądza zemsty, smutek i uśmiech zarazem zlały się na brunatne rysy jego, harmonją dziką. Ta gra muskułów wybitna, mieszając się z ogniem źrenicy przedstawiała w odbitym blasku jak echo walkę uczuć wewnętrzną. Wpatrywał się Zdzisław w te lica i zadrżało mu serce, sam niewiedział co wyrzeknąć; konwulsyjnie drżą usta, szukając wyrazów a wyrazom brakło głosu w piersi. — Toczył tylko wzrokiem to na pierś swoją jeszcze — to na piersi bożyszcza — to na lica Olelka szukając objaśnienia tych godeł. Olelko zrosił łzą posiwiałą brodę: łza srebrna jak perełka upadła na ołtarz kamienny i zaschło znowu oko, jakby w piersi cała rzewność zagasła. Dawne długie, bez nadziei szczęśliwszéj przyszłości cierpienia

tak zahartują i serce i duszę, że obudzona czułość potrwa tylko małą chwilkę i zanurzy się znowu gdzieś w serca głębi, jędną tylko łzą błysnąwszy a zimna, posępna tęsknota, co już stała się życiem człowieka jedynie, ona osiądzie na lica i płomień buchający z serca zamrozi. Duch tylko dzielny, ognisty, on błądzi po cmentarzach — nurza się w głębi przyszłości — śledzi obecne chwile — zbiera siły — działa i postępuje dalej; takim był Olelko; — Zdzisław znowu jak młody, zrazu uderzony, co uczuł silnie, to zakorzenia się w sercu, rozlewa rzewność, łzę wyciśnie, wstrząśnie duszą, krew wzburzy_wołając: «zemsty! zemsty!»

— Olelku! widzisz moje piersi, spojrzyj na piersi bożyszcza i powiedz mi coby to godło miało za znaczenie?...

— Posłuchaj młodzieńcze, wiele to obchodzi ciebie, i wolno ci o tém i teraz usłyszeć, byś znał swą krzywdę, swą godność tym więcej. —

« Dawnemi czasy przodkowie Jadźwingów mięszkali przy górach wielkich na południu, między rzekami bystremi na bogatych dolinach a żyli tam spokojnie, pasąc trzody i uprawiając rolę. (8) Szczęśliwy to wiek, gdy ludzie bez chuci, własnych rąk pracą, żyją sobie w ci-

szy — tak żyli niegdyś Jadźwingów przodkowie, żywiąc się ziemi owocem, stad mlekiem. A w tém ze wschodu lud dziki napada, swobodne dzieci z ich zagród wypiera, krwią broczy ziemię, w pożóg niwy stroi. (9) Bronią się dzielnie Jadźwingi spokojne — krzywdy uczucie wprawi do żelaza nawet i tego co go nieznał nigdy. Przemogła dzicza, mocą wyciśnieni, szukając siedlisk spokojnych jak dawne, reszta co uszła niszczycielów rzezi, aż tutaj przyszła i w lasach osiadła. Mijały wieki — ale już téj ciszy co dawniéj między przodkami gościła nieznajdziesz nigdy w całém dziejów paśmie, bo zewsząd dumne cisną się sąsiady i lesistego zajrzą kęsa ziemi. Tak i Jadźwinga, Jadźwinga spokojny pochwycił oręż bić się za swe bogi, bronić swéj strzechy i rodzinnéj ziemi. —

« Bratni lud, dawniéj, Pruss Litwy i Żmudzi, jedne czcił z nami i do dziś czci Bogi — ale na chwilę niezwiązał się zgodą i wzdy szarpany wewnątrz zgryzotami. Kiedy domowe jątrzyły się pany, Jadźwinga Lachów zaczął zwiedzać ziemie. Krasiwe Laszki, piękne Lachów zbroje, bogatsze jeszcze ich rzędy ich stada, a gdyby słońce świeci srebro, złoto. Tak i Jadźwinga zachciał Lachów złota, a ich dostatków zyszczesz tylko mieczem, a więc do miecza! »

» Bóg Perun wielki zesłał z niebios syna, pomiędzy knieje, pomiędzy Jadźwingi — zwał on się Komiat, pierwszy rządził nami, i wiódł na Lachy wiódł na Ruś po łupy. On to nauczył Jadźwingów gardzić śmiercią, on to nauczył umrzeć lub zwyciężać; — był z niebios, świadczy jego życie, życie leciwe i nadludzka siła — ach o tem tysiąc naprawiłbym dziwów, ale prowadzę do mej odpowiedzi. — Na pamięć ojca wszystkie Boga syny co od Komiata pierwszego ród wiodły, godło na piersiach takie sobie ryły. Gwiazda niebieski ród Bogów cechuje, a kły odyńca to zwycięztw pamiątki — to godło wszystkiem Peruginów dzieciom na piersiach jeszcze w niemowlęctwie wykłuwały matki; kto nosi to godło nosi je jako potomek długiego szeregu Komiatów — dzieci Peruna. Niedawnych dziadów skreśliłem ci dzieje, pamiętasz w ten czas na zamku Wojewody po skończeniu biesiad i tańców. Nieodróżniano imieniem szczególnem żadnego z czterdziestu potomków Peruna — zwał się Komiatem — był potomkiem Bogów, musiał być dzielnym i strasznym dla wrogów. — Wiedz teraz synu z kogo ród wywodzisz, synu Komiatów, synu Perugina, pomnij na ród twój, stań się ojców godnym!

— Więc ja potomek tak dzielnego ludu, potomek książęcego rodu, do tyla poniżonym dzi-

siaj, że zebrać muszę kęsa chleba u tych Lachów, co niegdyś drzeli przed Komiatem naddziadem moim? Nie mogę wierzyć samemu sobie w tej chwili, aby ze szczytu wielkości sławy i potęgi mógł kto upadać do takiej małości. O ja nieszczęśliwy potomek Komiatów!... Gdzież przodkowie moi, gdzież sławne ich imie?

Olelku reszty dopowiedz mi dziejów, ostatni Komiat Ojciec mój czy żyje? lub na mogiłę zaprowadź mnie jego, a jeśli znajdę grobowiec Rodzica, pokaż mi braci — niech tam płaczę z nimi, albo uścisnę ojca jeśli żywy...

— Ostatni Komiat, twój rodzic? — ach wiele już wody poniosły rzeki na morza, od owej chwili kiedy Komiat twój Rodzic przyciskał cię do piersi i spoczywającego na matki łonie darzył ukochanego syna imieniem. Od ostatniej klęski Jadźwingów — gdzie Komiat?... trudno powiedzieć, może śpi w mogile, może jak żebrak tuła się po dworach wrogów i dłoń wyciąga, dłoń bez miecza — ale serce Komiata, ono niezaspało ani na chwilę, ono i w samej niemocy mści się lub zemstę roi... jeżeli tylko żyje Komiat jeszcze. Pytasz o braci, byś z niemi jednemi łzami mógł pokropić mogiłę ojcowską — spojrzyj po kraju do koła świątyni, znajdziesz z nich

pełno bielejących czaszek, suchych piszczeli do miecza bez dłoni, bez ciała — z niemi to pieśni żanuć Rodzicowi!! A pieśń ta dzika jęknie żalem w duszy, jeżeli pieśń twa ku niemu zabłądzi — wstrząśnie się serce na klęsk tych wspomnienie, bo któż ich sprawcą, ach Komiat twój Rodzic!. co błądził płocho dla miłości Laszki!

— Mówiłeś przecież Olelku niedawno, że ród Jadźwingów niewygasł do szczętu, lud wojowniczy — bo wiem o tym ludu co dobrowolnie Lachów przyjął pęta, tego nie liczę, lecz ty mnie mówiłeś że są Jadźwingowie i z sercem i z duszą... do miecza ochotni — by ojców pomścić krzywdy... pokaż mi tych Jadźwingów!

— Zawcześnie synu, zawcześnie! miej cierpliwość, przyjdzie ten czas, kiedy dla ciebie nic nie będzie tajnego, poznasz braci, uściskasz ich w twojém objęciu — powitają cię jak syna Komiatów — ale dzisiaj wstrzymaj w piersi żądze, — chowaj ją i zmieniaj powoli w zemstę na Lachy okropną!

— Olelku, czemuż pośród mojego pragnienia gdy tak usilnie chcę dowiedzieć się o tem wszystkiem co ród mój obchodzi tyle, dla czego każesz mi czekać, dla czego żyć pomiędzy Lachami, których nienawidzić winienem jak wrogów

mojego rodu — zabójcow braci — co lud dzielny znękali do szczętu — znaczenia i potęgi nie zostawiając.

— Młodzieńcze, poskrom ten ogień, zamknij w piersi tę żądzę! powiedziałem tobie przyjdzie ten czas, kiedy dowiesz się wszystkiego... Żyłeś pomiędzy Lachami lat tyle, wiedziałeś tylko o tem że jesteś Jadźwingą — wiesz dzisiaj, nadto że są jeszcze Jadźwingowie niepodlegli Lachom, ukryci w lasach głębokich — co walczyć i mścić się potrafią.

Wyraz twarzy Olelka, kiedy to mówił, tak był dzikim surowym, że Zdzisław od małości ulegać mu nawykły, zaprzestał badań i tylko zamyślony toczył wzrokiem dokoła świątyni, a Olelko spoglądał raz na niego, drugi raz na poległych szczątki i równie tęsknym pokrył czoło smutkiem.—Jakiż to obraz bolesny—spojrzeć było po niwie tej chwili!—Pole zasłane szkieletami, bieleją do koła rozrzucone kości bez pogrzebu, jak który upadł i skonał Jadźwinga, tak leżeć będzie do skończenia swiata — zwierz tylko zgłodniały, mieszkaniec puszczy, czaszkę z martwéj odarł błony, poszarpał piersi, porozwłóczył kości. Na środku pola stoi powalony do połowy zrąb starożytnej świątyni, pośród któréj opuszczone stoi bożyszcze, bożyszcze bez czcicieli,

duma w ciszy i tylko dyszący na falach skrzyp konarów i szum głuchy śpiewa mu chórem pieśń tak dziką, jak byli dzicy czciciele bożyszcza. Niema kapłana, niemasz starej pieśni — a jeżli czasem przybłąka się jeszcze który, sam ofiarę złoży, łzą ją poleje, uderzy czołem przed bóstwem i uchodzi coprędzéj w głębokie jary, nim go wroga dostrzeże i wytropi oko. Téj chwili przed bożyszcza obrazem stoi młodzieniec potomek panującéj między Jadźwingami rodziny. Lachy go wypiastowali z dzieciństwa polały wodą, kazali i nauczyli czcić prawego Boga. — Jdeale wiary naddziadów! ten młodzieniec nieuderzy czołem przed tobą, bo on zna prawdy niezbite, on poznał Boga jako Boga, bez innéj postaci jak duch; łza błyszczy w młodzieńca oku —cóż ona znaczy? Chwiałżeby się młodzian w zasadach rzuconych w serce? O nie, ta łza nie za bogów ruiną ona tylko przypominającemu sobie dawną ojców potęgę, posrebrzyła oko — ona płynie z dumy i nienawiści! Dziecięciem będąc: jako syn Komiata stał u szczytu potęgi i wielkości rodu, dzisiaj, igrzysko losu, pomiędzy Lachami przytułku szukać musi i twarz maskować — i kłamać co chwila, dla jakich nadziei? dla nadziei Olelka, .. on sam więcej niewie, ale gdy spojrzy w twarz starca tyle tam dumy, tyle ufnej wiary, tyle po-

tęgi umysłu; że Zdzisław zapomina o wszystkiemi jak wierzy w Boga wierzy w myśl Olelka. — Do tego obrazu zbierzmy rysy Olelka. Starzec zadumany, z szyderskim na oliwkowej twarzy uśmiechem, zdaje się gardzić wszystkiemi przeciwnościami jakie go gnębią, a wolą niezgięty działa myślą a może i czynem. Któż jest ten starzec — spojrzę w czoło ono tak wzniosłe, spojrzę w jego oczy w nich tyle ognia, — spojrzę w jego barki silne, spojrzę na piersi, mocne serca bicie wzdyma je, ściska i miota jak fala bałwanem wody — a dłoń konwulsyjnie to miecz uściśnie to o piersi uderzy, a usta szepcą jakieś ciche słowa, którychby sama niewykradła cisza podsłuchem. A choćby silniej głosu pierś dodała, to dźwięk wyrazów starca tak szalony, dziki, że go chyba powtórzą echa — a stary dąb święcony zrozumie — bo ludzi mało, mało żywych, co go uchem pochwycą a sercem powtórzą.

— Zdzisławie, spojrzyj na niebo, słońce chyląc się coraz ku zachodowi już tylko purpurą błyska z za konarów; za niedługą godzinę noc ciemna zaskoczy nas w tej puszczy, zostać tu niemożemy, wracajmy do zamku Wojewody. Nie mów i słowa, rozumiem twoje spojrzenie, pytasz mię po co wracamy pomiędzy Lachów?

nie badaj ale bądź posłusznym zanucimy im pieśń łowiecką — a potém opowiem straszną powieść o zemście Litwina a potém ....już mnie rozumiesz, żyć nam z Lachami długo jeszcze potrzeba zanim ostatnią sprawiemy im biesiadę A teraz synu coś grzeszył lat tyle, oddaj razem zemną pokłon temu bożyszczu, ktore stu naszych cziło naddziadów, —

To mówiąc Olelko upadł twarzą na ziemię, prochem czarne oszpecił kędziory, czołem o ziemię kilkakroć uderzył, i pierś do ziemi cisnął, jak gdyby w objęciach swoich uścisnąć chciał tę ziemię, na której spoczywają prochy rodaków jego tysiąca, a serce bijąc silnie liczyło niby sekundy czasu, po którego upływie z grobów powstaną mściciele. — Zdzisław tylko westchnął, spojrzał w niebo, pogardliwie spojrzał na bałwan kamienny, potem zatoczył na Olelka okiem z wyrazem politowania.

— A więc gardzisz Bogami Ojców? zawołał podnosząc się z ziemi Olelko: — nieuchylasz newet czoła przed Ojcem Peruginów rodu ?

— Olelku, szanuję pamięć ojców, ale bałwanom pogańskim bić czołem niemogę... bo czczę prawego Boga!...

— Lachy, Bog Lachów—to twoje życie, twoje wszystko wyrodny synu! Prawy Bóg — Bóg Chrześcijański, Bóg Lachów, potrafiłże ten Bóg zmienić moje serce chociaż patrzyłem na niego lat tyle, potrafiłże on zatrzeć w mojéj duszy pamięć naddziadów, pamięć mojéj chwały? Synu Komiatów niegodny! oto bożyszcze, przed którem cały szereg naddziadów twoich bił czołem, oto świątynia, przed któréj podwojami tysiące Jadźwingow składało Bogom hołdy i ofiary— oto ołtarz na ktorym Bogu własne dzieci na ofiary składały matki! Patrz na te czaszki, w których tkwią do dzisiaj żelaza; -to pomniki zwycięztw naszych, to głowy polskich rycerzy sławnych, i dziewic krasiwych spadły na cześć tego Boga— a ty synu, nawet uchylić przed nim czołem nie możesz!? Czyliż Lachów dusza wniknęła w duszę twoją, aby cię zrobić Komiatów synem wyrodnym?

— Olelku, niegniewam się za te cierpkie słowa na ciebie, ale posłuchaj mnie chwilę. Bóg nasz, Bóg Chrześcijański niejest jak ten posąg kamiennem bożyszczem, ale ten Bóg jest duchem czystym na niebiosach mieszkającym, co patrzy z góry na ludzi i sprawiedliwie sądzi ich czyny, dobrych po śmierci przyjmując do królestwa swojego, gdzie samo szczęście mie-

szka, a złych wpycha on na ogień wieczny, do piekieł, bez litości, tak jak oni niemieli żadnéj czci dla niego. Bóg Chrześcijański krwawéj nie żąda ofiary, brzydzi się zabójstwem, on tylko żąda od ludzi miłości coby płynęła z serca, a chleb w pocie czoła wygrzebany z ziemi to najmilsza jemu ofiara, gdyż ludzi stworzył Bóg do pracy. W dzieciństwie mojém polano mnie wodą; zostałem Chrześcijaninem, a prawdy jakich nauczał mnie Ojciec Antoni zamkowy kapelan, wraz z przybraną moją Rodzicą Wojewodziną, są tak święte, tak niezłomne, że bez ubliżenia prawemu Bogu, ja dziś bałwanom hołdować niemogę.

— Znam ja Zdzisławie, znam wasze nauki, powiedz mi teraz — w czem Bóg Chrześcijan potężniejszy? Widzisz ten lud Jadźwingów, co nazywasz ich marami, bez ducha, bez ciała, oni przyjęli chrzest, imiona — od Chrześcijańskich Kapłanów i dzisiaj, raz kłaniają się przed krzyżem, drugi raz przed dębem pląsają święconym — a ród ich podły znikczemniały, zagrzebał się w roli, z Rusją i Lachami pomięszał bez śladu dawnej potęgi, bez pamięci wielkiego imienia. Za czemże ty młodzieńcze wzdychasz? pragniesz poznać twoich rodaków — a gardzisz bogami ich i wiarą!? — Jesteś ty Ja-

dźwingą bijąc czołem razem z Lachami jednemu Bogu? Spojrzyj na te kości walające się po niwie w prochach — czyjeż to dłonie wydarły życie tylu mężom?

— Olelku, niesądź aby jedność wiary pogodziła mnie z wrogami mojego rodu, moje oczy przejrzały, wszakże to samo ujrzałem słońce które przyświeca Lachom Jadźwingom i Niemcom. — Jestże w tem jaka siła coby kojarzyła w jednę rodzinę wszystkie te ludy co jednym cieszą się słońcem? — Tak samo, Olelku, prawego Boga znajomość, niezmieni gruntu duszy mojej i mojego serca. W jednej swiątyni pokłaniam się z niemi razem prawemu Bogu, ale nasze serca jakże biją odmiennie! — Bóg prawy, kazał bliźnich jak siebie samych kochać — ale nie zabronił mścić się braci moich Jadźwingów krzywdy! Olelku wzrosłem pomiędzy Lachami. ale przysięgam ci, że tylko żyję samą nienawiścią ku nim! Bić czołem temu posągowi niemogę ale cześć, ojcom moim wyrządzę!

To rzekłszy rozrzewniony młodzieniec, upadł na kolana około stosu suchych kości, co u proga świątyni leżały, łzy gorące polały się z jego oczu, przyciskał do piersi suchą czaszkę i wyrzekał:

— Może to Ojca mojego popioły, może to bra. ci rodzonych szczątki — o! mój Boże, wy pozabijani od Lachów przemocy, a ja żyjąc pomiędzy tymi Lachami tylko łzami broczyć mogę wasze popioły — a waszą krzywdę zdolnyż jestem pomścić...

— Patrzaj Zdzisławie na te drobne kostki to rówienników twoich popioły — oni wzrosłszy razem z tobą, dzisiaj, o! pewno gromilibyście Lachy!

Kiedy tak młodzian wyrzekł rzewliwie, Olelko spojrzał na twarz młodzieńca, a na tej twarzy drzały muskuły gwałtownie; krew parta z serca, rumieniła płomieniem lica, ogień to nie łzy z oczu pryskały.... Starzec podniósł w niebo oczy, z tych oczu dzika jakaś płynęła modlitwa, a dłonie Olelka błogosławieństwem zawisły nad głową młodzieńca,

Podniósł się Zdzisław i zadumany toczył okiem dokoła pola, a zewsząd zdawało mu się że duchy ojców ulatując w powietrzu wołają na niego: « Synu! synu! zemsty wołamy — zemsty żądamy od ciebie — godnie odpłać krzywdę naszą Lachom, lub z nami w jednychże zagrzeb się ruinach!

— Zdzisławie czas powracać....

Ostatnie były to słowa co zabrzmiały tego wieczora w pośrodku świątyni. Pochylony młodzian zarzucił na ramię rohatynę i postępował obok starca powolnym krokiem. Jego marzenia tak błędnie snuły się splątane, że nie dociekłbyś wątku ani ich celu. I niedziw gdy spojrzym w serce, które w krótkim czasu przeciągu tyle silnych odebrało wrażeń, że ono tak szalenie mięsza uczucia. Niedziw téj posępnej zadumie, gdy wspomnimy na dziecinne lata Zdzisława i zobaczymy dwie siły kształcące je razem. Kapłan Chrześcijański wszczepiając weń prawdy religii ogłaszanéj ludziom przez samego Boga, kształcił i miękczył serce Zdzisława, co chwila Olelko z drugiej strony dziecięciu przygrywał na lirze i śpiewał pieśni, a pieśni tak twarde że one serce słuchającego dziecięcia co dźwięk to nowym okrywały hartem. A każda powieść Olelka o rycerzu lub dzikim człowieku była tak dumna, tak dzika, że dziecięcą duszę wznosiła nad poziom w dzikie sfery, zdala od cywilizacyi, i uczyła w kniejach staczać bój z niedźwiedziem, zrzucała z serca wszelką bojaźń śmierci i mordów dzikszą zaszczepiała żądzę. Tej chwili pamięć ojców chwały, i krzywdy, z żądzą zemsty i prawdy Chrześcijańskiej świętościami stawając do walki, chwiały i szarpały serce młodzień-

ca, niemogąc stanowczo przechylić zwycięztwa. Młodzieniec bystry pojmował to dobrze że w położeniu Jadźwingów dzisiejszém, aby skutecznie działać pomszczenia ojców krzywdy, potrzeba oprócz siły ciała znajomości jeszcze wojennéj sztuki, tak jak biją się zachodni rycerze; potrzeba licznych ramion do szabli, a te by zebrać, w ostygłych sercach Jadźwingów znękanych potrzeba dziką rozbudzić nienawiść, na dzikie potwory ród cały zamienić. Nie znał Zdzisław liczby rodaków aby na pewniejszą roił jakie bądź nadzieje, przenikał słabiuchną ich szczupłość — był przecież z rodu Jadźwingą i posiadał duszę ród jego odznaczającą. Duma wrodzona nie pozwalała mu liczyć wprzódy nieprzyjaciół aż zwycięży — bo gdy zginie, jedno mu ginąć od garstki, albo od tysięcy wrogów. Żądza zemsty w dzikiem sercu nie pozwalała rozważać, a jeżeli myśl Zdzisława zadraźnioną została na chwilę głosem rozsądku, wnet niecierpliwość szalona ognista wołała z głębi duszy; «zemsty! zemsty!» Jeżeli co liczył, liczył tylko chwile oddzielające go od téj chwili kiedy Olelko zaprowadzi go pomiędzy rodaków — kiedy będzie mógł powiedzieć że jest Komiatem.

Kilka godzin dopiero jak dowiedział się Zdzisław że jest Komiatów synem. Ta wiadomość

zda się że choć nieszczęśliwego, do szaleństwa z radości przywieść powinnaby Jadźwingę. Tym czasem przeciwnie prawie — Zdzisław wie o tem że jest książęciem z rodu, ma prawo rozkazywać i przywodzić w boju rodakom swoim — a jednakże smutniejszy jeszcze prawie. I cóż, że książęciem? on zdawna czuł godność swoję co go wynosiła na Króle i książęta, bo czuł ten ogień co uderzał sercem w piersi, bo czuł tę siłę jaką chowa w dłoni — i wiedział że jest Jadźwingą, a i to było dosyć, było aż nadto dla jego dumy. Był tułaczem nieszczęśliwym i utyskiwał jako Jadźwinga: czyliż dostojność poznana w tak smutnych okolicznościach może nas pocieszyć chociażby na chwilę, a cóż dopiero pocieszyć duszę ognistą i mocno czujące serce!... Był odtąd Komiatem i cierpiał odtąd jak znękany Komiat.

Już mrok zapadać począł, a po długiej ubieżeniu drogi Zdzisław pierwszy odezwał się do Olelka:

— Wracamy do zamku pomiędzy Lachów; jam dziś powalił dwóch niedźwiedzi, a Staroście oświadczyłem że przyniosę mu kły tura lub zubrze rogi dziś jeszcze. Olelku, powiedzieliby że Zdzisław już nie ma serca — powiedziałby to

wróg nasz najzawziętszy Gerwazy, któremu ocaliłem życie zyskawszy za to zimne tylko spojrzenie jakby zmięszane z zazdrości i gniewu płomieni bladych.... Ot! słyszysz Olelku łomot drobnych gałązek tam w kniei; spieszmy, to lekkie skoki tura....

— Zdzisławie! ochraniaj drogiego ci życia, drogiego i potrzebnego komuś jeszcze więcéj....

Ale Zdzisław nie słyszał tego głosu i Olelko pospieszał za biegnącym szybko. Zdzisław wyprzedził znacznie starca, w rzednącéj gęstwinie dostrzegł sunące kudłate zwierze, niby to niedźwiedź na dwóch łapach wspięty — podnosi rohatynę, dobiega krańca gęstwiny, ale w miejsce dzikiego zwierza spotyka człowieka okrytego w skury niedźwiedzie, a ten człowiek widząc u Zdzisława podniesioną rohatynę, pochwycił strzałę i w łuk ją napiął. Zdzisław dumnem przeciwnika zmierzył okiem, jednakże bez powodu nie śmiał uderzać na nieznajomego, którego twarz wreszcie i budowa tak zajmującemi były, że Zdzisław mimowolnie zatrzymał na nich spojrzenie i opuścił rohatynę do ziemi. Wnet w nieznajomy odjął strzałę od łuku i wlepił równie badawcze i dumne spojrzenie w Zdzisława

oblicze, śledząc tam wyrazu twarzy marsowatym wzrokiem. Nieznajomy był to młodzieniec tego wieku co Zdzisław, niewięcéj nad dwadzieścia dwie wiosen liczący. Cera ogorzała, brunatna, rozlewała się po licach jego pomięszana z świeżością młodzieńczego wieku i żywo kwitnącym rumieńcem. Oko bystre czarne wystrzelało z pod czarnych brwi w łuk zagiętych, długie włosy w kędziory wijąc się spadały na ramiona, mięszając się z kudłami przewróconéj włosem do góry niedźwiedziéj odzieży. Kołpak rysi na głowie ozdobiony był piórami orlemi; za pasem który zdobiło złoto tkwił nóż wielki oprawny w kieł olbrzymiego odyńca czy tura, bogaty łuk z sajdakiem zwieszały się przez ramie, róg myśliwski na rzemieniu — a w dłoni kończasta spisa. Wlepiając w siebie spojrzenia młodzieńcy, niby oświadczając wzajemną do boju gotowość, ale szanując nawzajem okazaną dumę, nie okazywali wzrokiem pogardy. Już mieli obadwa w swoje obrócić się strony, kiedy Olelko idąc w ślad za Zdzisławem wyszedł z gęstwiny i stanął pomiędzy młodzieńcami. Czoło Olelka okryło się gniewem, spojrzał na nieznajomego i wymówił słów kilka w niezrozumiałym Zdzisławowi języku; ani to był język Rusinów, ani język Jadźwingów. Młodzieniec pokłonił się starcowi dzi-

waczuie i już miał odchodzić — Olelko skinął, młodzieniec pozostał.

— Nie życzyłem sobie tego wcale, Zdzisławie, ażebyś ujrzał którego bądź z rodaków twoich wprzódy, nim przyjdzie czas wyznaczony; przeznaczenie jednakże odmiennie zrządziło. Widzisz przed sobą młodzieńca krwi twojej, jestto Jadźwinga dzikich lasów mieszkaniec — Jadźwinga co dotąd nie ulega Lachom — imie jego jest *Mleczko*. — Dowiesz się później jak wiele obchodzi ciebie ten młodzian, tej chwili dość na tém co usłyszałeś. — Mleczku, oto jest Zdzisław o którym słyszałeś.... podajcie sobie dłonie po przyjacielsku.... obadwa nieszczęśliwi.... obadwa zawzięci krzywdy ojców mściciele ...

Olelko mówił do obudwu językiem Jadźwingów; nauczył się od Olelka zdawna przodków mowy Zdzisław, dość było młodzieńcom usłyszeć chociaż słowo o sobie.— Zdzisław pierwszy postąpił ku rodakowi żywo i dłoń podał przyjacielsko, ale Mleczko dziki wydał okrzyk radości, lica jego pokrył uśmiech tak słodki, tak żywy, jaki dziś ujrzysz chyba równie szczery na licach kochanki ucieszonej powrotem lubego. Rzucił się Mleczko w objęcia Zdzisława i ściskał go radośnie, Zdzisław znowu tajemnem

wiedziony przeczuciem odpłacił uścisk uściskiem — sam nie wie dlaczego tak mu błogo, tak miło – ale mu trudno z objęć wyrwać się Mleczka.

Skinął Olelko na Mleczka tajemniczo — i żal jakowyś osiada na czole młodziana, spogląda na Zdzisława i tak mu żałosno i miło, — a znak tajemniczy starca tyle potężny, że Mleczko aż gniewem pokrył znów czoło, spoglądając na starca nieostygłegó jeszcze z zapału, którym się uniósł widząc przeczuciem wiedzionych młodzieńców do serdecznego uścisku.

— Perunie wielki! szeptał starzec, łzą brocząc poorane lica: Boże Jadźwingów potężny, ześlij z nieba boskiego twojego ognia w serca tych dzieci nieszczęśliwego ludu, ludu który kochałeś i wsparłeś nawet zsyłając mu na wodza dzielnego syna twojego! niech twoją wsparci dzielnością wzrastają na Lachów zgubę — a znowu twoje ołtarze krew bogatych ofiar poleje, ogień święty zatleje i dęby święte mlekiem i miodem polewać będą dziewice hoże!

Spojrzał starzec na Mleczka a w Mleczka oczach zdają się brzmieć słowa, chociaż milczą usta:

— Dlaczegóż każesz milczéć moim ustom, dla czego nie mam wyjawić Zdzisławowi tego, co nas obudwu tak wiele obchodzi.... a mnie z tem ciężko na sercu, bo ja do razu pokochałem Zdzisława... a on kocha mnie tylko jak nieszczęśliwy Jadźwinga Jadźwingę.

Uniesienie Olelka przeminęło szybko, zimna rozwaga usunęła z myśli całą przeszłość, a silna wola zabrała się jak zwykle do czynu.

— Młodzieńcy, czas wam rozstać się ze sobą. Dajcie sobie w zakład przyjaźni upominki i wracajmy gdzie potrzeba nakazuje.

Zdzisław zdjął z siebie kołczan złocony i zawiesił go na barkach Mleczka, a ten znowu odpiął róg myśliwski i podał go Zdzisławowi i mówił:

— Kiedykolwiek w tych lasach trafiłoby się tobie niebezpieczeństwo jakie, uderzaj w ten róg trzy razy, a stu mężów niezwłocznie na pomoc ci stanie. — Żegnaj Zdzisławie — zobaczymy się niezadługo, ale odtąd zawsze będziemy żyć i działać razem jak nam krwi jedność każe!

To rzekłszy Mleczko roztwarł odzienie na piersi, ukazał Zdzisławowi to samo godło co jego zdobiło piersi i wykrzyknął jakieś hasło rado-

sne. A potém uścisnąwizy raz jeszcze Zdzisława szybko oddalił się i zniknął w kniei głębokiej.

Zdzisław odprowadził go powolnym serca wzrokiem; trudno oderwać mu się od Mleczka.... od rodaka — ściga go okiem daleko, już zniknął w gęstwinie, a jeszcze oczy młodzieńca zwrócone w tę stronę; niewidzialna siła związała dwa serca młode: im dalej Mleczko tym mocniej ściska się serce Zdzisława — westchnął i postępował wolnym krokiem za wzywającym go Olelkiem. Widział to samo godło na piersiach Mleczka co ród Komiatów cechuje; już nie pyta Olelka, bo Olelko powiedział: «wiele on ciebie obchodzi!» — téj chwili Zdzisław dowiedział się że Mleczko z Komiatów rodu — a ten uścisk serdeczny młodzieńca, czyliż nie objaśniają rzeczy dosyć. Zdzisław milczy, postępuje zwolna śród nocy coraz czarniejszéj znajomemi scieszkami, nic nie przerywa obudwu milczenia, tylko czasem spłoszonego ptaka szum skrzydeł, albo łomot drobnych gałązek pod nogami żubra, i znowu cisza i stóp ich własnych szmer po liściach lekki.

— Zdzisławie, przerwał pierwszy Olelko po długiem milczeniu, obawiałeś się Lachów pośmiewiska i słusznie, gdybyś stanął bez obieca-

néj zdobyczy w ich kole. W istocie i ja sam z próżnemi powracam dłońmi; pozwól mi rogu który od Mleczka dostałeś, a dostaniemy dziś jeszcze zdobyczy.

— Olelku, tak przywykłem do tajemniczości twojéj że słucham tylko jak martwy i wierzę; bo nigdy duszy twojéj głębin zgruntować nie mogę. Masz róg żądany: gdybyś powiedział że na to hasło które wydasz stanie przedemną tur dziki, pełen ufności w twe słowa podniósłbym rohatynę....

Rozśmiał się Olelko jak gdyby go bawiła ta niespokojność młodzieńca — a dawszy hasło jednem w róg uderzeniem stanął i zawołał:

— Mówiłeś Zdzisławie, że Bóg Lachów wielki mieszka jako duch na niebiosach i zapatrując się z góry na ludzkie czyny, rządzi wszystkich podług sprawiedliwości świętéj. Pokażę tobie że i bałwochwalec, jak nazywasz mnie Jadźwinga, ma swoje opiekuny co ratują go w ciężkich życia potrzebach: jakoż przekonam cię za chwilę małym dowodem tego.

Uderzył raz jeszcze w róg Mleczka Olelko, i wnet niedaleko dało się słyszeć głuche świśnięcie jakby syk węża powolny; nie zważał tego Zdzisław, ale dosłyszał wyraźnie Olelko i za-

wołał głosem donośnym, ale mową niezrozumiałą słów kilka. To samo co pierwej świśnięcie basłem odpowiedziało za hasło — Olelko skinął na zdumionego tem postępowaniem Zdzisława; postępowali znowu ku brzegom lasu niezbyt odległym, w milczeniu. Minęło chwil kilka: gdy stanęli u krańca lasów, dał się słyszeć głos trąbki na polu — powtórzyły go echa, zrozumiał Olelko, a Zdzisław zadumany na nic nie zwracał uwagi. Marzył on o Jadźwingach, marzył o młodzieńcu którego poznał co dopiero, a tak mu w sercu tęskno, tak smutno — jak dotąd nie było nigdy.

— Zwróćmy się Zdzisławie do wielkiego dębu, tam u stóp jego czeka na nas zdobycz, którą pochlubić możemy się w Lachów kole — jest-to łup bogaty, a do zyskania trudny komu brak serca i silnéj dłoni.

— Mógłżebym ja Olelku pochlubić się obcą zdobyczą, jak gdyby moje piersi i dłonie ostygły już i odwykły od bojów na puszczy? Wstyd mi stanąć pomiędzy Lachami z gołą dłonią, ale znośniej jak obciążonemu cudzą zdobyczą udawać czyny swoje za cudze.

— Naucz się młodzieńcze postępować zdradnie: ta niecnota nie hańbi Jadźwingi kiedy walczy

z wrogiem silniejszym, a walczy za całość własną, ojców chwałę — i krzywdy swojego narodu. Zwodzić Lachów możesz bez zgrozy, zwódź ich śmiało mój synu—dusza twoja niech tylko o przodkach marzy, chęci twoje za nimi tylko niech gonią — a wtedy czyny twoje rumieńca wstydu nie zasłużą. Oto stawamy u wielkiego dęba.... Patrz, kły odyńca, kły tura, niedźwiedzie skury, świeże, ciepłe jeszcze nieledwie—a tu rogi żubra; i zwierza znajdziesz tu jutro z którego znachodzimy myśliwca ozdoby. Niedaleko ztąd do zamku, młodzieńcze; nie chciałbym aby ktobądź wiedział że krążę w tych stronach; nadchodzą biesiady Lachów, musiałbym czas marnować na grywaniu i pieśniach przy lirze, a mnie czasu potrzeba do innego dzieła. Powracaj młodzieńcze do zamku Wojewody, — nie daj poznać po sobie dzisiejszych wrażeń jakie uderzały twoje serce — oszukuj Lachów, a tylko o cierpliwość wytrwałą zaklinam cię i proszę. Ja powracam do kniei i nie wrócę długo — może za kilka dopiero miesięcy, może wtedy jak słońce wiosenne przywoła kwiaty do życia. Zaklinam cię młodzieńcze pamiętaj na ojców popioły, pamiętaj na błędy ostatniego Komiata twojego rodzica: on przez miłość ku Laszce sprowadził klęski Jadźwingom i okropny nasz upadek. Niechaj więc

przez tę pamięć precz z oczu twoich uchodzi ta czarnobrewa Laszka Starościanka, zamknij przed słabością serce; nie Laszka tobie rodzić będzie syny; nie Laszka w swojem łonie pieścić będzie ciebie!... Żegnaj Zdzisławie, zobaczymy się niezadługo.

Uścisnął Zdzisław dłoń starca podaną, słowa nie wyrzekł, ale łza oderwana od rzęsy młodzieńca potoczyła się po jego licach i na dłoni starca upadła jak rosa. Dziwne uczucia miotając sercem młodziana tak zmięszały się gwarnie, że kiedy żadne wygórować nie może, razem złączyły się w łezkę i tą łzą żegnały starca. Olelko dźwiękiem liry rozbudził nocy cichość udając się ku téj samej puszczy z któréj wyprowadził dopiero Zdzisława. Młodzieniec zwolna postępował ku zamkowi drożyną — a brzmiały mu w duszy tony pieśni Olelka zmięszanéj z dźwiękami liry, aż stanął u zamkowéj bramy i posłyszał nowy chór w sali pomiędzy biesiadnikami, chór wojennego rapsodu, chór myśliwskiej pieśni.

— Witaj Zdzisławku! zawołał Starosta na wchodzącego do sali: troszczyła się macierz, o ciebie smutliwa, troszczył i Rodzic czyli nieszczęście jakowe nie spotkało cię w kniei; ja tylko jeden powtarzałem ciągle, powróci Zdzisław powróci ze zdoby-

czą bogatą.—I cóż? nie zgadłem? Panowie Bracia, spojrzyjcie na te kły i rogi odyńców, zubrów, turów, ha to więcéj zdobyczy jak my zyskaliśmy w kniei. Już ja to zawdy na ciebie rachuję i mienie całe stawiłbym za tobą, gdy serce z dłonią mają działać twoje.

— Pożywaj z nami myśliwcze szczęśliwy, broń twoja czarami osnuta chyba, mówił Wojewoda: spełnij ten puhar na cześć pomyślności dzisiejszych. Ocaliłeś życie Panu Gerwazemu, ubiłeś czterech niedźwiedzi, dwóch odyńców, dwóch turów, a nadewszystko pomyślność wesełsza zbawić żywot Panu Gerwazemu.

Stary Gerwazy zmarszczył czoło, gdy mówił o jego wybawieniu Zdzisław i Wojewoda — a gdy zaś Starosta nalał puhar i podał mu go rzekłszy:

— Panie Bracie, za zdrowie dziarskiego mołojca zucha, króla młodzieży, w leśnych uciechach!

— Króla młodzieży w leśnych uciechach?... powtórzył Gerwazy z przyciskiem: spełniałem pełną czarą kiedyś podobne toasty, a nasycałem wnętrza puharów krwią zabójców mojej żony, moich dzieci. Dzisiaj potomek wrogiego mi ludu ocalił życie — cóż mi po tém życiu? na miej-

sce przysługi szlachetnej wepchnął mnie w dłuższe pasmo cierpień, bo któż mnie tutaj na ziemi pocieszy — kiedy mi nikt z rodziny nie pozostał żywy. Weźcie go precz odemnie ten puhar z nektarem; gdyby to był Jadźwingów krwią wypełniony, oj wtedy spełniłbym go jeszcze — by tam wdzięczność okazać Jadźwindze. Weź go ty lepiéj młodzianie i wychyl wołając radośnie: « Niechaj żyje » bo do takiego toastu i piersi moje za słabe, krew już ostygła a krzepnieją dłonie.

— O gdybym takie wiecznie miał spełniać puhary — wszystkie morza i rzeki wypiłbym na świecie, zawołał Zdzisław uniesiony dumą wrodzoną i gniewem na Gerwazego. I krwi znalazłbym do tego toastu, gdziebym jéj znalazł...

Tu zatoczył okiem do koła, zachwiał się przerażony tem że powiedział za wiele: ale w tém oczy jego spoczęły na Gerwazym, dłoń poniosła wskazany puhar do ust drżących, wychylił go niespuszczając oka z przeciwnika. Cisza dokoła stołu zaszumiała głucha, ucichły gwarne rozmowy, nie dziwił się nikt słowom starca bo znał jego życie, znał i jego duszę; nie dziwiono się i młodzieńca słowom bo znali wszyscy charakter Zdzisława, a Gerwazy stary Łowczy ubliżył młodzieńca rodowi.

— Hola, hola, bez gniewu, po co nam tu mięszać posępność do wesela? Gdzie stary Olelko? niechaj nam zaśpiewa pieśń jaką przy lirze — gdzie Olelko?... bo jakem Starosta, podejmę tę starą cytrę i pieśń wam zanucę, pieśń zgody, a ty mnie dośpiewasz Zdzisławie.

*Pieśń Starosty.*

Hej wina w kielichy!
Biesiada, uciecha!
Hej w tany mołojce,
Krasiwe dziewoje
Hop! hop! w około,
Hop! hop! wesoło.
Mołojce w piosenki,
Dziewoje do tańca —
A starzy my sobie
Spojrzemy po młodzi
Sza, sza, w zadumkę,
Sza! sza! my w szumkę!
O Piastach, o Leszkach,
Podumać, pogwarzyć,
To błogo, to miło;
Co serce pamięta
Łzą! łzą! zlać w spomnienia
Łzą! łzą! natchnąć pienia!...

*Pieśń Zdzisława.*

Héj w borze wiatr wyje,
czarny f[illegible] e —

Jak kłęby bałwany,
Spieniły się tonie;
Cóż to tam na brzegu
Zabieli z pod trawy?
Cóż to tam z pod wody
Czernieje zieleni?
Jam dawno widywał
Niespojrzał bez dziwu.
Jam dzisiaj dowiedział
Nieminę bez łzy!
Na niwie jak śniegiem
Wysłane łożysko
Bieli się dokoła
Zgliszcze smutny stęp —
Tam moja uciecha
Tam sprawię biesiady
W puhary zabrzęknę....

*Chór (przerywając).*

Dziarski to mołojec,
On w borach z niedźwiedziem
Z odyńcem, z turami,
W biesiady i tańce
Zagrywa jak zuch!
Hop! hop! w około.
Hop! hop! wesoło.

*Echo.*

Tam sprawię biesiady
W puhary zabrzęknę....

9*

## 3.

Upływały dnie szybko, minęła jesień, długie adwentowe wieczory i Nowy Rok rozpoczął uciesżne mięsopusty. Do około po sąsiedztwach Wojewody, tańce, hulanki, biesiady, kuligi, wszędy zbiera się młodź w liczne koło, a wszędy Zdzisław. Jednakże Zdzisław, ów wesoły Zdzisław co jak rączy jeleń stada, młodéj w uciechach przywodził drużynie, Zdzisław zadziwił wszystkich posępnością swoją, tą nagłą wesołości przemianą na zimną obojętną zadumę. Nikt zbadać tego przyczyny niezdolny, przekłada Wojewoda,

zachęca Starosta, a Zdzisław smutny i smutny niepocieszony niczem.

Gdy zahuczy kapela, staną w pary mołojce, Zdzisław wtedy zdaleka za kołem pląsów stanie, albo wyjdzie z komnaty i z po za okna tylko przygląda się uciechom. Nieraz jak cień zazdrosny sunie zwolna wzdłuż dworca, z okien światła błyskają rzęsiste, w dłoniach srebrne brząkają puhary, lekkiemi skoki zachwycają dziewoje, Zdzisław wtedy zanurzy w tym dymie uciechy rozognione oko, szyderczym uśmiechem wykrzywi jagody, zadrżą usta jego, konwulsyjnie ściskają się dłonie, on jakieś szepcze pacierze czy przekleństwa piekielne.

— Ha Lachy! u was gody, uciecha, gdzie?... na mogiłach moich ojców, na zdeptanych świątyniach przodków... a ród mój dzielny, pogardzony, wygnany z siedlisk ojczystych tuła się poglądając zdala tylko na poniszczone dziedziny. Jadźwinga aż pod Niemnem zmuszony przytułku bezpiecznego szukać, dumnie uchylić musiał przed Litwą głowę i słabe swoje siły przyłączyć do mocniejszych, aby od ostatniej ocalić się ruiny....

Zasępiony młodzieniec długo wzrok ponury utknąwszy w ziemię dumał, a gdy go podniósł

w górę, ujrzał naprzeciwko siebie prosto w oknie siedzącą Helszkę Starościankę. Zmarszczył brwi gdy spojrzał na nią i zwrócił się w inną stronę chcąc odejść. Ale wstrzymała jego krok tajemna wewnętrzna siła — i znowu spogląda na Helszkę.

Dziewica w pląsach zahasana różami kwitnie na licach; uśmiech wesoły, skromny, niewinny igra na jagodach, a oczy czarne strzelają z pod frendzli długiej rzęsy — brwi pogodnie zagięte, łono oddechem się wzdyma, nieledwie serca mocne dosłyszałbyś uderzenia. Spojrzy Zdzisław w te lica, i wzrok uwięził przykuty, spojrzy na wzdzięte piersi, toczoną kibić, gors alabastrowy, a te spojrzenia Helszki jakże słodkie, jak lube!

— Za cóż ty nienawidzić masz Helszkę? szepnęła młodzieńcowi niewiadoma mowa w ucho czy w serce, dość że to czuł i rozumiał w samym sobie. Stary Olelko kazał zapomnieć o Laszce, kazał pragnąć krwi jej rodu. Spojrzyj młodzieńcze na te śliczne oczęta, jak one z uciechy nagle zasępiają się smutkiem, błądzą po komnacie do koła, szukając jakiegoś przedmiotu, a w piersi lgną westchnienia, a serce drży niespokojne. Patrz, gaśnie zwolna rumieniec róży na licach dziewicy, bladość chustą rozpościera

się na czoło, biegnij, biegnij Zdzisławie, ukaż się oczom Helszki, czy też wróci do serca dziewicy ucieszna radość? czy też powróci krasa różana na jagody pobladłe?

Zachwiał się Zdzisław na ten głos tajemniczy co brzmiał w jego sercu, otrząsnął się jakby chciał zrzucić upadające na niego czary — ale napróżno: plącze się coraz więcej w uczuciach własnych, powolnym z miejsca rusza się krokiem i stawa pośród komnaty, stawa na przeciwko Helszki, i wlepia wen strzeliste spojrzenie. Spostrzega go dziewica, pomusknie wzrokiem swoim modre oczy Zdzisława i topi w ziemi wstydliwe spojrzenie. Krasa szkarłatem zakwita, uśmiech wirem przeleci głaszcząc śliczne jagody, a serce drży dziewicy. —

— Ha Zdzisławku! to znowu coś kamieniem na sercu; a cóż boli Aszeci? od godziny uglądam i dojrzeć cię niemogę — No Zdzisławku czy nie kochasz Starosty że jego dom smutnémi zasępiasz dumkami? Myśliwiec i wojownik a sercem i duszą młody, krwią podobnie tobie ognisty — to bywało wesoły powinienem bydź jak dziecko w drużyny kole — w stepie znowu śród kniei niby to sam zwierz dziki, krwiożerczy, nienasycony. — Cóżby to tam po sercu molem

toczyło Aszeci! — nic to pewno — tę czarę spełnij miodu starego i dalej w pląsy mój miły,..

— Cóżby w mojem sercu gościło nowego,. moje serce wzdy jedno i to samo; gdy wpatruję się w jego głębją znajduje tam coraz nowsze boleści źrodło niewyczerpane....

Gdy to mówił Zdzisław, jego oczy niespodziewanie i nieumyślnie zwróciły się na Helszkę — dostrzegł tego Starosta, rozweselił czoło swoje i nalegając dalej na Zdzisława aby puhar wychylił tak z cicha szeptał mu w ucho:

— Nie tak, nie tak mołojce, bywało za latek młodyeń! i u mnie szumki dumki łaziły po sercu, kiedy mnie urocze modre urzekły — oczęta niebezpiecznego bazyliszka z niewieściego rodu. Bywało zrazu smuciłem się włócząc z kąta w kąt, ociężale: jednakże wyperswadowałem sobie było to właśnie przy hulaniu, dalej w tany z czarownicą, wymęczyłem ją pląsami aż westchła, a nazajutrz panu Rodzicowi rozpowiedziałem jako co dzieje się w mojem sercu by skuteczne przedsięwziął leki. — Duszkiem duszkiem mój miły i dalej w tany mołojce! Hej kapelo, skocznego, bo Zdzisławko powiedzie.

Zdzisław podjął do ust wypełnioną czarę starym miodem, czara obszerna, trunek gorący —

spełnił do dna — przejdzie się po sali, troska z serca ucieka, ów z myśli kamień upada. Cóż tam za jedna błysnęła w duszy młodzieńczej nadzieja? Uśmiech od dawna spłoszony okrasił lica rumiane, drzy serce jakoś radośniej, czasem to jeszcze dreszcz przebiegnie, niby to po burzy gdy ostatnie chmurki złotą twarz słońca muskają. — Uchwycił dłoń białą Helszki, w taniec zaprasza, i z duszą z ogniem Mazowieckiego zawraca po sali, a tak składnie, tak gładko jak niebywąło zdawna —

— Jakże też dobrana para, rzekła sąsiadka do sąsiadki; to niby dwie maliny krasne co na jednej wzrosły gałęzi, ściągają na się oczy z okoła — za Helszką wszyscy młodzieńce, za Zazdzisławem dziewoje oczętami stzelają znienacka.

— Ach! sliczna to para jakby ją sam Bóg postanowił jedno dla drugiego...

— I wie Bóg co się stanie, pani sąsiadko; zważałam ja dobrze po Staroście, po Wojewodzie kiedy obadwa przechodzili się pomiędzy młodzieżą, obadwaj spoglądali jeno na te dzieci oboje — a spojrzyjcie tylko na te dziewicę krasną, spojrzyjcie na Zdzisława, na ich dłonie, na oczy!...

Hasali Zdzisław z Helszką, ręka młodzieńca obejmowała kibić wysmukłą cudownej tancerki,

nogi ścigały się skoczne kręgi zataczając po fali muzyki szumiącej harmonijnie po sali. Ach jakże dziwna tańca potęga! szał ogarnąwszy umysł i serce, wyciska ztamtąd wszystko najrzewniejsze, najsmutniejsze, i samem tylko oddychać każe weselem. Cóż dopiero ściskać w objęciach pośród tego tańca nadobną kochankę, do której serca serce ogień ciągnie żywy — Precz namiętności zmysłowe, precz rozkosze najsłodsze! jabym tylko chciał tak wiecznie hasać szalony i innéj nieznać roskoszy, oprócz lekkiego dotknięcia się łona lubéj. Tak samo usposobiony był Zdzisław. Duma dzikiego Jadźwinga zniknęła, zapomniał o rodów wzajemnéj nienawiści, bo miód rozgrzał umysł i rozweselił, miotany w skokach po falach akkordów dotykał tylko kibici Laszki, czuł mocne serca jéj bicie — i już nie wspomni na ojców popioły, na rodaków krzywdy, na żądzę zemsty — zda się że w jego sercu sama tylko miłość panuje,

Spojrzyjmy za dworzec bo tam może został ów zapalony Zdzisław, a tu chyba do sali myśl zamieszała się fantastyczna — nie! dokoła dworca, i śladu jego, tylko w odosobnionéj komnacie zasiedli kołem starzy, przed nimi srebrne puhary nalewa tatarski braniec, paź mały, i gwarna toczy się rozmowa, czy o Jadźwingach lub

napadach Litwy? — Nie. — Tu sobie szumią wspomnienia, tym tylko miłe, co znają się wzajem. Starosta prawi, słuchają wszyscy.

— Bywało Panowie Bracia, za czasów owéj pierwszej młodości, kiedy to w głowie szumi świta najmocniéj — a w sercu upały zbyteczne — zebraliśmy się, a jakoś o téj co dzisiaj porze roku, na uciechę do Kasztelana Pana Michała. Wyborna a liczna zebrała się drużyna — młodzieży huk, dziewic pięknych śliczny wianek — a zjechał też właśnie i pan Starosta nieboszczyk teść, po którym godność dziedziczę, i przywiózł ze sobą cztery córy nadobne. — Ho, ho, już to temu latek czterdzieści obeszło; nie dziwcież się że je nadobnemi nazywam: mówi się o tém jakiemi były, nie jakiemi są dzisiaj — *wiek płynie wdzięk ginie*, takto bywa z latami. — Bywało, mówię, spojrzę na Marysieńkę, jednę z wśrednich, aż serca przyrasta człowiekowi; nie wyszło dwóch dni obcowania w jednéj drużynie i rozmiłowałem się na dobre. Ból serce dręczy, sen ucieka z powieki, a tak z tem miło, tak błogo — i kocham i jeszcze czegoś pragnę — radbym jéj to powiedział, słów nie potrzeba do tego, każde dziewcze z oczów to kochankowi wyczyta — miłość coraz to większa, affekta coraz gorętsze,

aż tutaj kończy się uciecha i rozbiegamy się wszyscy do domów. — Dzień jeden mija, drugi, trzeci, coraz gorzéj, niby to kamień na sercu, z którym tak ciężko, tak żałosno, aże łza na oku stoi. — Cóż tu począć? — jak to zwykle w pustéj stodole niezawodnie siedzi albo wróbel albo sowa, tak i ja umyśliłem wyjawić Rodzicowi gorące moje affekta i błagać go, aby prosił Starosty o Marysieńkę dla mnie za żonę. Jak sobie umyśliłem, takci i spełnić postanowiłem niezwłócząc. Nazajutrz rano Rodzic, wstawszy rano, powrócił już od gospodarki, a ja niezważając na zły humor starca malujący się w oczach, ani też na kij wijący się w dłoni — do nóg ojcu upadłem jak długi. — « Czego Aszeć chcesz odemnie? » zapytał ojciec surowo rozumiejąc że co złego zbroiłem i przebaczenia żądam, a ja nietracąc fantazyi; — « Rodzicu! ja sam nie wiem co dzieje się ze mną! » — « I ja tem bardziéj nie dowiem się co tobie, ale pomyśl Aszeć przecież co takiego, może zrozumiemy się jako. » Ja też nieobwijając w pieluszki słówek, prawię z góry: — « Oto, Panie Rodzicu, rozmiłowałem się w Marysieńce Staróściance, i tak z tem źle na sercu, że żyć bez niéj nie mogę w żaden żywy sposób. » — « A hultaju, krzyknął Rodzic, żony zachciało się tobie — a pacierz umiesz? — ą

Tatary biłeś, a przykazania boskie rozumiesz, nie cnoto?» — I z góry po grzbiecie kijem. — Mater Dei! najgorętsze ostygły affekta, nie czekam końca owéj litanii — nogi za pas i w nogi. Bywało Panowie Bracia jakoś ochłodziło to serce i lżéj zrobiło się jakoś — ani wspomniałem sobie o Marysieńce. Owe wzdychania, ziewania, Bóg wie gdzie znikły — Rodzicowi ani śmiem spojrzéc w oczy, już nie kocham, nienawidzę owszem Marysieńkę moją i przeklinam dnie i godziny owe w których spotkałem ją za czarta pokuszeniem. Mijają tak dnie jedne po drugich, aże powoli znowu to przyśni się, to jako żywa na jawie stawa mi w oczy Marysieńka, i znowu w sercu smutno, ale już żadnéj ratunku nie masz nadziei, cichaczem tylko tłumię westchnienia lub z panią matką radzimy a na próżno wszystko. — Bywamy w Niedziele na nabożeństwie w kościele tym samym co i Marysieńka, a ci na ołtarz niespojrzę ani, a Pan Rodzic w łokieć trąca, czego po kościele oczami świdruję. Miałciś ja, Boże odpuść, inny ołtarzyk całe nie do modlitwy; — wzdy patrząc na niego, bywało przy Ewangelii Swiętéj śpiewaniu, miasto szabli, od pocinania konia wyciągnąłem z za pasa. Nieraz za owe roztargnienie bolesne napomnienia odbierało się od Rodzica — już jako nieżywy cho-

dziłem. —Jednego razu, było to przy Niedzieli, raniusieńko ojciec wysłał mnie do łaźni, a kiedy powróciłem zastałem nowe szaty bogate, pas złocisty i rynsztunek paradny, co wszystko wskazawszy mi ojciec ręką od niechcenia, kazał się ustroić, być gotowym do wyjazdu za chwilę. Uściskałem Rodzica za nogi, niewiedząc za cobym taki zyskał podarek: czyliby za to żem się z Litwą dobrze sprawił na przeszłéj wyprawie. Sam nie wiedziałem, bo i zawsze tak się biło, a nigdy Rodzic nie był w nagradzaniu tak hojny. — Ustroiłem się jak należy, przybrałem w rząd suty konia i stawam przed Rodzicem czekając rozkazu. Jeszcze Rodzic słowa nie wyrzekł, aliżci tentent na dziedzińcu słychać; jadą młodzianie dorodni, na czele Pan Gerwazy jako Starosta weselny, przepasany rańtuchem białym przez ramie. «Co znowu?» pomyślałem zdziwiony, i wlepiam oczy ciekawie w drużynę. Pan Rodzic rozśmiał się uciesznie i rzekł do mnie: « Jacku! wybiegnij na spotkanie gości, bądź dobrej myśli, żenisz się, dziś twoje wesele. " — „A to z kim? zapytałem przerażony. — « Z którąbyś też pragnął?» — » Z Marysieńką! odrzekłem bez wahania. Rozśmiał się znowu Rodzic i mówił: « Niech i tak będzie; szczęść ci Boże na to żenienie! « Ja plackiem do nóg Panu Ojcu, to sa-

mo Macierzy kochanej, Panie świeć nad ich duszami! Popłakali się oboje błogosławiąc mi z serca, a ja i skakałem i płakałem z radości. Bo to bywało Rodzic wymiarkowawszy stałość mojego affektu, i niepokój mój bezustanny, jakoż sechłem widocznie z miłości — takci porozumiał się ze Starostą, ułożył wszystko, i ja w dzień ślubu dowiedziałem się o wszystkiem, wtedy dopiéro gdy młodzianie weselni ślubny przywieźli mi wieniec. Siadłem na konia niezwłócząc i chwili, tak mi było pilno zobaczyć Marysieńkę moją. Nadjechała i cała kalwakata niezadługo — odbyło się wszystko jak przynależy, według praw boskich i ludzkich, i żyję do dzisiaj szczęśliwy z Marysieńką — jako widzicie, oglądając dwoje wnucząt ze starszego syna Macieja — a córki rosną....»

Skończył Starosta. Ktoby podobnież chciał opowiadać przygody młodości swojéj, nie powiedziałby nic nowego, bo wszyscy prawie takie przechodzili koleje. Dziwne też to były czasy dla miłości w owych wiekach. Młodzi kochają się i rozmawiają ze sobą tylko spojrzeniami, zbliżyć im się niewolno, Pani matka córy strzeże, a kochanek nawykły tylko ze szablą i koniem do pieszczot serdecznych, aniby potrafił wziąść się

do wynurzania tego co było na sercu. Ojcowie za to ratowali dzieci swoje w tak ciężkiej potrzebie; poznawali oni z oczu ten magnetyczny pociąg dwojga młodych, a zasiadłszy przy puharze, wylewali z serca to co sobie życzyły ich dzieci — ściskając się wzajemnie, przysięgając przyjaźń dozgonną układali małżeństwa. Przypatrzmy się dalszym obrotom dzisiejszéj gawędy a zobaczymy co z tego wyniknie.

— Mosium Panie! rzekł Gerwazy wychodząc z zadumy, kubek w kubek tako stało się i z ożenieniem mojém: do ostatka nie wiedziałem co się święci między Rodzicami mojemi i mojéj nieboszczki — ale przyznam ze nie paliłem się affektami wam podobnemi Starosto. Mosium Panie, widziałem tylko trzy razy w życiu Gerusię i ożenili mnie z nią *bez mojej porady*. Nie byłem ja dowiedziawszy się ani przeciwko ani za tém, boć mi się też i nie pytali o to. Nie znałem serca Gerusi, po weselu dopiéro w pożyciu słodkiem zakosztowałem rozkoszy, i przekonałem się co to jest mieć żonę i urodną i pobożną — słowem do Boga i do ludzi niewiastę. Dziewięć lat mijało, pięcioro drobnych dziatek wiło się około nas, a myśmy jakoby w miodowe miesiące kochali się wzdy czułe — Niestety! przyszła o-

kropna na mnie próba ze zrządzenia boskiego: napadają Jadźwingowie i niszczą całe moje szczęście. Żona, dziatki zabite, dworzec i włość w pożogu, a ja nieszczęśliwy napróżno po tem wszystkiem szukałem śmierci, bo na nieszczęście jeszcze przyniesiono mi pomoc... trzydzieści lat blisko od owéj nocy okropnej.... odtąd, już ja nie dla świata....«

Nie dokończył Gerwazy, łza błysnęła na oku, milczeli wszyscy przez chwilę — Starzec ścisnął pięści konwulsyjnie, porwał gwałtownie czarę małamazyi, wychylił duszkiem aż do dna samego, pochylił się na ławę, wsparł ręką i dumając smutnie zasnął. Starce powoli znowu do opowiadań do gawędy wrócili; to pieśń zabrzmiała, to brzękły puhary, gwar cichnie: to znowu wzrasta, każdy z drużyny widzi że tu coś święci się nowego. Kasztelan to cóś mowić zacznie to na Wojewodę spojrzy; Wojewoda znowu w rozognionego wpatrzy się Starostę, aż wreście odkalsznął Wojewoda i zaczął grać do Starosty.

— Jadźwinga...., hm... jakże wy też uważacie mojego Zdzisławka, Panie Bracie. Onci z rodu Jadźwingów... niemiłe wszystkim owego narodu wspomnienie, bo każdemu na sercu po

nich jakaś krzywda; byli to poganie, takci i nasi przodkowie napadali za dawnych czasów, jeno tyle że oni zabierali kraje bijąc na granicach rozprzestrzenionéj potęgi, po Dniepru, Sali lub Elbie słupy żelazne dla wiecznéj spraw swoich zachowania pamięci — jakoż doczekało to nas jeszcze, a co działo się, i nasze wnuki zobaczą i posłyszą. Prawda że Jadźwingowie uczciwie dali się nam we znaki! był to przecie naród mężny. Pamiętacie ostatnie z nimi bitwy? mało który uszedł, ginęli prawie wszyscy z mieczem w ręku, kiedy zwyciężyć niemogli. Mój Zdzisławko Jadźwinga z rodu, to prawda, wszelako obyczaj w nim poczciwy i cnota rycerska godna krwi Piastów — Powiédźcież mi Starosto jak wy to w nim smakujecie?

— Ja? Panie Wojewodo, nie powstydziłbym się z takiego syna.

— A jego ród? spyta Wojewoda.

— Ród wiedzie z pogan, ale serce i duszę wyprządł z krwi polskiéj, podobieństwo rysów twarzy jawnie okazywać się zdaje, : chociażby nie dowodziło na pewno to samo że razem z Bożeną znaleźliście go w borze, jako z córy waszéj zrodzony. —Jadźwinga? i cóż z tego? ma serce ojców godne najdzielniejszego Piasta, dłoń silną

zdolną do gromienia nieprzyjaciela; toć dosyć, czego potrzeba do położenia fundamentu chwały imienia.

— A z resztą odziedziczy po mnie majętności wszystkie i Kostków imie od Przybysława Rodzica mego wsławione. . . .

Zrozumiał już Starosta w co mu gra Wojewoda bo też dziwnie wszystko żmierzało w ciągu gawędy całego wieczora do wylania serdecznych affektów. Nawet wszyscy miarkę w piciu przebrali, pomimo surowości obyczaju przestrzeganego z ścisłością. Wojewoda szczery i otwarty, zawzdy co miał w sercu to i na ustach — musiał przecież wybadać Starostę względem jego myśli o Jadźwingów rodzie; kiedy zaś wyrozumiał wszystko dokładnie, wstał od stołu, zawarł drzwi komnaty prowadzące do izby gdzie hasała młodzież, a zasiadłszy znowu na swojem miejscu taką zaczął przemowę:

— Zdawna, zdawna, od kołyski prawie, Panie Starosto, łączyła nas i do dziś wiąże przyjaźń której końca nie będzie między nami chyba w grobie. Żałosno w sercu kiedy sobie człowiek na śmierć wspomni i rozpamiętywa, jakby tu uwiecznić związki rodzin i przyjaźń poczciwą przekazać wnukom i prawnukom jeszcze,

Razem biliśmy Niemcy i Litwę i pogany rozliczne, jeno jeszcze wypadłoby nam umierać razem i w jednym grobie spoczywać. Nie mam rodzonego syna, ale przybrany zastąpił mi to czego sercu brakło — na niego zlewam wszystko — na niego zlewam i affekt braterski jaki kojarzy nasze rodziny — wy macie córki Panie Starosto, córy nadobne wdziękami i poczciwych serc podobnych waszym — jeżeli nie mylę się, co podobno tak nie jest, mój Zdzisławko ku waszéj ma się jakoś Helszce — a od kilku czasów co raz to mu smutniej na sercu, widać tam w sercu skwarne jakieś lato chociaż na świecie Styczniowe dokuczają mrozy. Dajcież mu tę kraśnę dziewoję za żonę, a obudwom miléj będzie oglądać kiedyś we wzrastającym potomku z tego małżeństwa i uwieńczoną miłość dwojga młodych i utwierdzoną przyiaźń dwóch domów... Cóż na to powiecie, Starosto?

— Jakem Starosta, gdybym miał to wszystko co wydarł Polsce Tatarzyn, Litwin i wszystkie nieprzyjacioły od najdawniejszych wieków, nie byłoby mi nic nadto drogiego do oddania wam w dowód życzliwości mojéj. Dość wam to było wspomnieć, dość pomyśleć nawet, a powolności mojéj pewnemi mogliście być w téj mierze, Panie bracie.

— Wiwat poczciwa przyjaźń! Niech żyją Kostkowie i Nałęcze! krzyknęli chórem zebrani do koła stołu. Zabrzękły puhary małmazją brzemienne, duszkiem spełniono toast wzniesiony jednogłośnie. Rozrzewnieni wzajemnem wylaniem serdecznych affektów Wojewoda i Starosta padli w swoje objęcia i w żelaznych bark silnych zawisnęli uściskach. Wojewody lica łza pozłociła — i Starosta niemniej czuły: ściskali siebie, ściskali wszystkich przytomnych. — Błogosławione czasy poczciwéj ojców prostoty — któż dzisiaj znajdzie razem przyjaźń nieobłudną, serce męzkie nieulękłe w boju, dłoń silną hartowną jak żelazo i wesołość uciesznąą, a wszystko w jednym człowieku? — Powrócąż kiedy jeszcze podobni ludzie na ziemię? — O! nie, podobno: trzebaby zbliżyć nam się do natury, tak jak oni bliskiemi byli téj matki rodzicielki — aby zaś odrodzić się podobnie, musiałby runąć świat dzisiejszy i nasza towarzyskość obłudna, i nasze obyczaje miękkie, i nasze serca zniewieściałe, a dopiero wtedy, kiedyby na popiołach naszych wzrosły puszcze dzikie, wtedy rozpierzchnięci po obszarach stepów potomkowie nasi, znając cierpkich owoców soki, wzrastaliby owym naddziadom odległym podobni i ciałem i duszą. Wcałej drużynie jedno tylko zagrało uczucie, jedno uczucie

przyjaźni nastroiło serca do lubej harmonii. W rodziców starych sercach nibyto ogień rozpłonął młodzieńczy; i miłość co związała młode serca dzieci, przelewa się z duszy Wojewody do Starosty duszy — a towarzysze młodości ściskają się równie przyjacielsko. Wojewoda podjął czarę ze stoła, podniósł ją w górę i wykrzyknął:

— Niech żyie *miłość braterska*, szlachecka i przyjaźń poczciwa! Starcowie, Nałęcze, Poraje, wszyscyśmy mieczem okupywali imion naszych chwałę — wszyscyśmy równi!

— Niech żyje miłość i jedność braterska! niech żyje, przyjaźń poczciwa! dwadzieścia chórem wykrzyknęło głosów i znowu toast — » Niech się święcą Kostków i Nałęczów rodziny i herby w jednej połączone tarczy!

I znowu po tem wylaniu przyjacielskiem, młodości wspomnienia ożyły. Bo też ta młodość, tak błoga, tak miła, — że zaledwie krótką potrwa chwilkę, chwilkę ową wktó rej nie czujemy swobody serca i wesela duszy — a potem przez życie całe wspomnienia tych uciech, tych zabaw naiwnych, słodzą cierpienia, i bóle najdolegliwsze. Radzibyśmy znowu stać się dziećmi i tak żyć długo — wiecznie. A kiedy siwizna przypruszy obciążoną latami głowę — i duma czło-

wiek o przyszłem życiu — roi niebo, a w tem niebie same cuda, same roskosze, tak błogie, miłe, niewinne, jak młodzieńcze uciechy. — Tam nadzieja obiecuje nam znaleść przyjacioł, krewnych, kochanków, i wszystko za czem myśl goni tu na ziemi. O niebo! gdybym ja stwarzał ciebie, uwiłbym cię z samych pączków wonnego kwiecia, z samej zieloności majowej; wlałbym atmosferę cnot, niewinności, miłości i wiary! Jakżeby to roskosznie było przenieść się z tej ziemi w takie niebo, po tej walce z pociskami losu, po tej burzy namiętności, po tém uganianiu się niesytem za znikomością bogactw i przepychu! Ale czy każdy podobnego pragnąłby nieba? — Ja niewiem lecz dla mojej duszy wystarczyłoby takie.

W drugiej izbie gdzie brzmi kapela dobrana, pląsa sobie rozochocona młodzież i tylko jak echo zadzwoni czasem odgłos przebijający ściany przytłumionym dźwiękiem: «niech żyje przyjaźń!» Stare matrony przypatrują się pląsom i marzą sobie i rozprawiają gronkami tu i owdzie rozproszone po kątach izby. Około drzwi gdzie zebrani męże, siedzi niewiasta średniego wieku; na jéj licach igra uśmiech zadowolnienia, bacznie zwraca na drzwi uwagę i przymruża niebieskie oczy, jak gdyby chciała tym lepiej pochwycić każdy szmer z przyległego pokoju wykradający się przezedrzwi. Już tam gwar ucichł

i znowu słychać głos tylko jeden, podobno głos rozbudzonego Gerwazego, czy też podochocony prawi rzecz Starosta. Pani Ściborowa (tak się nazywała) odsuwa się już ode drzwi: nic tam już dla niéj ciekawego niesłychać — trudno jéj to w sobie strawić co pochwyciła do serca — podsłuchała ona układy Wojewody ze Starostą i tak sobie w duszy rozważa:

«Jabym miała opowiedzieć komu tajemnicę tak zręcznym wykradzioną podsłuchem? nie zostanie to we mnie.. tak rzecz poprowadzę, tak wszystko ułożę, iże ja a nie która inna będzie swachną. I duma i rozważa, a tak jéj z owym sekretem ciasno i niewygodnie, tak on jéj plącze kręcące się bezładnie słowa na ustach, że już ostatek siłczerpa aby przytłumić w sercu chętkę wyjawienią tajemnicy sąsiadce. Spojrzy na *Panią z Dąbrowy*; to poczciwa przyjaciółka, ale niepoczciwa z tego względu, że co jéj jednéj powierzyć ona wszystkim rozpowie. *Pani na Ruczaju* zazdrosna i podstępna, gotowąby manewrować aby sama swachną została. Ot i nie masz komuby udzielić ciężaru gniotącego serce, a przecież to nad siły jednéj biało-głowy. Ach! *Pani z Milczącéj Woli*, ta wiecznie z zamkniętemi ustami, chyba że pieśń pobożną śpiewa, lub szepce ró-

żaniec, wtedy drgają jéj usta; przywitawszy się z drużyną wracają zawdy do spoczynku zwyczajnego i tylko nadstawia uszy poczciwa kobiecina, co jéj wystarcza do zabawienia się słuchaniem samem. Tu postanowiła ulżyć sercu Pani Ściborowa, jakoż przysiadłszy się do sąsiadki szepnęła jéj w ucho:

— Będziemy mieli wesele huczne niezadługo.

— Gdzie?

— Zdzisław wojewodzic żeni się ze Staro-ścianką Helszką: wysłuchałam dopiéro co jak układali się między sobą Starzy.

— Piękna para.

— Wszystko już ułożone, młodzi zamieszkają zamek Wojewody na Mazowszu, Helszka na wiano sto kóp praskich groszy dostanie!

— Szczęść Boże.

I znowu milczenia chwila. Pani z Milczącéj Woli jak ocean po burzy, wycieńczona bąknięciem słów kilku, siedzi i drzymie. Niemoże znieść takiej obojętności Pani Ściborowa. — «To grób milczący!» szepnęła sobie w duszy i przysiadłszy się do Pani z Dąbrowy, zaczęła z nią jakąś żywą rozprawę. Ta okazała się

czulszą, bo wnet przebiegła do innéj sąsiadki przenosząc do niéj skarb powierzony, którego bała się dusić w saméj sobie, aby go jakie nie wykradły podsłuchy.

W godzinkę niedługą dokoła wieść obiegła całą izbę wedle ściany, aż znowu wróciła do Pani z Milczącéj Woli przez usta Pani z Ruczaju.

— Sąsiadko, będziemy mieli wesele i to huczne, pańskie, szumne....

— Słyszałam.

— I jakże wam się to zdaje? bo to nikt niespodziewał się tego, cicho było wszędzie, a tu jak mi mówiono od czterech niedziel ułożone rzeczy między staremi rodzicami — i ślub z zielonym pierwszéj wiosny listkiem niezawodnie nastąpi.....

— Niewiadomo.

— Tak jest, już od czterech niedziel uradzono.

— Nieprawda.

— Ależ tak mi mówiono — i kiedyżby o tem była rada?

— Dziś.

## 4.

Szum lesie głucho, posępnie; szum tak posępnie jak w mojéj duszy tęskno i bolesno! Ty sobie dębie wyrosłeś z ziemi, wiecznie do ziemi rodzinnéj przykuty, nigdy wygnańcem, a jeżeli chciwy człowiek zrzuci cię z posady, pień twój zagrzęzły w ziemi nowéj latorośli da życie, a trup legnie popiołem i na ojczystéj pogrzebie się ziemi! A ja błąkam się po tym lesie — niemasz tu mojéj rodziny; przybłąkam się między ludzi — ci ludzie dla mnie obcymi.... Dał mi życie Jadźwinga, wzrosłem pomiędzy Lachami — gdzież znajdę mojego rodzica lub braci? Niby to powój dziki, pnę się na kłosy złociste — pokocha-

łem Helszkę, a Helszka z nieprzyjacielskiego rodu.... Olelko... ach! ten Olelko tajemniczy! szesnaście lat kochałem obcego, chwilek kilka jak dowiedziałem się że to mój rodak, i tak mi drogi, radbym go wiecznie mieć przy sobie, zda mi się że to nowy nieznany mi człowiek – jego powieści, jego pieśni od kołyski słyszane, brzmią w mojéj piersi razem; widzę mój ród nieszczęśliwy, widzę Olelka ze łzą w oku gdy śpiewa, niby to promieniem pamięci jeszcze walczy, jeszcze potężny. On mi tak drogi — a jaką władzę nademną posiada?! — Zakazał kochać Laszkę, i kiedy stanę w jéj obliczu jak zbrodniarz przed karą zadrżę.... znowu powoli kocham i kocham ją tylko, myśl swobodnie buja, roję cuda roskoszy — i pośród owej uciechy głos Olelka chrapliwy piorunujący zabrzmi w mojéj duszy: — « Zdzisławie! tyś *Jadźwingą* a Helszka *Laszką*— ona córa nieprzyjaciół twojego rodu, uciekaj od niéj, uciekaj! » — Głos ten dziki, ponury, przytłumiony, wychodzi jak z grobu, jak echo ostatniéj przodków klęski, niby konających jęki — O nieba! jakże ja nieszczęśliwy!

Tak dumał sobie Zdzisław, jak martwy stojąc pośród boru. Drzewa szumią wiatrami po wierzchołkach głaskane, szumią głucho, ponuro, i on

tak zasę piony wrył spojrzenie w ziemię, bez ruchu, o łuk wsparty duma i duma bez końca.

— Precz broni nieużyteczna! po co mi lotne strzały? — nieużyję ich na Lachy, na cóż mordować te biedne zwierzęta? czy za to że mężnie gotowe bronić wolności swojej i życia? — Nie, ja niezabiję żadnego tułacza pustyni — to nieszczęśliwi, niby braciamojemu podobni rodowi — niechaj Lachy pastwią się jak Lachy nad niemi; ja szanować będę podobnych mnie wygnańców na własnej ziemi! W tym borze matka karmiła mnie mlekiem, tu nieraz może oblała mnie łzami.. byłaż nią ta Laszka przy której trupie znaleziono mnie? Ach nikt mnie nieuręczy o tem... Olelko... powieść Olelki o Komiacie Książęciu... tak, to podobne do przygody Wojewodów, przybranych moich rodziców.... Gdzież Olelko? może on wie o tem, on powiedziałby mi przecież...., Lecz zkądże wiedziałby Olelko? byłem dziecięciem drobnem, kiedy ród mój wygubiły Lachy; byłem dziecięciem drobnem, znaliżby wszyscy Jadźwingowie Komiatów syna maleńkiego?... Jednakże ja Komiatem, objaśnił mi to Olelko z godła co zdobi piersi każdego Komiata — a Komiat ostatni porwał Laszkę i ściągnął zemstę jej braci na siebie.... Olelku! Olelku! przyby-

waj, ja drżę niecierpliwy.... O wielki Boże! gdzież znaleść mógłbym Olelka?

Uderzał się w czoło młodzieniec, rzucał okiem do koła szalenie — to naprzód postąpi w głąb, puszczy, to znowu wraca się — i przystawa, i duma, przeklina siebie, zębami zgrzyta — bije się w czoło, nieszczęśliwy — a kto go zaspokoi, kto pocieszy? Olelko, — a gdzie Olelko? Starzec opuścił zamek Wojewody po łowach w dzień drugi i dotąd niewraca.

Obraz to szalony, igrzysko losu okropne; młodzieniec namiętny, niecierpliwy, ognisty, kocha to co powinien nienawidzić, mścić się powinien gdzie trzeba wdzięczności — pierś ogień wzdyma, bo wie że jest Jadźwingą, bo wie że ma jeszcze współrodaków żyjących w puszczach ukrycie, swobodnie — radby połączył się z nimi, a ten fantastyczny dziwaczny Olelko każe mu zostać pomiędzy Lachami: a tych Lachów niech tylko Zdzisław opuści, już musi być ich wrogiem na zawsze, jako mściciel ojców krzywdy. Dała mu życie może Laszka — i któż go objaśni? on Komiatem, synem panującej rodziny; i gdzie jego puścizna po ojcach? on kocha czarujących wdzięków — Laszkę i wolnoż mu kochać ją bez zbrodni?

W tak okropnem położeniu niedziw że młodzian jak szalony, kiedy cieszą się wszyscy on ponury — wieczory przy ognisku zadumany spędza, dnie w puszczach żaląc się wiatrom, a nocy — wtedy jeszcze, chociaż sen powieki zaklei, marzeń dziennych zachowane w pamięci obrazy mięszają się dziką hormoniją w duszy i zakłócają młodzieńca spoczynek. Wojewoda gdy na Zdzisława spojrzy, rozśmieje się lub westchnie, rojąc sobie o radości młodzieńca kiedy dowie się że piękna Helszka będzie jego żoną. «Smuć się sobie, smuć dzieciucho!» tak sam do siebie mawiał Wojewoda: «lepiej co w głowie poszumi troska, będzie potem weselej sercu daleko, będzie affekt silniejszy co potrwa wiecznie a zawsze poczciwy!» — Tak dumała sobie i Wojewodzina, dlatego nikt niezwracał prawie uwagi na posępność młodzieńca, bo zdawało się każdemu jakoby sprawcą tej uczuć walki, tej smętnej zadumy nie kto był inny jak miłość namiętna. Młodzież nadworna znała także Zdzisława miłość, kochali go wszyscy, bo każdy miał pewien szacunek dla charakteru jego, wbrew powszechnemu uczuciu pogardy ku Jadźwingów rodowi. Ale Zdzisław zdawna stroni od towarzystwa tej młodzi: jeżeli wyjdzie z nimi na łowy, to puszcza się w najdziksze ustronia sa-

motny; jeżeli czasem stanie śród ich koła, milczący będzie jak posąg kamienny, i ciche szepty i śmiechy, nieznaną w nim dotąd zapłaci zimną obojętnością lub pogardliwem spojrzeniem. Na lutni Zdzisława pająk swobodnie pajęczynę snuje, wiąże strony niby żałobnym całunem; nieskory dzisiaj do téj lutni na której przygrywał tak często śpiewając dawniéj razem z Olelkiem rycerskie rapsody; spojrzy tylko po niéj żałobném okiem młodzieniec i jak by uszczknął z jej dźwięków co brzmią w jego duszy jakieś wspomnienie po przodkach, zaszkli łzą modre oczy i posępniejszy jeszcze łuk chwyta, i czy pogoda czy największe słoty, śpieszy w puszczę i tam błądzi samotny. Nikt nie pojmuje gdzie siła, zręczność i odwaga Zdzisława. Łowi, i nieułowił oddawna; byłażby miłość tak silną, aby i samą przekształcić miała duszę człowieka i hartowne zmiękczyć ciało? Szeptał sobie Wojewoda, śmieszyli młodzi dworzanie —a nikt nie znał młodzieńca boleści. A teraz gdzie Olelko przebywa? pójdźmy za nim do puszczy, gdzie i w którą udał się stronę zobaczemy. —

Pożegnawszy Zdzisława starzec zawiesił na barkach lirę i róg myśliwski, ukrył pod suknią oręż, i ze wschodem słońca opuścił mury zam-

kowe. Jesienny poranek błyszczał zamrożonej rosy kroplami, powarzone zimnem kwiatki już nierozlewały woni po dolinie przez którą ku borowi przechodził, głucho do koła szumiała cisza, ptaszęta przytulone w gęstwinach pożółkniętych liści niewitały radosnym śpiewem ranka — tak i starca jesienne myśli niezanurzały się w przyszłości: w upłynionych lat jedynie zaplątane siecie, liczyły chwile szczęścia i swobody.

Minął Olelko step szeroki, przerznął się między lasów gęstwinami, a około południa dopiéro po kilku milach drogi zatrzymał się nad brzegami czarnego Bugu. Wycieńczony nasiłach czuwaniem w weselącyh się zgiełku przez noc całą, znużony długą podróżą, zatrzymał się by spocząć na chwilę, i dobywszy myśliwskiego rogu dał hasło trzema przeciągłemi uderzeniami, i wsparłszy się na dłoni zadumany oczekiwał na kogoś. Minęło chwil kilka, a gdy nikogo widać niebyło, zmarszczył brwi Olelko szeptał sam do siebie:

— Czy już zapomnieli Jadźwingowie czyje to hasło? Oj! biada temu kto zapomniał borowé pieśni Komiatów rogu. Komiat ostatni Książe błądził prawda, ale zawsze był dzielny i lu-

du swojego nie splamił niczem chwały. Sam upadek szlachetny uwiecznił pamięć Jadźwingów; pogniją ciał poległych śmiertelne prochy, ale męztwo i odwaga nasza przejdzie do późnych pokoleń, i sami nieprzyjaciele rodu Jadźwingów wspominać będą ich czyny!

I znowu w róg po trzykroć uderzył — przeciągłe echa powtórzyły to hasło, a gdy skonały gdzieś tonąc w gęstwinach daleko, tony jakby tego samego rogu zabrzmiały gdzieś blisko po trzykroć. Niebyło to nowe echo ale odpowiedź zbliżającego się Jadźwingi — bo nim Olelko nowe dał hasło, ukazał się zdala nad rzeki zabrzegiem znany już cokolwiek czytelnikowi młodzieniec, ukazał się Mleczko i szybko zdążał ku starcowi.

— Daleko musiałeś być synu, bo wiele wody przesunął Bug około mnie, a ty dopiero stajesz przedemną.... musiały cicho brzmieć rogu mojego tony, rozbijając się o pnie modrzewi i dębów święconych....

— Niegniewajcie się, ojcze — niepodobna aby Olelko powątpiewał o mojem przywiązaniu i wierze.... posłyszałem dźwięk rogu waszego do razu, ale brzmiał on tak samo, jak ten który dałem w zakładzie przyjaźni Zdzisławowi bli-

źniemu bratu.... Wy zakazaliście mi zbliżać się do czasu pewnego ku niemu, szedłem tylko w tej myśli aby zobaczyć kto mnie przyzywa; w istocie drugie hasło pokazało mi wybitnie pierś waszą staję oto przed wami.

— Słuchaj Mleczku, były te czasy kiedy na dźwięk tego rogu same puszcze zdało się że drżały — dzikie zwierzęta pierzchały daleko — a kiedy odgłos ten popłynął ku zachodowi, trwożne Lachy tuliły sie w kryjówki, lub też zbierając się w szyki czekały niechybnéj walki co rzadko dawała im zwycięztwo. Dziś zabrzmi róg ten po kniei, zabrzmi na błoniu — niemasz lękać się komu, a dźwięk płynie sobie nad mogiłami powoli, i nikt przy wodzu do bojów gotowy nie staje.

— Oj! znajdzie się jeszcze dosyć piersi młodych, co wieńcem starego okolą wodza, i każdéj chwili umrzeć na jego skinienie, każdej chwili uderzać gotowi na sto razy liczniejsze nieprzyjaciół hufce....

— Nie, nie, mój Mleczku; pierś starego wodza okrzykiem wojny nie zabrzmi, pierś starego wodza w róg hasła boju z Lachami niepoda.... za lat chyba wiele, kiedy wzmogą się nasze si-

ły — wtedy może.... wódz młody co po starcu niedołężnym odziedziczy władzę, zwoła młodych ochoczych do boju i poprowadzi was na Lachów dziedziny.... Dzisiaj marnować sił ostatki, jestto na oczewistą wystawiać je zgubę — przyjdzie czas, przyjdzie.... Ale powiedz mi co tam dzieje się w koczowiskach naszych?... Rok to już, jeśli nie więcéj, jak nie nawiedziłem rodaków moich gniazda, a chleb żebrany u wrogów tak gorzki, a dni bez swoich tak smutne. Powiedz mi synu o nich cokolwiek: niedługo stanę w pośrodku ich koła, ale radbym z nimi żyć zawsze; niechaj więc słyszę o nich co chwila, kiedy tam w puszczy zostawać wiecznie niemogę.

— Tak jak to u nas. Kiedy słyszę o dawnéj rodu Jadźwingów potędze, zda mi się że śnię tylko wtedy gdy spoglądam na braci tułających się zdala od siedlisk rodzinnych, bo mojém życiem na jawie, to wspomnienia dawnéj chwały, dzielności — i nadzieje odrodzenia się kiedyś. Czasami tylko wybiegniemy, głęboko w lasy; żaden Lach wtedy spotkany nieujdzie naszéj zemście, łowiemy niedźwiedzie, zubry i tury, i znowu wracamy do koczowisk, oczekując téj wiosny, tego lata, jesieni lub zimy, w których mocniejsi uderzemy na nieprzyjaciół. Ja, ojcze, i każdy pragnie wojny kto młode ma serce — cho-

ciaż pochwycięmy Lacha, nim zginie, dajemy mu oręż do ręki by harcował pojedynczo z ochotnikiem i w pojedynczéj ginie on walce. — Było raz że Lach jeden trzech naszych ranił młodzieńców, bo silny był i odważny, pogardzał tą śmiercią która ominąć go niemiała. Stanąłem z nim do walki: był zmęczony, niedziw że upadł — ale nie raniłem go śmiertelnie, nawet chciałem zachować mu żywot, bo tak mnie uniosła odwaga jego i gotowość na śmierć rozważna; mnie to podobało się bardzo, chciałbym był nawet wolność powrócenia do rodziny dać temu wojownikowi, bo niestanęła mi klęska ojców na pamięci, ale rada starszyzny wyrzekła słowo i umarł... przynajmniéj że nie od mojego godzony miecza.... Jakże dziwne było to spojrzenie konającego! na licach jego zda się uśmiech igrał, chociaż na czole duma znowu osiadła gniewem brwi marszcząc ku sobie — Takie spojrzenie widziałem znowu drugi raz w życiu, było to spojrzenie Zdzisława kiedy mnie z napiętym łukiem spotkał w puszczy na łowach. — Dłoń moja opadła wtedy: czyliby to bogi w niebiosach widzieli i strzegli mnie z góry? czy serce moje przeczuło krew bratnią? ale ja wypuścić na Zdzisława niemogłem strzały, chociaż byłem tego pewny że widzę przed sobą Lacha...

Olelko wpatrywał się w Mleczka, kiedy mu opowiadał spotkanie się z jakimś Lachem który zginął, i spotkanie pierwsze Zdzisława o którym tylko słyszał wprzódy — a czoło Olelka pokryła wtedy chmura posępna, i gdy skończył Mleczko starzec pogrążył się w dumania posępne. Młodzian rozniecił ognisko — dał hasło w swój róg — a niezadługo przybyło dwóch odzianych w skury Jadźwingów, którzy spostrzegłszy Olelka oddali mu pokłon i z ubitéj sarny przyrządzali leśną biesiadę.

— Zawsze, chociażby kropla krwi obcéj zamięszała się w Jadźwingę — mówił sam do siebie Olelko: — już tam serce zmiękczeje i coś Lackiego w żyłach płynie. Pamiętam kiedy w dzieciństwie uderzałem z towarzyszami na broniącą dzieci niedźwiedzicę — nie litowałem się gdy raniona śmiertelnie jeszcze lizała swoje maleńkie i tuliła je do łona. — Uderzałem późniéj na Lachy z drużyną rówienników, zdolnych już do boju młodzieńców; nie wahałem się zabijając bezbronne starce i męże z nieprzyjacielskiego rodu. Nieobchodziła mnie cale ta duma umierających — bo widziałem tylko wrogów, a nie rycerzy szlachetność. Dziś Mleczko młodzian ognisty boi się uderzyć w piersi tego, co wzgardliwe nań rzuca spojrzenie — boi się Lacha, ten co

tysiąc razy potykał się z zubrem i turem! — Jakaż broń zasłania przed synem Komiatów zabójcę Jadźwingów, wroga niezbłaganego — oto rycerska duma. Dziwna moc tych praw i cnót rycerskich! kto tylko z Lachami obcował już zapomina o przodkach krzywdzie. — Komiat ujrzał Laszkę, pokochał ją, była to córa zabójcy jego ojca, i ostatni Komiat, na którym wszystkie Jadźwingów spoczywały nadzieje, przebacza tak nienawistnemu wrogowi, bo on rodzicem jego, kochanki.... Zdzisław, co dała mu życie Laszka co wzrósł pomiędzy Lachami, chociaż zrodzony z Jadźwingi pośród dzikich kniei, chociaż wie że jest Komiatów synem — pogardza bogami ojców! — On czuje rodu swojego krzywdę, mścić się nawet gotowy — ale zdolnyż podnieść oręż na Lachy ten Jadźwinga co z nimi jednego czci Boga? — Mleczko zrodzony i wychowany w puszczach pośród rodaków, on z tej, samej co Zdzisław rodziny — jedna krwi kropla zniszczyła w nim dzikość rodową Jadźwingów, Mleczko podziwia rycerskie Lachów cnoty. I ja sam.... o nie! przysięgam na Peruna!... nieprzebaczę nawet Wojewodzie; jeszcze nim śmierć zawrze moje powieki nasycę się krwią Lachów, wytoczę krew zabójcy Komiata co zginął za Bo-

lesława wyprawy.... pomszczę się śmierci wielkiego Rodzica!... Ale ona... ach ta Laszka....

I pochylił głowę na piersi, dumał jeszcze i zasnął. Mleczko i dwaj Jadźwingowie kolejno czuwali trzymając straż boczną — bo oni zawsze spodziewali się Lachów spotkania; a spotkanie z liczniejszym nieprzyjacielem mogło ostatnią rodu sprowadzić zagładę. Jadźwingowie po ostatniéj klęsce prowadzili już tylko życie rozbójnicze prawie, bo napady ich były tajemne, nieliczne, a napadnięci ginęli pod ich mieczem wszyscy, by nikt nie został coby powiedział Królom Lachów o tem, że są jeszcze mszczący się Jadźwingów potomkowie — aż wzrosną na siłach; a wtedy, wtedy spotkają się w otwartém polu z Litwą lub Żmudzią złączeni, z Prusakami, broniąc jednych bogów, jednych ołtarzy przed Chrześcian mieczem. Tak obiecywał Olelko Zdzisławowi! tak nauczana śniła młódź Jadźwingów po lasach rozpierzchła — Ale kiedy nadejść miała ta chwila?... o tém wie chyba Olelko.

Spocząwszy niezbyt długo Olelko udał się w dalszą podróż z Mleczkiem, a dwaj Jadźwingowie wysłani postępowali przodem.

Już słońce schyliło się ku zachodowi i czerwonym blaskiem złociło lasu wierzchołki kiedy Olelko stanął na małej dolinie, gdzie Bug przesuwając nurty po mieliznach rozlewał wody pomiędzy trzcinami i drobną krzewiną. Było to bobrów siedlisko; drobne chatki przemyślnych zwierząt, rozrzucone łamiącym się rzędem, wystawały z wody na poły, a pracowite ich mieszkańce wyglądały czasami z kryjówek swoich bojaźliwie. Spojrzał na ten obraz Olelko, rzewność posępna zabłysnęła na starca twarzy i mówił do Mleczka drżącym głosem:

— Patrzaj synu, jak te zwierzęta pracowite przyjaznem spoglądają na nas okiem. One również przedmiotem Lachów chciwości, tak jak my ukrywać się muszą, i chociaż z pracy własnego żyją przemysłu, nieujdą przed nienasyconą krwi dłonią Gdyby tu przechodziły Lachy, zapewne ten biedny tułacz pustyni, mówił Olelko wskazując na przypatrującego się przechodzącym bobra, ukryłby się w nurty wody: ale zobaczył równie jak sam nieszczęśliwych, ściganych przez nieprzyjaciół swojego rodu, i przyjaźnie na nas pogląda.

Ten bóbr słaby, niezdolny opierać się nieprzyjaciołom swoim: nam przynajmniej mścić

się można i to osłoda niedoli jedyna; nam przynajmniej nadzieją szczęśliwej doli cieszyć się wolno, i to żywot nasz krzepi niewidzialną siłą. Olelku! powiedzże mi, rychłoż spodziewać się mogę nadejścia tej chwili kiedy zabijać będziemy w otwartém polu z orężem w dłoni nieprzyjaciół naszego rodu? Wszakże nas młodych z dłonią silną i sercem nietrwożliwem znajdzie się do tysiąca gotowych każdej chwili....

Słuchaj synu — Lachów dziedziny zdeptałem stopami mojemi wszystkie prawie — widziałem ludów ich tysiące tysięcy — Powiedzże synu, mogliżbyśmy uderzać na te tłumy nierozważnie?— chciałżebyś z tysiącem młodzi świat cały jak sokoł lotny zszybować od północy na południe, od wschodu do słońca zachodu? — Wasze pokolenie jeszcze słabe, wasze syny chyba....

— Nasze syny, Olelku? a więc my prześnić mamy gnuśnie żywot cały?— nasze syny odziedziczą po nas krew gnuśną! Ach, jakżeby to smutno było żyć długo i żyć bezczynnie, patrzeć tylko na rdzewiejący oręż i na wzrastające coraz w potęgę Lachy, a my w sercu tylko trawić mamy płonący ogień zemsty? — Olelku, pozwoliłeś mi zwiedzić krainy sąsiedniej Litwy. Rok cały przebywałem z Litwą. Jest

zamek Litewskich książąt w Kiernowie, jest drugi w Kownie, pełno tam miast, pełno możnych bojarów, a po ich dworcach jak i na dworach książęcych jęczą w kajdanach pobrane w wojnie Lachy!.. Ach, Olelku, co to za roskosz była patrzeć mi na tych pognębionych starców! Tam pomiędzy nimi jęczało wiele takich co krew Jadźwingów przelewali bez litości, co wyrzynali po siołach starców, niewiasty i dzieci naszego rodu... Szczęśliwa potęgą swoją Litwa! nie drży ona przed Lachem, ale jeszcze bogaci się plonem jego ziemi. Ach! myślałem sobie, gdyby to ród nasz miał tyle do broni zdolnych synów, gdyby w naszéj ziemi takie były zamki, świątynie i czczone w pokoju bogi — jabym od morza do morza Lachów przebiegał dziedziny, zlewałbym bogów ołtarze krwią ich tak hojnie, ażby strumienie toczyły się ku rzekom. Jabym tak chciwie słuchał jęku i zgrzytania rozpaczuego brańców — jak dzisiaj słucham starej pieśni twojej Olelku.... Bo mnie zdawałoby się że w tym jęku dostrzegam krążące, z uśmiechem na licach, dziadów pomordowanych cienie, że tam brżmią radosne okrzyki pomszczonej krwi mojej — a jeżliby ten jęk głuchy przeniknął za bardzo do mojego serca, wtedy uznałbym to za głos grobowy tych braci co jeszcze nie

dosyć pomszczeni i podwoiłbym pomiędzy Lachami mordy, paliłbym zamki ich i włości, krwią zlewał wszystkie mogiły. Dopiero z opustoszonego po napadzie moim nieprzyjaciół kraju, przyniósłbym dzikich zielsk paproci, ostu, i ustroiłbym w takie wieńce Lachów cmentarze i krzyże. »Patrzcie, patrzcie!« wołałbym na błąkające się ich dusze, »to kwiaty z łez i krwi waszych braci wyrosłe! Niedawno wy cieszyliście się rodu naszego zniszczeniem, Jadźwinga sprawia wam w odwecie z krwi waszych braci biesiadę, i pomniki czynów z dzikiego kwiecia splecionemi ozdabia wieńcami, a to dzikie zielsko z trupów waszych pogniłego powzrastało cielska.»

Zapalony młodzieniec, ponurej barbarzyńskiej rozpuściwszy fantazyi skrzydła, roił krwawej uciechy roskosze — a starzec poglądał z boku na twarz jego rozognioną, na oko płomieniejące i westchnął czasem, to rozśmiał się wesoło zadowolniony, to łzą zaszklił źrenicę — kiedy zaś umilkł Mleczko, Olelko wyrzekł tylko:

— Niechaj cię strzegą z góry bogowie Jadźwingów wielcy! Gdyby takie wszystkiej młodzi były serca, gdyby podobny ogień w tych zatlił głazach zimnych co wyrzekli się ojców wiary i żyją z Lachami i Rusią pomięszani bezczynnie, o wtedy......

— Jakto, ojcze? mówiliżbyście to o Zdzisławie?

— Nie, synu. Zdzisława serce, to twoje serce, ogniste porywcze, — *mstliwe* — jedność wiary niepogodzi go z nieprzyjaciołmi rodu. — Ja mówię o tych Jadźwingach co tysiącami ugięli karki pod jarzmo Lachów dobrowolnie, oddali im w posiadłość własne dziedziny, wyrzekli się naddziadów męztwa i żądzy bojów, utopili rodzinne w rzekach bogi, i zmięszani to z ludem zwycięzkim, to z ludem naprowadzonym z dalekich dzierżaw, żyją, jak bawoły grzebiąc w ziemi, niepomni tysiąca braci pomordowanych jęku, niepomni własnej godności poniżonej haniebnie. Gdyby w tym ludu zatlał ogień co dawniej ożywiał ich na wojny wspomnienie, zadrżałyby jeszcze Lachy!... Ale dotąd napróżno pobudzam ich do czynu, napróżno przypominam pieśniami ojców bogi, ojców potęgę i sławę — napróżno pokazuję im młodziana, Komiatów syna, wzrastającego dziarsko, coby ich powiódł na boje — Zdzisław nie ujrzy ich pono między swojemi hufami!...

— Powiedzcież mi Olelku, dlaczego Zdzisław dotychczas z Lachami obcuje, kiedy już na siłach dzielny i z Lachami wojując nieraz, poznał obyczaje ich wojen. — To niepodobna aby Zdzisław kiedyś mógł zabijać tych Lachów,

z którymi u jednego pożywa stoła, z którymi jednemu Bogu czołem uderza — pląsa wosoło z Laszkami, a jak mówiliście podobno że Laszka oczarowała go wdziękami swojemi.... O! gdyby wiedziała o tem piękna Diwana!!

— Diwana o tem wiedzieć niemoże, Mleczko jéj tego nigdy niepowie. Pamiętaj synu że Olelko czuwa nad potomkiem Komiatów rodu, czuwa nad bratem twoim: Olelko wywikłać zdolny z tych sideł niewieścich ognistego młodzieńca. Zdzisław o Laszce zapomni — Zdzisław nawet wiarę Lachów porzucić musi i przed naszemi uderzy czołem bogami. Niezadługo! oj niezadługo uściśniesz znowu Zdzisława bliźniego brata — i już nierozstaniesz się z nim nigdy. Zdzisław zaślubi Diwanę obyczajem przodków, Zdzisław pomiędzy Lachami wyćwiczony wprawiać będzie do bojów młódz bratnią i rządzić ludem jak rządzili jego ojcowie. Jedynie przywodząc dzielnemu ludowi rozdzielać się będziecie męztwem w bojach i z dobytemi na wrogach łupami.

Słuchał Starca i niby niesłuchał Mleczko on sobie dumał, dumał, o Zdzisławie, dumał o rodzicu dzielnym Komiacie, dumał o matce co mu dała życie i pytał naprożno o drobne względem nich objaśnienia Olelka,

— Dobry Olelku, co cię ród nasz cały czci ojca imieniem, którego jednozgodnie uznajemy za sędziego i książęcia we wszystkich siedzibach, powiedz mi Olelku, zaklinam cię na bogi — pamiętasz mojego rodzica? Pamiętasz rodzicielkę moją? U mnie tylko nienawiść ku Lachom gra w duszy, ale kiedy sobie wspomnę o tych co dali mi życie... ja nieznałem ich nigdy, niezachowały w pamięci dziecinne oczy ich obrazu.... jednakże tak tam błogo, tak lubo i smutno zarazem, wszystko co nienawistne ucieka precz z serca wtedy — i żal jedynie zmięszany z tęsknotą uciska je tak silnie, że radbym za groby ulecieć by ich raz tylko uścisnąć, zobaczyć. Choćbym też znalazł ich kości suche, jabym tak pieścił się z niemi wtedy, jak widzę pieszczącą się dziecinę drobną z piersią karmiącej ją matki! Ileżby to nieulżyło sercu!

Kiedy z rozrzewnieniem błagał starca Mleczko, Olelko tak był drżącym, tak pomięszanym; drżały rozognione jego usta, łzą błyszczały źrenice, wznosiły się barki jak gdyby chciał w nich czule uścisnąć młodzieńca — szeptały coś usta zcicha i nagle zasępiło się czoło, ów ogień w bladość się zmienia, Olelko milczy chwilkę zadumany i odpowiada głosem drżącym, niepewnym, badającemu młodzieńcowi:

— Synu!... o jakże miło nazwać cię tem imieniem syna.... tak.... cały ród Jadżwingów nazywa mnie Ojcem, jak kiedyś nazywał Panem Komiatów ród panujący. Nazywali Komiatów książętami, panami, bo wtedy byli potężnemi, i widzieli w tem imieniu potęgę swoją i dzielność .. Dziś Olelko rządzi Jadźwingami — nazywają go Ojcem — bo zgnębieni i słabi szukają tylko opieki, obrony — i wodza swego nazywają Ojcem.... Pytasz mnie o rodzicieli twoich: że jesteś synem Komiata dość ci na tem — matką twoją i Zdzisława matką była Laszka.... wiesz i o tem z powieści i pieśni kapłanów... Co działał rodzic twój dzielną dłonią pamiętają Lachy, a nauczali cię tego twoi rodacy. W rzezi okropnéj zginęło tysięcy wiele naszego ludu... zginął pewno i Komiat, a rodzicy twojéj ciało pogrzebał w cmentarzu chrześcijańskim ojciec jéj wojewoda. Powtarzałem ci tę powieść tysiące razy, więcej niewiem i powiedzieć też niemogę.... Idź na zasłane trupich kości stosami ostatnich bitew pola, tam znajdziesz i kości twojego rodzica Komiata.... tam przysięgaj cieniom jego że pomścisz się na Lachach — przysięgaj tysiącom jego towarzyszy.... więcej nie dowiesz się odemnię. Jest jeszcze stróż powalonej świątyni Peruna na niwie śród puszczy — widziałeś te rumowiska,

dam tobie hasło, niem przywabisz go pośród nocy do siebie — powiesz mu że przysłał ciebie Olelko, aby ci pobożny kapłan opowiedział co pamięta, a powtarzał przed laty co wiedział, o Komiacie ostatnim wodzu Jadźwingów. Jest tam przy nim młodszy wiekiem kapłan pamięta podobno i on cóś o Komiacie; proś go niechaj ci opowie... ale jeżeli dowiedzieć się chcesz co bądź od nich, musisz na ofiarę bogom przynieść głowę Lacha lub innego nieprzyjaciela, jego szyszak i tarczę a sam niezraniony zdrów przyjść i cały. Wiesz teraz sposoby któremi możesz zyskać wiele o rodzicu twoim pamiątek — naucz się hasła i kiedy zechcesz udaj się pomiędzy lasy na tę niwę gdzie ruiny....

— Ach Olelku! kocham cię sto razy więcej ile dotąd kochałem, a i tak kochałem ile sił starczyło. Wszakże nic nagłego nieprzyzywa mnie do koczowiska, zastąpi mnie stu rówienników w potrzebie; ja biegnę, biegnę zaraz szukać głowy Lacha, jego szyszaka i puklerza, krwi nawet jego przyniosę — dziesięć głów gotowem strącić z dumnego karku... Mam łuk, mam sajdak strzał pełny, miecz ostry u pasa, maczugę w dłoni.. to dosyć. .. to dosyć abym uderzył na Lacha, abym go zwyciężył... i dowiedział się wszystkiego co sercu tak drogie!... Żegnaj Olelku! żegnaj ojcze dobry - powrócę niezadługo.

I upadł na twarz młodzieniec, ściskał pokornie Olelka nogi, łzami radości je zlewał — a co czuł wtedy starzec, nieskreśliłbym tego.

— Idź synu, a bądź ostrożny. .. niewpadnij w ręce Lachów: weź lepiej towarzyszy kilku coby zdala ukryci a baczni mogli dać tobie ratunek w potrzebie....

— Ratunek? Mam dłoń: żaden Komiat, żaden Jadźwinga nieszukał nigdzie pomocy jak w sercu, wszakże to sam mawiałeś....

— Dobrze, młodzieńcze, bądź mężnym ale pamiętaj że Lach ma być zbrojnym i ma zginąć w obronie — a ty powrócić z łupem cały winieneś — składając kapłanowi dla Peruna Boga wielkiego ofiary....

Ledwie to słyszał Mleczko zapalony, bo już daleko ubiegnął od starca marząc o Lachach, marząc o Rodzicu.

## 5.

Na wybrzeżu Bugu w małej niwce pląsają dziewice śpiewając pieśni smętnym tonem. Jedna z nich w bogate odziana szaty, młoda jak pączek róży, śniadej twarzy z czarnemi oczyma: włosy kruczej czarności spływają na wysmukłe barki; żywy rumieniec o krasza jagody, a wiatr obciskając w powiewie lekką szatę pokazuje śliczne kibici kształty. Krasne dziewice gasną swojemi wdziękami przy świeżości lica Diwany: była to bowiem Diwana, córa osierocona po dzielnym Jadźwingów wodzu, którą Oleiko Zdzisławowi przeznaczył za żonę. Diwana dąbek młody, maleńki

stroi w złotego mchu kędziory, w jesiennej kwiatki stokroci, zlewa go mlekiem i śpiewa:

«Rośnij dąbku mój młody,
Rośnij w górę wysoko!
Jam ci dała za imie
Imie mego kochanka,
Ty Zdzisławko mój śliczny!

«Dam ci taki włos złoty,
Obwiję cię w mech złoty;
Takie jego kędziory,
Co po falach wiatrowych
Połyskują swawolnie.

«Kiedy wiosna zabłyśnie,
W kwiaty smugi obsypie,
Leśny kwiatek kochanek,
Z mchu miękiego łożeczka,
Zerwę z świeżej pościółki,
Utkwię w twoich gałązkach
Takie oczy Zdzisława!

«Oto mleko bieluchne
Z krwią ptaszyny zmięszane,
Tą farbą zleję ciebie,
Będziesz takie miał lica
Krasne, świeże, jak jego.

«Dam ci pióra orłowe,
Zatkwię w twojej koronie;
Dam ci skrzydła sokole,
W twe gałązki je wplotę;
Będziesz pluskał po fali
Sokolemi skrzydłami,
Szparko, chyżo,
Jak Zdzisław za jeleniem ugania.

« Gdybym mogła od słońca
Chociaż dostać promyczka,
Byłby to wzrok ognisty
Ognistego Zdzisławka;
Ach dąbku niemam tego!

« Gdybym mogła białawej
Dostać chmurki z obłoku,
Wpleść ją na twoje czoło:
Taki smutek Zdzisława
Kiedy mowi o przodkach,
Tęskny, luby i miły.
Ach dąbku, niemasz tego!

« Rosnij dąbku mój młody,
Rośnij w górę wysoko,
Cieniem w koło szeroko;
My tu kiedyś z Zdzisławem
Nadejdziemy z wieczora,
Pod twojemi gałązki,
Jak dwa białe gołąbki
Spiewać będziem wesoło.
Rośnij dąbku mój sporo,
Rośnij w górę co wiosna,
Swieżym listkiem zabłyśnij,
A ja ciebie co ranek
W kwiatki świeże nastroję,
Mlekiem co dnia poleję!

Diwana przestawszy śpiewać, zaczęła taniec dokoła pląsając drzewinki, a chór krasawic przyśpiewywał znowu:

« Rośnij piękna Diwano,
Narzeczona Książęcia,
Komiatów syna rodu.
Rośnij, rośnij! niech Dziwa,
Pani zdrowia i życia,
Kras rumianych ci daje;
Będziesz żona Zdzisława,
Wodza naszych mołojców.

Zielona łąka krasna,
Co wiosny ranek,
Kwiatem ściele się rumianym.
Oj ta łączka, te kwiatki,
Ona matka, to dzieci,
Krasne, silne, pieszczone,
Dla słowików stworzone,
Rodzi płodzi co wiosna!

Tak ty, hoża Diwano,
Ródź nam syny ogniste,
Ródź nam dzielne mołojce,
Na krzywd ojców mściciele,
Dla krasawic na męże!
Rośnij, rośnij Diwano,
Rośnij wdziękiem bogata,
Rośnij cnotami sławna!

Olelko zdala ujrzał ten obraz niewinnych dziewic zabawki i wstrzymawszy kroki wpatrywał się weń zadumany długo. Widać tam w starca sercu wspomnienie jakieś zagrało! bo pamiętał on przecież owe czasy kie-

dy lud Jadźwingów w ojczystych siedzibach bezpieczny i potężny, groził mieczem sąsiadom. Tak niegdyś krasawice za czasów jego młodości, polewając mlekiem dęby lub święcone Bogów ołtarze, pląsały ochoczo, a pieśni ich rozgłośne, wesołe, radosne, rozbiegały się po jarach. Dzisiaj tony ich pieśni tak smętne, tak ponure, że chociaż czasem naiwny ochoczy dźwięk z młodej piersi wypłynie, przebrzmi on tylko po jarach i skona jęcząc żałobnemi echami. Może i nie te tylko wspomnienia mięszały pokój Olelka duszy, bo jego usta szeptały czasami imie Zdzisława, Diwany i nadobnéj Polki Helszki.

— O ty niewinne dziecię! mówił Olelko sam do siebie, twoje serce całkiem wylane — całkiem oddane Zdzisławowi tylko — a on kocha dziewicę z nieprzyjacielskiego rodu, on kocha Helszkę, i kto wié czy całą siłą potęgi mojej nad umysłem młodzieńca potrafię wróćić go do twojéj miłości!

Przebrzmiały śpiéwy dziewic chórowe, a Diwana ściskając towarzyszki młodości z kolei, rozpowiadała im znowu o Zdzisławie, rozpowiadała może raz dziesiąty.

— O moje lube druchny! gdyby wy znały mojego Zdzisławka, jaki to młodzian dorodny...

Olelko, ojciec Jadźwingów, od dzieciństwa pilnujego i naucza ojców zwyczajów — opowiada mu ich sławne wyprawy na Lachy, ich okropne klęski ostatnie. Obiecał mi Olelko za męża Komiatów syna, jam go nieznała nigdy — i chciałam chociaż raz widzieć. Wiecie druchny moje lube, że ja na świecie niemam ni ojca, ni braci, ni siostry, wy mi tylko rówienniczki miłe stawałyście wtedy za wszystko. Ojciec mój, matka i rodzeni zginęli pod mieczem niesytych krwi Lachów wszyscy, nie było dla mnie ni krewnego ni opiekuna, tak wzrastałam lat kilka zapomniana od ludzi jak sierota. Rodzic mój dzielnym był wojownikiem, ale komuż na pamięci stanie niedola sieroty? Aż tu Olelko co został władcą naszego ludu wywiódł mnie z nędzy i powierzył troskliwej matron pieczy. Ośmnaście pożyłam wiosen w dostatkach wszystkiego, kiedy Olelko pierwszy raz powiedział mi że towarzyszem mojego życia i moim małżonkiem będzie Komiatów rodu potomek, co wychowuje się daleko od naszych siedzib w Lachów krainie z tymi Lachami wyprawia się na lud ze wschodu napadający Ruś i Lackie ziemię — walczy z Niemcami nad morzem daleko, a kiedy wyćwiczy się w Lachów wojowania sposobie, powróci między rodaków panować, zdolny strzedz ich od nienawi-

ści wrogów. Chciałam koniecznie widzieć tego młodzieńca: wnet proźbie mojéj zadość czyniąc Olelko poprowadził mnie z sobą w pustynie dalekie, za wiele pagórków i strumieni, i tam zkąd widać było zamków Lackich wieże, mury i drewniane wysokie zręby, ukrył mię w starym dębie, zkąd niewidziana przez szczeliny wszystko widzieć mogłam do koła. Powrócił z zamku ze Zdzisławem pod ten dąb Olelko, rozprawiali ze sobą długie chwile, połowy wieczornéj zarwawszy prawie doby — jam napatrzyła się Zdzisławowi.... ale.... on mnie nie widział dotąd nigdy. Od owego czasu wiecznie mojéj duszy na jawie czy we śnie stoi żywy Zdzisławko — pieszczę się jego obrazem, roję sobie szczęśliwe kiedyś pożycia z nim chwile, ale to wszystko samą nadzieją!... Trzy minęły wiosny jak niewidziałam go odtąd — rok mija jak Olelko niepostał między nami — Mleczko mi tylko czasem wspomina o Olelku, opowiedział niedawne z bratem bliźnim spotkanie. Ach! jakże dobry musi bydź ten Zdzisław kiedy dosyć jednéj do pokochania go chwili.... Ja od pierwszego ujrzenia modrych jego oczu już ich z pamięci nie tracę... Mleczko znowu raz tylko zobaczył go i uściskał w objęcia swoje.... już go kocha. Ach, kiedyż ja uścisnę go

podobnie, uścisnę nie jak brata, lecz uścisnę za męża?

Mrok nocy spadał na ziemię coraz grubszy, błysk tylko przedzierający się przez konary dębów od księżyca z góry posrebrzał rosą perłową odziane dolinki. Już dziewice zabierały się do powrotu w koczowiska — smutna Diwana ocierała łzy białym rańtuchem — kiedy nagle trzy przeciągłe dźwięki Olelka zabrzmiały donośnie, silnie. Spłoszone tem hasłem dziewoje, co tak blisko nich zabrzmiało, uciszyły gwarne rozmowy, stanęły jak martwe, gdy nagle powtórzyły echa gwar oddalony, krzyk coraz mocniej rosnący, rogów kilkudziesiąt brzmienia i krzyki radosne:,, Olelko! Olelko! ojciec nasz dobry." Obejrzały się dokoła dziewice. Diwana piérwsza dojrzała Olelka, radośnie wykrzyknęła i biegnąc do starca postępującego z uśmiechem ku niej, chwytała róg jego szaty i całowała z poszanowaniem i radością wylaną. Dziewice okoliły wieńcem starca i Diwanę, ucałowały jako i ona kraj szaty Olelka, — a od gęstwiny, z biegiem nurtu rzeki, za brzegiem, w stronę przybywającego Olelka, z coraz głośniejszym gwarem spieszyło kilkudziesięciu mężów i młodzieńców, na powitanie ciągnąc niewidzianego dawno naczelnika ludu.

Pomijam szczere wylanie powszechnéj radości Jadźwingów; była ona prosta, dzika a poczciwa, bo z serca wychodziła samego — ale by poznać władzę i stosunki Olelka nad i z Jadźwingami przypatrzmy się starszyźnie zebranéj na radę do głównego w licznem koczowisku budynku, co niezgrabnie sterczał z pomiędzy chatek kilkuset, ciągnących się pasmem od Bugu w głąb niedostępnych jarów.

Na środku obszernéj izby tlało żywym płomieniem z łuczywa buchające ognisko, a dokoła na ławach zasiedli starce wiekiem sędziwi, męstwem za lat młodych wsławieni — zasiedli w kilka rzędów kołem: a na wznioślejszem miejscu, w przystrojoném zdobyczami z zamków Lackich siedzeniu, zajął miejsce sam jeden Olelko i w te słowa odezwał się do braci (11):

— Rok mija jak z wami nieprzestawałem, towarzysze moi, i wiele to zmian na świecie, wiele wojen minęło! Panuje zgoda święta w naszym ludu.

Powiedźcież mi co porabia pokrewnynam lud Litwinów? Ja od strony Lachów nic wam nie przynoszę nowego, chyba to, że rycerze Niemieccy, pognębiwszy Prusaków, dziś na Lachów głowy obracają miecze.

— Litwa? odezwał się jeden ze starców: czyliż Litwa godna pamięci za niesienie nam pomocy? Zapominacie jak widzę ostatnich klęsk naszych wspominków. Czyliż Litwa godna kiedy bądź porównać się męstwem z nami? Któż pierzchał z łupem lękliwie nieczekając zbliżenia się Lachów, jeżeli nie chciwa a bojaźliwa Litwa? Kto nas opuścił wiarołomnie na polu bitwy? — Oj, nigdy Litwin chociaż krwią bratni, nieposzczyci się jednością duszy z Jadźwingami... Chyłem borem zapuścić się w bogate niwy, łupić bezbronne zamki i świątynie, uprowadzać słabe dziewice — to dzieła wielkie Litwy — a gdy zbliżą się wydzierstwa mściciele, wtedy chytry Nadniemeńczyk uchodzi do swojéj kryjówki...

— Bracie, mówił Olelko, i ja pamiętam dobrze... pamiętam doskonale wszystkie ostatnie chwile naszéj potęgi. Nieobwiniam Litwy, i tam jedynie między ludem jednego języka i wiary całą upatruję nadzieję ocalenia od ostatniéj zguby...

— W Litwie szukać pomocy? — Olelku, znacież wy Litwinów? Nie, to niepodobna — w takich duszach szukać litości — miléj stokroć umierać, milej zagrzebać się w mogile dobrowolnie, lub ugiąć karki pod miecze wrogów sa-

mych, niżeli szukać u chytrego chełpliwego ludu pomocy... Błyszczą do dzisiaj Witenesa dzieci Książęta Litewskie temi skarbami co wydarli Lachom, zasłaniani piersiami naszemi uszli w głąb swoich trzęsawic topieli — jak zimne gady cieszyć się z wiarołomstwa łupów biesiadą....

— Karki uchylić pod miecz wrogich Lachów, mówicie? O nie! zawołał Olelko. Zapominacież jakie głosy odzywają się do nas z podziemia? Zastawiamy duszom zmarłych biesiady, i kęsa chleba nieruszy zmarły rodzic, przyjaciel — nie pokosztują oni naszych przysmaków póki krwią Lachów nieprzesączemy mogił poległych w boju naszych braci....

— Aby tego dokazać, wolałbym stokroć poszukać tych Niemców, mówił zawzięty przeciw Litwie starzec: z nimi połączony nieżaliłbym dłoni, nieskąpił krwi mojej kropli ostatniej dla pomszczenia cieniów braci — ale z Litwą sprzymierzeństwo miłeżby było tym co legli przez ich lękliwość i niewiarę?... Ach, lepiej stokroć łączmy się z Niemcami!...

— A ci Niemce, mówił Olelko, wytępiliby nas samych, jak niszczą lud Pruski za to że uporczywie bogów swoich i wiary broniąc, go-

tów wszystek umrzeć pierwej nimby kark uchylił pod jarzmo. Nie, pomiędzy Niemcami żadnej nie szukam pomocy — chybabym chciał niepomszczonym umierać — precz z Niemcami.

— A więc z Litwą?

— Zobaczemy. Słynie tam młody Książe Gedymin, co w Litwinów serca jakiś hart ćwiczony na boje rozlewa. Na całym wschodzie Lackich dziedzin zabrał on wszystkie ziemie Ruskie orężem — a kto wojuje kraje, już ten nie owym pierzchliwym Litwinem; nowe to dzisiaj działa pokolenie... a to co minęło, było to dawno, dawno....

— Gedymin wojownik, a więc z Gedyminem razem uderzajmy na Lachy, zawołał Olelko. Złączmy się z Litwą, bo Litwa już wita u Niemeńskich progów tych samych Niemców co grożą i Lachom. Będzie to wspólny interes ludów naszych odpierać Niemce i mścić się na Lachach

— Razem z Litwą...? przytłumionym głosem wybełkotał starzec ściskając zęby a usta szyderskim przekrzywiając uśmiechem: „któż tam do Litwy poprowadzi młódź naszą?

— Kto młódź poprowadzi? zapytał z gniewem Olelko. Czy nie zostało wojowników starych? czy nie zostało po Komiacie synów? Lucie sta-

ry, zaprzestań twoich wątpliwości rozgłaszać — czyliż temi uwagami dodasz Jadźwingom serca? Ach! pamiętam kiedy Lut w boju za lat jeszcze młodych z Leszkiem Czarnym w bitwie przypadł do Komiata i wołał: „ Panie wodzu nasz! pierzchnęła Litwa, ale my zgińmy raczej nimbyśmy zwycięzcom Lachom odsłaniać mieli drogę do bezbronnego kraju. Za ojca twego, pobici, cofnęli się Jadźwingowie na Niemna obadwa zabrzegi szukając u Litwy przymierza — cóż stało się z opuszczonym na ojczystej ziemi ludem? co stało się z zagrodami, z ziemią samą Jadźwingów? Już odtąd przestała być naszą, i Lachy co drżeli w sąsiedztwie, już odtąd nietrwożni zakładali nawet zamki na tych ziemiach co były sercem dzierżaw naszych — i niktby pierwéj nie wdarł się tam bezkarnie. Wodzu, brońmy się do ostatniej krwi kropli, i raczéj gińmy wszyscy niźlibyśmy podali karki nasze pod jarzmo Lachów" — Tak czuł, tak myślał i Komiat, i głos mężnego Luta popłynął w serce Komiata — zachęcił wódz walczące ludy, krew płynęła obficie — a słońca zachód ujrzał wielki cmentarz z Jadźwingów trupa w owem polu bitwy.... Dwadzieścia daléj mijało poranków a Lachy jeszcze po najniedostępniejszych gonili za nami kryjówkach, i ci z nas ocaleli jedynie

co albo udali poddaństwo, lub się przedarli aż do serca Litwy.— Bracia rówiennicy moi, wiadomo wam po zebraniu się drobnych sił naszych na tém tu miejscu — kiedy wszystkie głosy pytały o wodza, pytały o Komiata, — któż piérwszy lekkomyślność dzielnego Komiata potępił, kto pierwszy zapalił w sercach waszych przeciwko niemu nienawiść?

Tu wszystkich oczy zwróciły się na Luta. Starzec pochylony z założonemi na krzyż rękoma siedział nieruchomo. Z pod siwych brwi jego wystrzelały małe chytre oczy ciemne z niezagasłym nigdy ogniem, na śniadych licach igrał uśmiéch bolesny szyderczy, muskuły drgały gwałtownie. a wykrzywione dziwacznie usta pomiędzy białym wąsem i rzadką brodą nosiły piętno niby jakiéjś pogardy. Milczenie panowało dokoła głuche wszyscy wlepiali oczy to w Olelka to w Luta, a Lut po chwili tak się odezwał:

— Kiedy stary Komiat zginął w piérwszéj klęsce od Lachów zadanéj pod Bolesławem, rada młodemu Komiatowi następcy raiła zwiedzanie dziedzin Lackich i Litewskich. Młody Komiat z orszakiem wyborowéj młodzi miał naśladując zachodu rycerzy błąkać się po ksią-

żęcych dworach, po turnieju, po wojnach, aby nauczyć się sztuki wiedzenia bojów — bo najdzielniejsze serca, najsilniejsze dłonie, według praw własnych rządzone, ulegając przemysłowi rynsztunków i szyków, tylko okropniejsze sprowadzały na siebie klęski swoją dumą nieugiętą. Młody Komiat posłuchał rady doświadczonych wodzów i udał się pomiędzy Lachy, ale w miejsce nabrania znajomości Lackich sposobów w toczeniu wojen, Komiat na jednym zamku trawił długie miesiące nieczynnie, napróżno przestrzegany od towarzyszy, na próżno napominany przez wieszczków kapłanów. Oczy jednej Laszki wygładziły w sercu Komiata pamięć na ojca swojego chwałę, na przodków krzywdy. Komiat zapomniał że jest Jadźwingą. Wrócił on prawda pomiędzy swoich, ale uplątany w sieci Laszki szatańskie już nie miał serca, a jeźli co czynił to bez rozumu. Uprowadził pokochaną przemożnemu Wojewodzie Lachów córę i ściągnął na ród nasz cały zemstę okropną. — To było mi powodem, to całemu ludowi stało w pamięci, aby dla Komiata zaprzysięgnąć nienawiść. Zapominałem o mojej krzywdzie, zapominałem o wydarciu mi dzierżaw zdobytych moim mieczem za starego Komiata, bo Lut każdy widział tylko Jadźwin-

gów szczęście na celu kiedy szukał w nim dla siebie pamięci i własnego szczęścia.

Kiedy rozpowiadał obarczony zarzutem starzec, lica Olelka raz siniały, to bladły, to krwią zachodziły, a oczy ogniem pryskały prawie. Wytrzymał z całą cierpliwością do ostatka powieść Luta i dopiero gdy tamten umilkł, z całą odezwał się dumą:

— Komiat... był winny; — znałem... tego Komiata, błądził gdy kochał i uprowadzał przemocą Laszkę; ale Komiat sto razy małe robił wycieczki w Lachów kraje, mało dziesięć razy po dziesięć set wymordował Lachów — dziesięć razy po dziesięć tysięcy przyprowadził powiązanych brańcow, do ostatka zwyciężał, do ostatka groźnym i sławnym będąc siał postrach w sąsiady dokoła. — Sami Litewscy książęta w zamieszkach pomiędzy sobą lękliwie poglądali na niego, by w czasie ich kłótni nie podbił ich krajów... ale Komiat pamiętał zawsze na pobratymczość Litwy i niesplamił się nigdy wydzierstwem bratniej własności. Przywłaszczone przez Luta dzierżawy nieprawnie odebrał jeszcze Komiat stary, a podzielił je pomiędzy wodzów mających równe z Lutem zasługi. Gdzież powody do nikczemnego potwa-

rzania Komiata w obliczu ludu, co na Peruna przysięgał mu kiedyś posłuszeństwo i wiarę; gdzie powody do odepchnięcia od należącej i dziedzicznéj mu władzy? Te powody chyba sam Lut wymyślił. A na Peruna! Komiat nielękałby się był stanąć pośród zbuntowanych podwładnych. Komiat sam byłby roztwarł szatę, nadstawił piersi Panobójcom, bo Komiat gardził śmiercią — bo Komiat byłby to uczynił dla ściągnienia na podstępnych niebios kary, dla uwiecznienia pamięci — Luta! Ale jego inne spotkały......

— A więc Komiat niezginął w bitwie? ozwało się gwarnie wiele głosów, ciekawe w lica Olelka zatapiając spojrzenia, gdy Lut badawczym znowu okiem śledzi rysy twarzy wodza, i ciężko oddycha i niby dreszczem trwogi wstrząsany bladł i ścinał usta.

— Komiat.... czy zginął, pytacie? odrzekł Olelko; któż upewnić o tém może... kiedy jego ciała nieznaleźliście nigdzie.... Może jego kości bieleją jak i poległych tysiące na stepie... może gdzie brańcem jęcząc w zamkach Lachów umarł z głodu i nędzy... może też... Ale po co te domysły? wszak dwadzieścia lat z górą minęło od klęski ostatniéj, a Komiata niemasz i niemasz.

Umilkł Olelko, żaden szmer nie przerwał milczenia, wzrok tylko Luta drżący nie opuścił lic Olelka — a Olelko po chwili zebrawszy myśli tak mówił:

— Niepotrzebnie wznawiamy pamięć przeszłości, niepotrzebnie rospoczynamy spory, które nic oprócz nieładu sprowadzić nam nie mogą. Rok cały tułałem się po zamkach Lachów sąsiednich, by wyrozumieć co oni też sądzą o naszym upadku. Nikt nie przypuszcza aby w ostatnim Litwy napadzie chociaż jeden był Jadźwinga. Ród nasz Lachy za wyginiony uważają i dzisiejsze siedliska nasze w tych niedostępnych kniejach, nie tak prędko Lach nawiedzi. Nasza młódź wzrasta bezczynnie, niezadługo i śladu dawnego męztwa niezostanie po Jadźwingach, jeżeli synów niebędziemy hartować na boje. Słabe nasze siły, i sami niemożemy o własnej tylko mocy mścić się za dawne krzywdy na Lachach. Jedyny dla nas sposób połączyć się z Litwą. Dla hufców młodzi, znajdzie się wódz młody, krew ostatniego Komiata. Dwaj zostali po nim synowie bliźniacy — jeden wychowuje się pomiędzy Lachami i ten jest starszym ... młodszy Mleczko, znacie go wszyscy, a poznacie i Zdzisława niezadługo.... Że ma serce Komiatów za to wam ręczę, wojował łącząc się z Lacha-

mi i zna ich wojen sposoby — potrafi zatem sprawiać nasze szyki i ochraniać nas od Lachów. Ja wychowywałem go od dzieciństwa.... Widzę spojrzenia twoje Lucie... rozumiem je lepiéj jak gdybyś same wymawiał słowa. Bądź pewnym że Olelko.. Ale dość tego! znają mnie Jadźwingowie bracia, znaliście i Komiatów obudwu niektórzy równi mnie wiekiem, a podania ojców przyniosły nam wspomnienia wielkich czynów długiego szeregu książąt z Peruginów rodu. Zdzisław, dziedzic prawy ojców władzy, Zdzisław ją posiąść winien, bo na Peruna!... zawierzyć możecie słowom Olelka, gdyż Olelko jako Olelko... niezbłądził nigdy! Rozważcie co wam mówiłem, bracia mili; da Bóg, gdy znowu zbierzemy się tutaj na radę, rozstrzygniecie po namyśle to wszystko.

Skończył Olelko, skończyła się narada. Koło ogniska siedzieli jeszcze długo starce, wolno już było i młodzi w progi wstępować; zaczęła się biesiada leśna pośród gwarnych rozmów i pieśni.

Jadźwingowie zdawna wiedzeli o tém, że Olelko czuwa nad jednym z potomków Komiata; niewiedzieli nic o losie Komiata i za radą świętobliwych kapłanów i wieszczków, przybyłemu sześć lat po ostatniéj klęsce Olelkowi do ko-

czowiska powierzyli rządy. Nieprzypominali sobie Jadźwingowie aby kiedy obcował z nimi ten Olelko, lecz rada kapłanów i starszych, przepowiednie wróżbitów i powaga wrodzona zjednały mu do razu powszechną ufność pomiędzy ludem. Mało przebywał w koczowisku; większą lata każdego połowę, całe jesienie tułał się po zamkach Lachów z lirą, nibyto śpiewak z rzemiosła. Wiedzieli o tém Jadźwingowie że na zamku sąsiedniego Wojewody przebywa najczęściej, widywali go na łowach z młodym Lachem, którego on, widać było, bardzo miłował i wyraźnym rozkazem zabronił na jego nastawać życie. — Niedawno dopiero wyjawił ludowi że to syn Komiata urodzony z Laszki — potwierdzali to kapłani, lecz jakie miał powody Olelko do ukrywania tajemnicy lat tyle przed własnym ludem, to było taką zagadką dla wszystkich, dla samego nawet Luta — jako to co za jeden Olelko? — Diwanę młodą piekną dziewicę od lat kilku przeznaczył za małżonkę Zdzisławowi i powierzył ją szczególniéjszéj pieczy i staraniu matron. Diwana była odtąd przedmiotem czci u Jadźwingów, kochały ją towarzyszki, a młódź czarowana jéj wdziękami zazdrościła szczęścia nieznanemu sobie jeszcze Zdzisławowi. —

W czasie biesiady, kiedy wszyscy rozprawiali gwarnie, jeden Lut tylko zasępiony odsunął się od wszystkich i po niedługiej chwili wyszedł za starym jak i on kapłanem. — Długo szli w milczeniu omijając wszystkie chaty i zanurzyli się w ciemnym lesie. Żaden drugiemu nieprzerywał dumania, nawykli do miejsca postępowali śród nocnych cieni znajomemi ścieżkami kilka godzin, aże przy skały urwisku, na brzegu strumienia zmierzającego ku rzece, ukazało się bladawe światełko, i Lut pierwszy raz przerwał milczenie.

— Już północ dawno minęła, stara Lida oczekuje widać jeszcze naszego przybycia, chociaż mieliśmy stanąć tu zaraz z wieczora.

— Stara Lida zna to dobrze na kogo oczekuje, i chociaż uparta i złośliwa, pamięta co winna dzielnym wojownikom, co winna kapłanom, bogów piastunom.

Lut nim do drzwi zakołatał, stanął u małego otworu przy szczycie dość nizkiego zrębu, i zajrzał wewnątrz chaty ostrożnie.

Na małéj kotlince tlało zwolna ognisko rzucając dokoła czerwonawe światło, a przy ognisku na ziemi siedziała jak mara wywiędła sucha niewiasta białem odziana tylko płótnem. Pomarszczone w fałdy lica blade były zżółknięte, wło-

sy jej siwe w długich na piersi rzadkich zwieszały się kędziorach — nad oczami znaku brwi niebyło, usta bezzębne ściśnięte silnie — a oczy z pod leniwie opuszczonych powiek słabym połyskiwały blaskiem. Żadnego na tych licach nieupatrzyłbyś wyrazu: i uśmiech wesoły i boleść ponura już wybitną grą muskułów niewylały się na jagody; był to obraz, ideał najpóźniejszej starości niewiasty; żaden ruch nieprzekształcił jéj postawy, czasem tylko podrzuciła łuczywo na ogień i znowu wracała do dawnéj postawy. Do koła ścian izby, ława tylko i ze skur rozłożonych na mchu posłanie wszystkiemi w chacie Lidy były sprzętami. Dym wijąc się w górze tworzył w dziwacznych kształtach wijące się jak na tle nieba, chmurki, a oderwane iskry niby to gwiazdy przeglądały przez ciemniejszą warstwę.

Lekkie uderzenie do drzwi chaty zbudziło z zadumki Lidę: podniosła się i odsunęła skrzypiącą zaworę; gdy zaś ujrzała Luta i starego Wajdelotę Skirmuta:

— A jesteście przecież, zawołała; już wiele gwiazd znikło na niebie, miesiąc zatonął gdzieś w puszczach, a ja długo bo od zmroku czekałam was cierpliwie.

— Przebaczcie matko, nie nasza to wina, ale przybycie wodza naszego zatrzymało nas w naszych koczowiskach.

— Nie tak ja rada na moje późne lata przyjmować w swojej zaciszy odwiedziny cudzych nieznanych mi ludzi! Zdarzenie tylko, przypadek, przypędził was do mnie, i widzę że nieraz zakłócać zechcecie moję spokojność. — Od dwudziestu lat nikt tu nie zabłąka się obcy — znana chyba stopa zatętni na mojej dolinie, a i to rzadko bywa. Ja sama lat już dziesięć z moją wychowanicą tylko, tak już przywykłyśmy do siebie, że nam z obcym i nudno.

— Jednakże, matko, z młodości nieżyliście tak samotnie zapewne, mówił Wajdelota; — bo poznaliśmy z rozmowy waszéj zaprzeszłego wieczora że wiele znacie ludzi na świecie, wiele zapamiętacie wypadków.

— Oj! co przeszło — to wiele — i wiele z moich rówiennic zasypia w zimnéj mogile i wiele z miłych sercu — a jam została jedna, jedna tylko prawie — bo z tych co żyją jeszcze rzadko mnie kto nawiedzi — a jeśli zajrzy, to na krótko. Ośmdziesiąt dogorywa latek — ile tam nieszczęść w tem życiu!! a przecież zdrowie tak mocne, że przezwyciężyło wszystko i żyję jeszcze, nie-

wiedząc kiedy Marzanna do siebie przywabi mnie przecie. — Ale co mi po tych wspominkach? już co stało się to i nie odstanie nigdy; wy pono od Jadźwingów, wy mało młodsi odemnie, zapamiętacie jedno — ale wy z rodakami żyjecie razem, powiedźcie mi o swoich — ścigająże was Lachy, jakie tam u was żale, frasunki, uciechy? Kto rządzi, kto króluje?

— Lachy nas nieścigają, żale jak to w niedoli zwyczajnie. Kto przeżył te co my lata, kto doświadczył co my tyle, już temu żaden frasunek nienabawi boleści, bo serce do boleści jak do wesela nawykłe. Młódź tylko wzdy ochocza to ugania za turem, to cichaczem wsunie się w Lachów dziedziny, by też Bogom jakiego krwi przynieść Lacha, by łupem obdarzyć na dar weselny bogdankę: ale wszystko to idzie powoli — bo na siłach niestaje i spokojnie sobie zasypiają w swoich domach Lachy. — Niepotrzeba nam książąt, bo i wojen też niema komu toczyć; Komiatowie poginęli... takci nie z krwi książęcej do czasu włada Olelko, z dalekiej widać przybyły strony, bo nikt go niezapamięta u nas. Dwaj bliźni synowie ostatniego Komiata już podrośli, i im to pewnie odda władzę Olelko po rodzicu nieszczęśliwym dziedziczną....

— Oj nieszczęśliwym!.. to prawda, przerwała Lida.

— Czyliżbyście znali ostatniego Komiata? zapytał Lut badawcze w niewiastę zatapiając spojrzenie.

— Czy go znałam?... ba! ba! ba! — Komiatów czylim znała?... Jużci znałam ich... z imienia jako wodzów sławnych....

— Mówiła nam zawczorajszego wieczora, w uniesieniu gniewu, gdy powstawałem na ostatniego Komiata porywczemi słowy — mówił do Wajdeloty Luto, — że przez lat siedm wychowywała Mleczka, a wychowanka jéj Aldona własną w niemowlęctwie karmiła go piersią.. To niepodobna ażeby niewiedziała i o Komiacie. Jak tu począć w téj mierze by z niej wykonać co prawdy?

—- Niewiem sposobu, odrzekł Wajdelota. Lida jest skrytą: Lida wiele widać tajemnic w sercu chowa; samo to oddzielenie się jéj od świata przekonywa o tem.

— Wiecie co, bracie, już mam sposób: udajmy przyjaciół Komiata, ja zaczynam w téj mierze.

Lida po wspomnieniach ostatnich zasępiona ponuro utopiła wzrok w ognisku i szeptała cóś zcicha, to rozśmiała się głośno, to jęknęła głu-

cho i boleśnie, aż Lut chytry podstępem tak do niéj zaczął w te słowa:

— Bolesno sercu, widzieć na ruinach potęgi cnotliwych, wznoszącego się niegodnie z podłéj krwi wyrodka; tak my dawniéj rządzeni przez ród dzielny Peruginów, żalić musimy patrząc jak na ich mogiłach obcy jakiś przychodzień może i nie Jadźwinga rozpościera się dumnie. Och! gdybym dzisiaj ujrzał pogardzonego Komiata, chociaż już skołatane nadstawiłbym swe piersi i dłoni użył staréj, by mu do wydartéj władzy utorować drogę — niechajby runął przywłaszczyciel obcy!

— Ha! kto Komiatów żałuje, niechaj się pomści na tym co wydarł mu poddanych miłość; wszakże to Lut pono niesyty w dumie swojéj, gdy mu zagarnięte niesprawiedliwie odebrano dzierżawy: on to mszcząc się owego ukarania, dokazał tyle, że w umysłach Jadźwingów, przedstawieniem błędów dawnego wodza niesprawiedliwem, potrafił wykorzenić dawny szacunek, zachwiać wiarę, by sam ogarnął wydartą podstępami władzę. Niedokazał przecież swojego, a choćby był i dokazał, wstąpiwszy na stolec książęcy komużby był panował? — kilkaset połączonych rodzin nie zatrwożą dumnych Lachów po-

tęgi, niezrównają bratniej Litwie w znaczeniu. — Słyszałam od przechodni rodaków, że wybrany wódz na miejsce zaginionego Komiata, po sześciu latach sieroctwa ludu bez pana, krząta się około ich dobra wytrwale. Co dnia przybywa młodzi z pomiędzy owych co poddąli się Lachom Jadźwingów — a sam wyszukał dzieci po Komiacie sieroty — to chwalebnie. Nie zrobił tak Lut nikczemny — onby je zgubił prędzéj!

— Niewiasto! — krzyknął Lut zaiskrzony rzucając wzrok na Lidę: co wyrzekłaś — co bluźnisz przeciwko Lutowi?

Lida podniosła oczy na stojącego w groźnéj postawie Luta — a nierozumiejąc co znaczy to uniesienie — zastanowiła się przez chwilę — uderzyła w czoło i rzekła:

— Przyjaciel co opłakuje Komiata, przyjaciel dzielnego Peruginów syna, razem żałuje niewinności i unosi się gniewem na plwających niecnocie Lutowi?

— Przestań! Lut przed tobą — Luta dłoń drząca, ale jeszcze dosyć ma siły aby utopiła żelazo w twojéj piersi, jeżeli nieprzestaniesz bluźnić nikczemnie oszczerczym językiem.

— Żelazo w mojéj piersi utopić? O! godny to czyn Luta! słabéj niewieście grozić zemstą pod,

stępem wydzierać książętom władzę — przeciwko cnocie siać potwarze między ludźmi... Domierz miary godnych ciebie czynów — uderz tu! uderz!

Gdy to mówiła Lida, zapłoniły się ogniem pomarszczone jéj lica i czoło, roztwarła odzienie i ukazała pierś tak suchą, że wszystkie znać było kości przez pożółkłą skórę.

— Straciłam wszystko, straciłam znaczenie, dostatki, męża — wydarli mi to Lachy — wyniszczały moje dzieci... Ileż to razy wzywałam śmierci daremnie — ach jakże byłabym szczęśliwą, jakże umierałabym radośnie gdybyś ty wydarł mi życie, zbrodniarzu! Czyliż to, pierwszy raz ostrze twojego żelaza — pierwszy raz dłoń twoja bezbronną powala ofiarę?

Luta oczy zapłonęły ogniem rozpaczającéj prawie nienawiści i zemsty — już dłoń podniesiona w górę miała uderzyć ostrzem w piersi Lidy, pochwycił ją Wajdelota i zawołał:

— Czyliż przychodzimy po to, abyś krew niewiasty przelewał, Lucie? Szczebiotliwość słabéj niewiasty godnaż zapalać cię gniewem, mężu, co walczyłeś z Lachami, co po książęcą śmiało sięgałeś buławę? Odrzuć precz to żelazo, — bo gdy je widzę w twéj dłoni, zda mi się że to nie Lut dzielny stoi przedemną.

— I ty niegodny! wykrzyknął starzec rozjuszony; Skirmut, co życie całe poświęcał dla mnie, śmie powstrzymywać dłoń karzącą niepowściągliwy język bluźniącej przeciwko mojej sławie niewiasty? — Zdradzałeś mnie chyba, nikczemny!

— Lucie, przebaczam ci te wyrzuty niesprawiedliwe. Moja dłoń nie zadrżała nigdy, kiedy uderzała z rozkazu twego żelazem, kiedy wypuszczała z łuku strzałę... Czy zapomniałeś już poświęceń się moich dla ciebie? Lucie, to niegodnie! Niezniknął ci dotąd pewno z oczu ten obraz, kiedy przed dwudziestu laty, gdy byłem wojownikiem a Lachy do najgłębszych ścigali nas kryjowek — *on*... bronił się do ostatka, bronił Laszki i dziecięcia — Wypuściłeś na niego strzałę.... chybiła celu. — Lachy szły w tropy — *on* podjął na barki ukochaną małżonkę i uchodził dźwigając ciężar dwojga tak mu miłych — żony i dziecięcia. „Skirmucie!” zawołałeś: „drży dłoń moja, zmierz twój łuk.... wypuść strzałę.... ale zmierz w serce!” Stałem blisko biegącego — zapomniałem na jego dzielność, na krew znamienitą, wszystko uczyniłem dla ciebie: brzękła struna.... chybiłem, ale raniony upuścił ciężary tak mu drogie — na łup niesytych krwi

Lachów — zginęło dwoje z nienawistnéj ci rodziny — a *on*... niepowrócił już nigdy pomiędzy rodaków.

Niewiasta słuchała tych słów tak bacznie, jak gdyby je wszystkie w serca głębi zacisnąć chciała, a oczy błysnęły ogniem, ogniem nieznanym w jej źrenicach oddawna; dłonie wyciągnięte i piersi wzdymające się silnie, razem ze spojrzeniem tworzyły wyraz zdumienia, przypominku i litosnéj boleści — jednakże jakiś głos wewnętrzny, głos pewno rozsądku i tajemnica jakowaś — zamykały usta, zaciskały głos wyrywający się w przerywanych niewyraźnych słowach z piersi; wreszcie złożyła dłonie, spojrzała w niebo... A Lut zwyciężony wyrzutem Wajdeloty tak przypominającym wierność — opuścił dłoń zbrojną żelazem, zwiesił głowę na piersi i jęknął przeraźliwie.

— Przestań Skirmucie! przestań!.... niesprawiedliwie obarczyłem cię wyrzutem. To moja porywczość — rzadko ona przezwycięży moję wolą rozmyślną. Już przeminął ten czas niepohamowany gniewu — nie ujrzysz go tak prędko, a może odtąd nigdy we mnie. Znasz moje życie, znasz moje przygody.... dosyć ci na tém.

— Tak, dosyć — wyrzekła drżącym głosem Lida; teraz zwróć się do mnie, cios będzie trafniejszy; stoję bezbronna, stoję blisko.

— Nie tak prędko jeszcze chwila twojego skonu przyjdzie — zgnijesz sama, własną swoją niemocą; szkoda żelaza! — Ale do rzeczy — Niewiasto, bądź moim chęciom powolną, zyskasz wiele... powrócę ci utracone dostatki, bogactwa, znaczenie wydarte przez Lachów, jeżeli wiernie opowiesz mi wszystko o co się zapytam.

— Dostatki? bogactwa?.... ja miałabym kiedy opływać w nie jeszcze?! ha, ha, ha, dziwuy człowiecze! przypatrzmi się lepiej! — niedługo mojego trupa spalicie na stosie — w dziady poprosicie na biesiadę moją duszkę — a ty mnie obsypywać dostatkiem przyrzekasz! — Odmówiąże mi garści na popielnicę gliny, kątka na mogiłkę ziemi? — To dosyć dla mnie na przyszłość. — Precz odemnie nikczemny! Czego tu żądasz, gadzino podła? — pełzasz do chatki bliskiej śmierci niewiasty, aby ją łudzić obietnicami twojemi? Precz ztąd! precz nikczemny!

— Oj! już mnie nierozgniewasz szkalowaniem twojem, Ostygła już ta krew co ją rozpłomienił Olelko na radzie wieczornej, uspokoiła się moja duma co znieść niemoże widoku przychodnia panującego nademną....

— Tak, widok przychodnia przywłaszczyciela rojonéj przez ciebie buławy.. ale nie, ty chciałeś Komiatom wrócić dawną godność — twoje piersi miały im powrót do dziedzictwa zabezpieczać.... wszakże mówiłeś to przed chwilą.

— Niewiasto! zawołał Wajdelota, niewysilaj się próżno na te wyrzuty — zachowaj mocy do wyznania którego zażądamy od ciebie. Ty wychowywałaś Mleczka mówiłaś.

—Tak, wychowywałam go z niemowlęctwa, mo ja wychowanica karmiła go swoją piersią.

— Któż tobie powierzył go w opiekę?

— Kto mi go powierzył? — a cóż was to obchodzi?

— Chcemy to wiedzieć, i dosyć, zawołał Lut surowo.

— A ja chcę iżby to dla was tajemnicą było i dosyć. Precz, żmije nikczemne odemnie! nienaruszajcie pokoju, nienaruszajcie dwudziestoletniej ciszy mojéj! Na nic wam nieodpowiem, gardzę obietnicami, groźb się waszych nielękam. — Odbierzcie mi zdrowie lub żywot, to dla mnie łaska — prędzéj skończą się moje cierpienia.

— Powiedz, kto nawiedza ciebie w tej ciszy? To powiedzieć nam musisz, bo wiesz że łacno dowiedzieć się nam o tém....

— Kto mnie tutaj nawiedza? kruki czarne co powracają nakarmione z pobojowisk ciałami poległych Jadźwingów — ciałami ofiar twojej chytrości i okrucieństwa. Nieraz one siadłszy na gałęzi kraczą mi starą pieśnią pogrzebową — ja rozumiem że wróżą śmierć niedługą — ale nie, dni płyną, płyną długiem pasmem, a ja żywa. Nawiedzają moją ciszę i puhacze jęczące głucho — tak mi jęczały na skale wczora i wywróżyły zbrodniarza co wpełzał się dziś do mnie gadem, by do nowej zbrodni wywiedzieć się o jaką ofiarę — Ale napróżno — to słowa moje ostatnie. — Precz! gady, precz odemnie!

I siadła znowu przy ognisku Lida, wlepiła w zarzewie gasnące powoli oczy i milczała upornie. Napróżno badali ją i Lut i Wajdelota, ona jak głucha siedziała kamieniem.

— Nie ukryjesz ty przedemną swoich tajemnic, stara ropucho! Wychowywałaś dziecię Komiatów, ty o samym wiedzieć musisz Komiacie; znalazł u ciebie Mleczka Olelko, znalazł go i poznał po godle na piersi wykłutem; oj, nie wymówka to dla mnie — znał to dziecię Olelko, ty znać musisz i jego. Widziałem gdy przed rokiem gościł u nas pół roku, on tu w tę chodził stronę — on pewno

ciebie nawiedzał; dowiem ja się, dowiem od ciebie wszystkiego.

— Próżny twój upór, niewiasto — idzie tu o dobro całego Jadźwingów rodu. Widzisz mnie przed sobą, stróża bogów niebieskich ołtarzy — niewiasty Jadźwingów zawzdy były wierne swoim bogom — ja urzędem Wajdeloty zaklinam cię na te Bogi, i co w chmurach piorunem huczy na Peruna, i co dusze ludzi zabiera po śmierci, na Pekole, i co zdrowie ludziom daje, na Ziwę, Czarnoboga, Bielboga, zaklinam cię na ogień Znicza — powiedz czy znasz Komiata ostatniego — powiedz czy on żyje i gdzie się obraca? Kto powierzył ci w opiekę Mleczka?.... Kto jest ten tajemniczy Olelko? zaklinam cię na Bogi urzędem Wajdeloty!

Podniosła głowę Lida, spojrzała na oblicze Wajdeloty, patrzała chwilę długą—a potem wzgardliwym uśmiechem wykrzywiwszy usta — jeszcze pogardliwsze na niego rzuciła spojrzenie i znowu pogrążyła się w zadumę — aż wycieńczona na siłach pochyliła się na stós drzewa i zasnęła.

Próżno wysilali obadwa przemysł swój, i Lut i Wajdolata, aby choć słowo wykonać z niewiasty. Obiecywali dostatki, śmiała się z bogactw Lida; grozili męczarniami, i z męczarni się śmiała.

Umilkł Wajdelota a Lut wlepił w niewiastę spojrzenie badające; — przypominał coś sobie i przypomnieć nic nie mógł. Wajdelota znowu wlepiał wzrok w Luta oblicza i chciał tam cóś wyczytać — niby rozpamiętywał, rozważał przeszłość starca, jego czyny — i dziwny wyraz na brunatnych licach Wajdeloty nikomuby nie dał poznać jakie w sercu jego gra silniéj uczucie. Raz gniew po czole przesunął się chmurką — to jakiś uśmiech ni radosny ni szyderczy zaigrał na licach, a znowu dawna zadumka i wzrok utopiony w oczach Luta. Po chwili milczenia, długiéj, uderzył się w czoło Luto, namyślił się bacznie chwilkę i mówił do Wajdeloty:

— Skirmuncie, ta niewiasta musi nam z czasem wyjawić jakie chowa w sercu tajemnice, ale przyjaciołom Lidy nie chciałbym zarówno spraw swoich powierzać. Niebaczne uniesienie potargało moje zamysły—nie mogę.... sam nie wiem co uczynić.... jednakże o tém co uczyniłem, o tém co wyjawiłem przed Lidą mimowolnie nikt wiedzieć nie może....

— Niechaj Lida na Pekole przysięże wieczne milczenie, a w przeciwnym razie..... wypada....

— Odebrać jéj życie? O nie! już dosyć tego krwi rozlewu; Lida... ona pierwszy raz w moich o-

czach stoi — próżno przyzywam wspominków najgłębszéj młodości.... a zresztą Lida obliczem swojém wszystkim starcom płci swéj podobna.... nie, ja nie znałem Lidy.

— A więc zostawimy ją aby wszystkim opowiadała bezpiecznie co dowiedziała się od nas?..

— I to niepodobna.

— A więc czyhać na przybywających do niéj by ich uprzątać?...

— Tym więcéj ofiar! nie można! A wreszcie Lida posiadać musi jakąś tajemnicę, tajemnicę bardzo nam potrzebną... tę, posieść musimy koniecznie.

— Gadziny pełzające!.. szeptała przez sen Lida; uchodź, uchodź! oni czyhają na ciebie.... O mój ty Mleczku maleńki — ty biedną biedną sierotą a dawnemi czasy przodkowie twoi — a przed niewieloma laty twój rodzic jeszcze był potężny.... dostatków mi obiecał!... Precz, precz gadziny! — mnie popielnica i kątek ziemi cały tu skarb potrzebny.... Precz gadzino!.... Ziwo, ratuj go Ziwo!... Gdyby go poznał....ach, zginąłby, zginął!

Tak przerywanemi słowy zdradzała senne marzenia Lida, a Lut i Wajdelota czyhali pilnie czy nie powie coś więcéj. I tak powiedziała

dosyć, bo Lut już zapewniony że w sercu Lidy leży tajemnica;— a gdyby on mógł z niego ją wydostać — wyrwałby z piersi serce.... wyrwałby z serca tajemnicę.

— Tak, pewną to już rzeczą że Lida....Skirmuncie! Lida musi ztąd oddalić się koniecznie, by jej tu nikt nie spotkał.... onaby Ko.... komu powiedzieć mogła o Lucie,o mojéj trwodze. Ach— gdyby nieprzyjaciel dowiedział się o tem że ja do dzisiaj jeszcze poszukuję jego śladów, ubezpieczam się jeszcze przeciwko niemu, uznawszy mnie dość słabym — powaliłby mnie jednym ciosem i zniszczył jakie mam wpływy pomiędzy ludem na zawsze.... A kto wié czy wtedy zemsta nie zawrzałaby wjego piersi...Skirmuncie, dopomóż mi, dopomóż, doradź, coby uczynić z Lidą, byleby zamknąć jéj usta a krwi nie przelewać więcéj... krwi bratniéj... może.... tak, krwi niewinnéj!

— Cóż dzieje się z tobą? Lucie, jak widzę do twego serca skrupuły jakieś zagościły się nieznane....

— Skirmuncie, nie podżegaj mnie próżno. Mnie zdaje się że co chwila widzę za sobą, konającą Laszkę, żonę Komiata z dziecięciem na ręku — widzę Rolda ojca Diwany z rozdartą piersią... widzę, ach! co ja mar widzę!.... Długi szereg

snuje się z jękiem za mną, a ten jęk boleśnie odbija się w duszy głębinie... Gdybym chociaż jednę usunął z pamięci, jużby lżej było na sercu, na duszy — a tu jeszcze obarczać się jedną więcej... nie! szukajmy innego sposobu.... tak aby żyła Lida... Bo któż mnie uręczy że ona nie zna Komiata, kto mnie uręczy że Komiat nie żyje... a mnie w dzień czy nocą chociaż liść zaszumi, chociaż koń zatętni lub wicher zawieje, zda mi się co chwila iż widzę..... że on zbliża się do mnie.. Ach, jakaż to męczarnia!

— Lucie, miękczeje widzę twoje serce powoli —nie lękałeś się działając,a teraz...drzysz na wspomnienie dokonanych czynów — Otrząśnij się z tej trwogi — zbierz siły.... A wreszcie są inne sposoby, kiedy tak lękasz się spełnienia tego co bezpieczeństwo twoje upewni... mówił dalej Skirmunt widząc stojącego w mars czoło, Luta — znajdziemy inne środki do zmuszenia Lidy aby milczała....

— Jakie, jakie? przerwał szybko Luto; powiedz, objaw je! chwila prędzej, chwila mniej cierpienia!...

— Uprowadźmy Lidę. Znajdziemy dla niéj bezpieczne ukrycie gdzie nikt jéj prócz nas nie znajdzie. Może żyć... a ty, Lucie, powoli starać się będziesz wydostać z serca tajemnicę.

— Uprowadzić?... a gdyby on tu wrócił, jeżeli żyje?.. nie, nie, próżne te obawy! — Dobra myśl twoja, Skirmuncie, uprowadzimy Lidę; uprowadzimy w lasy głębokie, znajdą się pieczary, jaskinia lub świątyni starożytnej ruiny....

— Ależ, nie traćmy czasu! zorza bieleje na niebie, niedługo słońce zaświeci, a my jeszcze tutaj... gdyby nadszedł kto obcy...

— I gdzież obierzemy jej kryjówkę?... zapytał Luto wahając się nieco.

— Dość na to znajdzie się czasu, pomyślimy w drodzę, a teraz każda chwila drogą! — Krok dalej od tej chaty Lida, my krok od niebezpieczeństwa, zagrożeni nietyle.... zbudźmy ją, zbudźmy!

Czy Lida spała tej chwili w istocie, ja nie wiem Przystąpił do niej Skirmunt i pogardliwie potrącał ją nogą wołając:

— Powstań! powstań Lido! Lido!

— Czegóż chcecie odemnie? Jeszczę gościcie tutaj?

— Gościmy jeszcze chociaż nieproszeni tak mile, jakto zwykle Jadźwingów niewiasty przyjmują w swej chacie. Ale my wzajem odpłacimy ci a odpłacimy hojnie — prosimy z sobą w gościnę — Pójdź z nami Lido, pójdz!

— Ja z wami iść w gościnę? Ja nie bywałam u ludzi, nie postałam w cudzéj od lat dwudziestu chacie.. Precz idźcie sobie odemnie! nie chcę ja cudzéj strawy — mam własny strumień wody — Aldona strawy przyniesie dosyć... precz, precz sobie odemnie!

— Nie wzdragaj się, nie spieraj — próżne wymówki twoje, zaręczam, mówił Wajdelota; musisz iść, musisz z nami koniecznie, i zabieraj się prędzéj nim słońce błyśnie, nim nawet bieleć na wschodzie zaczną krwawe zorza...

— Po cóż ja do was w gościnę? zostawcie mnie tu samą...

— Daléj, prędzéj, czas nagli; próżny opór, wymówki — w drogę!

— Po cóż ja z wami w drogę, moje już słabiuchne nogi, ja daleko nie zajdę...

— Wesprzemy ciebie naszemi ramionami — czas nagli, prędzéj w drogę!

— Może wy głodni... dlatego wybieracie się odemnie.... może wy litujecie się mojéj niedoli.. nie, nie, znajdzie się u mnie i dla gościa potrawa....

Tu udając trwogę powstała Lida z ziemi i poczęła się krzątać; to ognisko dokoła obkłada drzewem jak gwiazdę w promienie, to pęk wiszącego ziela podjęła ze ściany — rozsypuje drżącą ręką

po izbie; i w kąt zajdzie i gdzie łoże — to na ogień go wsypie, to gdzieś za rańtuch żółtawe zeschłe liście wciska....

— Czekajcie, czekajcie chwilkę: zaraz wam jeść zgotuję; mam tu nieco mięsiwa, dam chleba..

I chleba dostaje, nóż weń utyka, nóż drugi ostrzem w ścianę wedle ogniska utyka znowu.... a Lut z Wajdelotą wołają niecierpliwie:

— Nie trzeba nam mięsiwa, nie trzeba żadnéj potrawy — nie zwłócz czasu daremnie! pójdź z nami, pójdź tej chwili!

Pod boki ją ujęli, Wajdelota z jednéj, Lut z drugiéj strony, i wyprowadzają z chaty — ciągną w las ku słońca wschodowi — a Lida drży nieboga.

— Zimno mi, zimny poranek — puśćcie mnie, niechaj się w rańtuch owinę — nie bójcie się niczego .. jęku i krzyku staruszki nie posłyszy nikt w lesie... nogi moje słabe, nie uszłabym waszéj baczności, waszéj pogoni... ale zimno mi, zimno... niech się w rańtuchy okręcę.

Puszczają ręce Lidy — ona drżącemi dłońmi obwija się w rańtuchy, a z za rańtuchów sypią się żółte poschnięte kwiatki; ona postępuje zwolna a za nią z kwiatków droga; nie widzą tego drapieżcy i idą wciąż, idą daléj... Już nie ma listka w ręku Lidy, nie ma już daléj sposobu, ale

pobożna Lida Bogów dęby święcone gdzie napotka to stroi; uszczknie mchu złotawego, uszczknie suchéj paproci i niby to się modli.

— Wielki Boże Perunie, Lida biedna dzisiaj, Lida bardzo biedna... ona nie ma co dać tobie na ofiarę, ni tobie Ziwo, ni tobie Pekole. Mażanno Biełboże... niechajby choć te kwiatki suche paproci, ziele zeschnięte, mchowe wianki za ofiarę służyły tobie. One suche, powiędłe.... tak jak moja zgrzybiała starość... ja nie mam co lepszego dać wam Bogi w ofierze; weźcie chociaż to ziele, to ziele z szczeréj chęci... to ziele za tłuste mleko co inni znoszą i leją niemi wasze dęby święcone!

Już słońce wysoko na niebie, wspierają kroki Lidy Wajdelota i Lut, a ona chociaż spocznie gdzie pod dębem, zaraz korę jego w pożółkłe stroi liście a utyka je mocno, by nie obdarły ich wiatry rozuzdane w powiewie.

I wreszcie w jakimś gąszczu przy wąwozie stanęli: w tym wąwozie ze środka przędzie się nitka wody — a w ścianie ścieśnionego wąwozu mały otworek przy ziemi między krzakami ledwie dojrzany, i drugi otwór u góry, a w tym otworze dymi się nieco. Tam starce Lidę powlekli, była to jakaś obszerna w skalistej górze jaskinia. Spojrzała za siebie Lida, gdy ją mieli wpychać

do lochu; spojrzała raz jeszcze po niebie, po dolinie, po drzewach, jak gdyby je żegnała, i łza z oka błysnęła. Już jéj nie widać, już w jaskini zamknięta.

Tymczasem w chacie Lidy tli się ogień powoli; nie widać nikogo coby przybywał nawiedzić pustelnicę; nie widać i Aldony, bo ona poszła daleko szukać chleba między ludźmi, uprosić go dla staréj Lidy i dla siebie. Słońce coraz wyżéj na niebie, gaśnie ogień na kotlinie i tylko zostało kółko z końców niedopalonych głowni a w środku stosik popiołu. Już słońce zachodziło kiedy na mało-znacznéj ścieżce ukazała się niewiasta, a była to Aldona. Dźwigała brzemię jakieś na barkach i postępowała zwolna. Była to niewiasta licząca około lat czterdziestu, ale troski rozliczne zmyliły wieku rachubę ze spojrzenia. Modre oko Aldony nie miało żywości blasku, ciemne włosy pstrzyły się promieniami białemi — a lica wychudłe i ogorzałe pomarszczyła dłoń przedwczesnéj starości.

Zakołatała do drzwi, drzwi otworzyły się same, i nie powitała jéj Lida jak zwykle: „witaj córko moja!“ Spojrzy Aldona po chacie, nie masz nigdzie staruszki. — Może wyszła do lasu, tak ona sobie myślała; może do strumienia po świeżéj wody trochę — powróci, powróci za chwilę.

I złożyła Aldona ciężar na ziemi w kącie, siadła, spoczęła. Mrok zapada, nie masz ognia na kotlinie — grzebnąć chciała w popiele, a na kotlinie kółko szerokie podłużne z niedopalonych głowienek. *) Zatrwożyła się Aldona bo to znak symboliczny, to zdarzone opowiada nieszczęście. Wybiega przed chatę Aldona, woła i woła napróżno — echa tylko w głębi lasu przedrzeźniają wołania: « Lido! .. Lido !... Lido !... » a Lida nie odpowiada.

— Gdzież ty Lido wybiegła?... co znaczy to hasło trwogi?... czy ją uprowadził kto przemocą?... A może zasnęła gdzie w gęstwinie?... Nie, Lida nie wychodziła od lat pięciu i kroków sto od chatki — Aldona na tysiąc okrąża do koła — próżne wołania, — nie masz Lidy. Już ciemno do okoła — księżyc blady krąg podnosi w górę — Aldona ze łzami powraca do chaty, roznieca ogień i z zapalonem łuczywem w dłoni opatruje podłogę i ściany. Na podłodze rozsute suche kwiaty nieśmiertelników i paproci — na ścianie nie masz wianka.... w ścianie nóż utkwiony.... na ławie chléb nieruszony z utkwionem ostrzem leży. — Ach! już rozumie Aldona i jeszcze bardziej płacze, ręce łamie, rozpacza. Spojrzy na chléb pogardzony, był tu gość i nie dotknął go dłonią, a więc to był nieprzyjaciel; — w ścianie nóż za-

tkwiony, to zły człowiek pragnął śmierci Lidy; — po izbie rozsute ziele, rozsute aż za próg chaty... przypatruje się Aldona, za chwilkę wraca do chaty. To duma, to łzy łeje — straciła Lidę, rozpacza;... to znowu jakby pochwyciła jakąś wynalezienia jéj do serca nadzieję, uspokaja się nieco, nakłada stos drzewa na ognisko, zapiera drzwi co mocy staje, do rąk jakiś zerdzewiały bierze oszczep, usiadła naprzeciw ognia i tak czuwać umyśliła noc całą. Czy sen nieposłuszny na powieki spaść nie chce — czy Aldona obawia się nocnego napadu — ona milczy, a z duszy jéj nikt nie wykradnie podsłuchem zamiaru — jak usiadła, tak nieruchoma, ani oka nie spuści z ogniska, ani żadnego nie wydała poruszenia. Długa minęła godzina, nic nie przerwało milczącej ciszy dokoła chaty... aż nagle zerwała się Aldona, nastawia bacznie ucha, wzrok maluje bojaźń i poświęcenie się rezykowne razem... Niktby nie dosłyszał co więcéj brzmienia oprócz trzasku suchego łuczywa — ale Aldona rozpoznała głuche stąpanie — co raz ono tętniało wyraźniéj i bliżéj — wiatr to zaszeleścił czy wiatr niewyraźne przywiał słowa rozmowy — aże Aldona wyszeptała zcicha:

— Kroki dwóch ludzi... głos nieznajomy — już słychać wyraźnie... tak, dwóch ich zbliża

się, niewięcej — Oj! nie zlęknie się ich Aldona!
I zapukał ktoś do drzwi zlekka.

— Kto tu? zapytała Aldona — przyjaciel czy wróg jaki — tak późno, o północy?

— Swoi, mili, życzliwi; otwieraj nam Aldono!

— Co za swoi tak późno? powiedzcie bo nie wpuszczę... I to mówiąc podniosła oszczep Aldona.

— Otwórz! idzie przyjaciel — idzie Olelko — nie zwlekaj!

— Znany prawda głos Olelka; ale mi nie dość głosu — hasło rogu niech zabrzmi...

Rozległo się po lesie hasło trąbki Olelka, i wnet poznała go Aldona, poodsuwała wrzeciądze, zawory, otwierają się drzwi chaty, wchodzi Olelko, a z Olelkiem nieznajomy Jadźwinga — ale znajomy i życzliwy Olelkowi widać bo poufali ze sobą.

— Witaj Aldono miła!

— Witaj Olelku dobry!

— A gdzie matka Lida? czy już spoczywa?

— Matka Lida?... o mój miły Olelku! powróciłam dopiero dzisiejszego wieczora i nie zastałam Lidy! Porwali i uprowadzili Lidę źli ludzie — zostawiła mi o tem wiadomość — i znaleść ją została nadzieja, ale nadzieja słaba....

— Jakto?... nie masz Lidy?... uprowadzili Lidę?

— Ach! tak, Olelku miły, rzekła ze łzami Aldona.

— Gdzie?... kto?... w którą stronę?... wołał drżący Olelko z gniewu i zadziwienia.

— Jam tu nie była, ja nie wiem — wyszłam po żywność między ludzi, wyszłam przedwczoraj, wracam dzisiaj.., o nieba! smutku ciężki! nie masz nigdzie Lidy!

— O nieba! gdzieżby?... czy nieprzyjaciel jaki usadził się na jéj zgubę?!... Ale cóż przekonywa cię o tem, Aldono, co mówiłaś, jakoby źli naszli ją ludzie?

Tu Aldona opowiedziała wszystko co zastała w chacie, opowiedziała o wysłanéj zielem ścieżce za próg i daléj... A Olelko rozpaczał prawie, zgrzytał zębami, rwał włosy, bił piersi i wykrzykiwał dzikie przekleństwa i groźby.

— Na Peruna! ja wynaleść ją muszę — ukarzę zbrodnię — Po cóż mi ukrywać ją było... poco samemu?..... Czemuż nie wziąłem jéj — nie zmusiłem do powrotu między ludzi!... Przeminąłby był upór chwilowy i ta oziębłość i pogarda dla świata!.... O biedna niewiasto... o nieszczęśliwa Lido! przeżyłaś lat tyle ukrywając się pomyślnie — na tak późną starość dostać się w rę-

ce wrogów twojego.... rodu!.... Przyjacielu!... Aldono!.... pójdźcie ze mną, téj chwili, pójdziemy drogą gdzie Lida z suchych kwiatów i ziela uścielała ścieżkę. Przysięgam na Peruna że ją wynaleść muszę... O biedna matko... Lido!

— Próżno téj chwili wychodzić. Pośród nocy zgubimy ślady i tułać się będziemy w pustyniach daremnie... zaczekajmy do ranka, z rankiem w pogoń ruszymy!

Olelko zapomniał o nocy, ale wyjrzy na niebo, niebo osnuły ciemne obłoki, zniknął księżyc i gwiazdy, aż czarno na niebie. Starzec rzucił się na ziemię, już nie rozpacza tak gwałtownie, ale widać, nad wszystkie nieszczęścia jakich doświadczył, nad wszystkie straty, przygody, ta była najokropniejsza dla jego serca — świadkami boleść wypiętnowana na licu, świadkami rwące się z piersi jęki.

Zaświtała jutrzenka — pierwszy promień słońca zaświecił nazajutrz nurzając się w gęstwinach lasu. Olelko, Aldona, i Jadźwinga towarzysz Olelka, udali się natychmiast w pogoń, rozeznając drogi ślady symboliczne rozesłane po lesie długim.

# 6.

— Pójdę, pójdę, chociażby w same Lachów wtargnąć mi przyszło zamki.... Ależ mam powrócić nieraniony?... Nieraniony! — prawdziwie nie rozumiem tego jak można zwalczyć zbrojnego Lacha.... Lachów miecze długie... chybaby moim dzirytem, lub wypuszczeniem z łuku strzały powalić go o ziemię... nie! to byłoby zdradziecko.... Czemuż Olelko zastrzegł abym powrócił niezraniony — chciałżeby tego abym walczył podstępnie?... Nienawidzę Lachów; chociaż oni ród mój wytępili sławny, nie mogę przecież mścić się niedobywszy miecza, nie walcząc jak mąż prawy.

Tak szeptał sobie Mleczko i rozmyślał postępując ciągle naprzód. Gdzie się miał udać — on nie wybiera miejsca, dąży tylko na zachód, i gdzie spotkać Lacha — to jego cel jedyny. Już postanowił w duszy walczyć jak mąż prawy... dlaczegóż zatrzymał się nagle, dlaczego obraca się ku domowi?.. i duma chwilkę i wraca się powoli — tarczę zarzucił na ramię — głowę spuścił do piersi.... Miałżeby już serce stracić, miałżeby rozważywszy, lękać się śmierci?

— Tak.... niechaj zobaczę ją jeszcze... może zginę — bo któż mię uręczy że mój oręż dzielniejszy, że moje dłonie silniejsze od Lacha którego spotkam?... Mleczko ją kocha, i ona mile spogląda na mnie... Szczęśliwy ty Zdzisławie, ty nie znasz skarbu jaki przeznaczył ci Olelko!... Ja nie zajrzę ci tego szczęścia.... dla mnie dosyć widzieć Diwanę, a widzieć ją szczęśliwą... Niechaj ją ujrzę raz jeszcze, niechaj łzami, co tak do oczu się cisną, poleję jéj dąbek ukochany, jak ona zlewa go co ranek mlekiem... i ja mu piosnkę zanucę!...

I znowu szybkim krokiem biegnie Zdzisławko zobaczyć małą drzewinkę Diwany — Może tam przyjdzie Diwana z poranka brzaskiem — „Ja go wprzódy moją łzą poleję, szeptał zcicha Mleczko: ja go zmrożonym kwiatkiem przystro-

ję! ona zastanie dąbek swojego Zdzisławka już przyozdobiony — zdziwi się kto ją uprzedził — pomyśli może o Mleczku. O jak miło będzie mojemu sercu że Diwana pomyślała o mnie! zobaczę uśmiech jéj luby, zobaczę z dąbkiem pieszczoty dziecinne, radosne.... O szczęśliwy Zdzisławie! ty nie znasz swojéj przyszłości, nie znasz swojego szczęścia!

Już stoi Mleczko przy dąbku — księżyc oświeca go z góry — księżyc w pełnym blasku sypie promienie na perły zmrożonéj rosy; powiew wietrzyka szumi listkami drobnéj drzewinki — a młodzian stoi milczący; tylko Bug szumi w pobliżu jak jego myśli — a serce bije gwałtownie — a z piersi wolno, posępnie, dźwięcznie, płyną tony pieśni. . .

— „Czy mnie boisz się dąbku,
Co tak szumisz listkami!
Czy mnie chciałbyś odegnać
Daleko precz od siebie? . . .
Przytul zielone skrzydła
Nie bój się dąbku luby,
Ja nie ściągnę ku tobie
Niegodnej dłoni mojej!
Spij drzewinko — śpij dąbku.“

„ Jużeś uciszył szumkę...
Pocóż tobie w zadumkę

W zadumkę czoło chmurzyć?
Co dnia dziewica hoża
Przyjdzie przyjdzie do ciebie,
Co dnia mchem złotym owinie,
W błękitne kwiatki ustroi:
Nie smuć, dąbku mój luby.“

„ Znowu szumią gałązki,
Swawol sobie wesoło....
Żegnam cię drzewko lube —
Pamiętaj o mnie przecież,
Gdy tu przyjdzie Diwana
Z żyznem mlekiem, z kwiatkami;
Zaszum wtedy w gałązki,
Powiej Mleczka wspomnienie
Do serduszka Diwany,
Wspomnienie przyjaciela,
Bliźniego jej kochanka.“

„ Kiedy smutną Diwana
Szum jej tedy wesoło,
Zabrzęcz w twoje skrzydełka,
Rozpędź smutek z jej czoła,
Nagnaj w serce wesela,
Swobody i nadziei.“

„ I znowu dąbku szumisz,
Pytasz mnie, gdzie odchodzę?
Idę bardzo daleko,
A może bardzo blisko,
Idę szukać pamiątek
Po rodzicu Komiacie,

Albo drobnej mogiłki,
Lub na stepie pogrzebu,
Daleko.... do przeszłości...
Żegnaj, żegnaj drzewinko!... «

Zakończył piosnkę młodzieniec, ale tonów jego pieśni nie odbiły echa w borze, bo łza z oczu płynęła i ciche drżące dźwięki z ust porywała nieznacznie — upadała potém na ziemię przesiąkłą mlekiem ofiarnem Diwany. Może ta łza zapłynie gdzie do ustek drobnych korzenia małej drzewinki — i przesiąknie do głębokiego rdzenia, i z pieśnią razem rozpłynie się po gałązkach; a gdy potém na fali wiatru rozbujają się listki, zabrzmią tonami tej pieśni, Bug, stara rzeka, przywtórzy, dzwoniąc w zabrzegi — modrzewie chórem głuchym zestroją się w akkordy i Diwana posłyszawszy tę piosnkę smętną, kiedy tutaj przybłądzi — przypomni sobie jakieś zasępione młodzieńcze czoło, przypomni sobie owe boleśne uśmiechy i spojrzenia ponure, łzawe; te obrazy wycisną z piersi dziewiczej westchnienie za przyjacielem, za bratem kochanka jéj Mleczkiem.

Tak dumał sobie Mleczko i wpatruje się w dąbek zielony jak gdyby widział krąsną Diwanę w tej drzewince. Księżyc naprzeciw niemu wprost

błyszczy, płynąc po niebie, rozłamuje tęczowe barwy w kropelkach rosy; na liściach drzewiny wiatr chłodny z deszczem zmięszany zamraża krople w perełki — Na oku młodzieńca łezka, w tej łezce barwy tęczowe — wiatr mroźny przecinał rosę w perełki białe śnieżne — ale łezki tej w oku nie zamrożą grudniowe nawet wichry z północy — bo ona tak gorąca, że chociażby w kamień przeciekła zimny rozgrzałaby mu łono; a ta łza jeszcze chłodniejsza od serca co mocno bije — a tego serca ogień po wszystkich rozpływa nerwach i dreszczem wstrząsa je co chwila.

Jak szybko po sfałdowanym nurcie Bugu mijają blaski odbitego księżyca, tak w duszy młodzieńca, wsunąwszy się zaledwie, ulatują jedne po drugich myśli bez ładu. Jak na Bugu po dnie równem przesuwa się zwierciadło wody czystéj spokojnéj, i znowu pląsając po fałdach bruzd piaskowych roztryskuje się w promienie, wiry — tak myśli młodzieńca gdy trafią w serca czułość wrodzoną, grunt przejrzysty pogodny, to wypogodzi się i czoło. Wnet trafi w to, którego serce nie posiada, uczucie, i wirując się gniew obudza — tak i marszczy się czoło młodzieńca, brwi jeżą, źrenice malują pogardę.

— Jestżem ja Mleczkiem — mamże ja serce męzkie?... Po co tę rzewność do serca przyswajać, po co téj łzie pozwalać aby cisnęła się w oko?... Diwana dziewica przeznaczona za żonę Zdzisławowi — a jam śmiał ją pokochać — ja śmiałem dąbek dziewiczy nachodzić i bluźnierczemi usty wylewać tu namiętne serca zapały! Duszo moja, wznieś się nad słabość niewieścią . . niegodną Mleczka, niegodną Jadźwingi! Piękna Diwana, ale nie dla mnie jéj wdzięki!, Zdzisław godziną starszy odemnie, dosyć że starszy, i buławę ojca i dziada odziedziczy — będzie wodzem dzielnego ludu, będzie i moim panem, chociaż krwią bratem. Powinienem szanować tę w nim wyższość; powinienem — bo inaczej — grzeszyłbym przeciwko Komiatom dzielnym — przeciwko rodowi Peruginów! Diwana narzeczoną Zdzisława, toć i z mojego serca powinna zdawna ulecieć niewczesna miłość... I mnie tutaj bluźnić przeciwko wierze i cnocie zamarzyło się tak lekkomyślnie?! niegodném tchnieniem zarażać dolinę po któréj pląsa kwiat dziewic, niewinna, piękna narzeczona Zdzisława. Ach, dąbku święcony! zapomnij lekkomyślności, zapomnij win moich! — jak śpiewałem ci pieśni dla Diwany przed chwilą, tak wyprzysięgam się niewczesnych zapałów na zawsze! No-

sisz imie Zdzisława, kochanka Diwany; niechaj strzegą cię Bogi, niechaj strzegą i brata mojego co w bliźniąt zrodził się zemną parze! Żyjcie obadwa długie lata, żyjcie na szczęście Diwany! Oby tylko na szczęście! — Dajcie Bogi wielkie aby tak kochał szczerze Diwanę Zdzisławko, jak ja szczerze zrzekam się wszystkiego dla jéj szczęścia — dla miłości bliźniej krwi mojego brata!

— Zaszum dąbku a głośno; rozpędź ztąd moję tchnienia! Niechaj nigdy w dolinie nie zagości na chwilę Mleczka błędów wspominek — Mleczka ogniów niewczesnych ku Diwanie pamiątka. Niechaj w krasy bogata uszczęśliwi Zdzisława, niechaj w cnoty bogata umila życia pasmo! — Ja biegnę szukać Lacha — dla mnie jedna już tylko pozostała kochanka co z serca nie uleci aż do urny płaczebnej, aż do zimnéj mogiły — pomsta, pomsta za ojca — z żądzą niesytą posoki wrogich Lachów czerwonéj! Idę na świat daleko — może jeszcze powrócę, może zjedzą mnie Lachy. Żegnaj dąbku kochany, a mojego imienia nie powiej w serce Diwany!....

Wyrzekł się miłości Mleczko, jednakże listek urywa z gałązki i przyciska do serca, wciska za kaftan skorzany; na listku zmarzła rosa je-

sienna może i serce ochłodzi, a łza co raz jeszcze błysnęła na oku może już nie tak gorąca; — ja nie wiem, dość że młodzieniec odbiega daleko z doliny — przedziera się przez knieje, zarosłe gęstwiną, brzegami zdążając Bugu — aż wycieńczony na siłach, roznieca ogień, otula się w rysią skórę, i leżąc duma, duma i zasypia.

* * *

Dni wiele minęło od pożegnania dąbka. Jednego ranka pogodnie przyświecało słońce: — przez niwę zasłaną trupiemi kościami, przez śmiertelne Jadźwingów szczątki, sunie młodzieniec jak mara pobladły, na licach uśmiech bolesny i triumfalny— na barkach porąbana skórzana zwiesza mu się tarcza, a w dłoni jednej połyskuje puklerz z godłami złoconemi, a w dłoni drugiej zatknięta na mieczu głowa z szyszakiem czerwieni się krwią zakrzepłą, bieli śmiertelnemi licami. — Długa u niej czarna wisi broda, zamrużone oczy, na czole jej gniew i duma, a na licach uśmiech szyderczy, bolesny, spokojny, strojnie między odbicie tych uczuć jakie w sercu konającego grały rycerza. Chociaż pobladłego łatwo w młodzień-

cu poznać Mleczka — wzrok jego, szybciejszy od kroków już dobiega celu — chwyta powalonej świątyni ściany i przyciąga za sobą niecierpliwego młodzieńca.

Stanął we drzwiach świątyni — pusto i głucho dokoła....

— Czyliż to nie tutaj? wszakże o téj mówił świątyni Olelko.... nikogo tu nie widzę — ni znaku ludzkiéj stopy, ni śladu Jadźwingów mieszkania....

Ogląda się Mleczko dokoła i nie widzi żadnéj framugi, żadnego zakątka gdzieby żywa dusza gościła — tylko niezgrabnie wyciosane bożyszcze milczące stoi w niszy — a przed bożyszczem na ołtarzu ślady krwi ofiarnéj i porozrzucane ognie...

« Może, pomyślał, znajdują się gdzie w pobliżu kapłani — świątynia ta na wzgórku, pod nią może jakie lochy ukrywają pobożnych przed drapieżnością Lachów. Ale tu nie masz Lachów, nie odwiedzają tych ruin, bo zniszczyliby dawno posąg bożyszcza, zwaliliby dąb odwieczny co konarami liściastemi ocienia bogów świątynią! » Pomyślał chwilę młodzieniec — dobył rogu, uderzył weń przeciągle, a zdala rozbite o ściany lasów echa rozniosły do głębi puszczy hasło znajome Komiatów. I nagle, niespodziewanie, w chwilę po skonaniu dźwięku hasła, odezwał

się głos pod ziemią czy gdzieś w chmurach, bo tak głuchy, tak przytłumiony, że ledwie baczny dosłyszał go Mleczko.

— Czyje to hasło zabrzmiało? zapytał głos niewidzialnéj osoby.

— Hasło Komiatów, odrzekł młodzieniec.

— Jakże Komiat wita bogi?

— Krwawą ofiarą! odrzekł Mleczko, tak jak nauczył go Olelko. I wnet ukazał się tuż obok Mleczka cudem pojawiony starzec, i zmierzył okiem młodzieńca i zaczął znowu badać go w te słowa:

— Komiatów hasło zabrzmiało, poznałem je do razu — ale oprócz dźwięku rogu Komiata, Komiat dowiedzie i w inny sposób że jest z Peruginów rodu.

Mleczko nic nie odpowiedział i tylko złożył na ołtarzu zakrwawioną z szyszakiem Lacha głowę, nakrył ją złoconą tarczą, a potém zrąbany mieczem rycerskim swój puklerz skórzany postawiwszy u stopni wzniesienia na którem stał posąg bożyszcza, rozpiął odzienie na piersi i ukazał sześciokątną gwiazdę wykłutą w dzieciństwie, ukazał nieskaleczone ciało i mówił:

— Składam Bogom ofiarę, ofiarę z krwi jednego Lacha. Niechaj ta krew płaczebne poświęci ruinki, niechaj zleje popioły tysiąca pole-

głych na tém polu i pocieszy snujące się smutnie duchy walecznych, tą trochą dokonanej na ich wołanie zemsty! Pobożny kapłanie, przysyła mnie tu do was Olelko wódz Jadźwingów, abyście opowiedzieli mi co tak sercu drogie, opowiedzieli co wiecie o ostatnim Komiacie, rodzicu moim.

— Dopełniłeś wszystkiego co byłeś uczynić powinien, a więc dowiesz się, synu... Lecz pierwej skończmy ofiarę — oddajmy ją bogom, którym ją przynosisz. Pusto tu dzisiaj i głucho mój synu; ród nasz wyniszczony błąka się po lasach i kryje. Ty mi zastąpisz młodzieńca ofiarnika; przybliż się do ołtarza synu i roznieć zagasłe ognisko.

Mleczko żwawo poskładał suche na stos gałęzie, ułożył według zlecenia starca na wierzchu stosu głowę Lacha i kilka suchych czaszek Jadźwingów — a potém gdy zatlił się i rozpłonął ogień, kapłan obchodząc ołtarz do koła, odgarniał dym ku górze, a dym świdrując kłębami płynął prostopadle ku niebu — a starzec szeptał zaklęcia i śpiewał drżącym głosem wrotkę starej pieśni.

— « Perunie, wielki Boże, Jadźwingów rodu zbawco! Perunie spojrzyj z niebios, daj twego

ognia promień dla młodzieńca do serca, dla mściciela krzywd ojców — daj ognia, daj go z nieba!

— Mażanno krwi niesyta, precz ztąd; a kysz! a kysz! Nie mięszaj płomieni i dymu skrzydłami nietoperza — nie tryumfuj — bo śmierć ofiarna, którą widzisz, nie tobie, ale cieniom poległych pomordowanych rycerzy krwią sączy w głąb mogiły.

— Pekole, piekła Boże, przyjmij serca przysięgi, zachowaj ust cnych słowa, zachowaj dłoni cnych czyny — zemstę!»

I znowu przysypywał na stos suchego ziela paproci, i szeptał jakieś tajemnicze słowa bez związku, i tylko słyszał Mleczko: «śmierć... zguba Lachom.... śmierć...! zemsta..!»

Dogorzał ogień na ołtarzu, został popiół w szyszaku okopconym, zostały czaszki Jadźwingów zwapnione wybielone; nie strawiły ich jakimś cudem płomienie — zesypał je stary kapłan do szyszaku, przykrył zielem dzikiej paproci i oddał do rąk młodzieńcowi mówiąc:

— Oto masz popielnicę — wykop tam zdala krzyża sterczącego na mogile dół głęboki jak ten miecz długi — ten miecz utkniesz ostrzem do góry na dnie grobowca, obok brzeszczotu złożysz

płaczebną tę urnę z hełmem Jadźwingów wroga, nakryjesz zdobytym puklerzem — będzie to pogrzebem. A potém wróć do świątyni — zastaniesz mnie gotowym opowiedzieć ci wszystko — co przeszło, a czego nie wiesz; powiem ci o twojéj przyszłości — idź skoro i powracaj — a ostrożnie, by cię nie zeszły Lachy!....

Mleczko niecierpliwy rychło wykonał zlecenie Wajdeloty i powrócił do ruin świątyni. Starzec oczekiwał na niego u podwoi, a kiedy stanął przed nim młodzieniec, w te słowa odezwał się do niego:

— Jesteś młodym zbyt jeszcze, ale kogo wychowywał Olelko, kogo wypiastowała Lida, w tym rozum wcześniéj jak doświadczenie goszczący, rządzi tak silnie jak rozsądek stary. Wiesz o tém młodzieńcze że ród nasz nie powstanie już przemocą, nie oprze się Lachów potędze. Oto masz przed oczami posąg odartego z bogactw i czci ludu boga — tak wszystko runęło — nie masz komu bić czołem przed ołtarzami, nie masz z czego i ofiary bogom sprawić, a kapłani, bogów słudzy, w lochach podziemnych ukrywać się muszą, nocą zaledwie spełniać służbę swoją odważni. Niewszystkim nawet Jadźwingom widzieć to co baczysz wolno: pamiętaj więc szanować tajemnicę!.... Nie żądam od

ciebie przysięgi — powiem ci tylko, że gdybyś zdradził naszą tajemną kryjówkę, czy przed bratem, czy przyjacielem, mógłbyś obalić wielkie budujące się dzieło — zgubić lud nasz wszystek. Ale Komiatowie zawsze byli dzielni, im tylko o szczęście chodziło ludu, to było ich życiem! W tobie płynie krew Komiatów: ufam ci synu w tej mierze — pójdź za mną!

W zakątku nieznacznym świątyni ukryte drzwi szczelnie przystające do muru prowadziły na kamienne wschodki, co w dół spuszczały się głęboko. Roztwórzył je Wajdelota, nie zaskrzypiały misterne wrzeciądze i powoli spuścili się na dno ciemnej pieczary. Loch długi, kręty, nieoświecony jednym choćby słońca promieniem, nurzał się, wijąc kręto, w głębi pagórka na kilkadziesiąt kroków. Mleczko postępował za starcem trzymając róg jego szaty, i ujrzał się nagle w blado oświetlonej pieczarze. Na środku tlało ognisko, dokoła rozrzucając promienie; — przy ogniu siedział staruszek, arcy-kapłan, Krywe-krywejta nazwany. Biały włos długiej jego brody spływał na piersi; wzrok zagasły zupełnie, jakby martwy, nie odwracał się od płomienia; a usta drzące obwisłe ruszały się czy drżały ciągle, niby szepcąc tajemniczo — niby rozmawiając z ogniem Znicza, który bladawo gore. Stanął przed

nim młodszy starzec Wajdelota i w te doń odezwał się słowa:

— Przybył tu młodzian, Komiata syn drugi; przysłał go Olelko do nas, abyśmy opowiedzieli mu o rodzica jego ostatnich godzinach panowania i życia pomiędzy Jadźwingami, ile pamięć nasza zasięgnie, ile tylko wiemy. Mleczko mu imie, piastowała go Lida.

— Jam kapłan bogów najwyższy, co mogę czynię każdemu, ale służąc Bogom dla Bogów żądać muszę wprzódy ofiary. Kiedy Jadźwingowie bogacili się łupami Lachów, składali wtedy bogate bogom ofiary; dzisiaj Jadźwingów świątynie porozrzucane, popalone, kto chce uczcić swe bogi niechaj im zemstą służy, niechaj krwi Lachów przyniesie! — Uczyniłżeś tak, młodzieńcze?

— Przyniosłem głowę i zbroję Lacha.

— Dawnemi czasy Jadźwingowie byli potężni liczbą — ale niedosyć na liczbie, niedosyć było na siłach. Jadźwinga każdy posiadał jeszcze takie serce, jakiem nie pochłubią się ani Litwin ani Żmudziny. Ale nadewszystko rozwaga zimna mój synu!... I dzisiaj niemiła Bogom ta ofiara co ogniem zbytecznym i wysiłkiem zdobyta; dlatego synu, jeżeli swój lud ko-

chasz, powinieneś szanować własnego życia, krwi własnej oszczędzać. — Uczyniłżeś tak, młodzieńcze?

— Z méj krwi nie posączyła się i kropla, ale walczyłem jak walczyć winien mąż prawy, jak walczyli niegdyś dzielni Komiatowie — siłą na siłę, sercem na serce, mieczem na miecz...

— Jak Komiat działać, tak za nim i lud postępować będzie; ta odwaga zbyteczna nie podoba mi się, synu, nie podoba się bowiem bogom Jadźwingów. Słyszałeś już o tém zapewne nie od jednego starca, co dawne zapamięta czasy, słyszałeś mówię o twoim rodzie — o pasmie długiem dzielnych pokoleń wiodących ród od samego Boga Peruna. Rodzic twój Komiat ostatni — błądził w młodości — i ściągnął na ród cały plagę. — Powoli zgnębiły go losy, i został obdartym — pomimo cnót wielu i dzielności męzkiej — z miłości ludu, z powagi władzy, godności — a wszystko z błędów młodości. Możeby i klęski nasze nie były tak wielkie, gdyby nie porywczość Komiata. Miał serce za ogniste, był namiętny w miłości, był za śmiały w boju — był dumny i dlatego pogardzał sposobami ocalenia siebie i ludu, i wolał zginąć aniżeli ustąpić z pola bitwy zwycięzcom — i dlatego zginęli wszy-

scy, bo wszystkich Komiata duch ożywiał — jego ognista namiętność, jego duma zapalczywa.

— Opowiadali mi to wszystko w koczowisku starce; z pogardą Luto, którego nienawidzę, wspominał, — śpiewała i Lida pieśni nad moją kołyską; jednakże wielbią pamięć ostatniego Komiata, chociażby nie jako ojca uważając — bo był dzielnym to i dosyć. Ale, świątobliwy kapłanie, mnie ciekawiej dowiedzieć się o końcu tych dziejów — o kresie mojego rodzica. Pytałem o to Olelka, nie powiedział i słowa bo nie wie;... nie powiedziała Lida, ani starce w koczowisku najstarsi. — Olelko do was mnie odesłał pobożni kapłani, abym dowiedział się cóś więcej o rodzicu moim — powiedźcież mi, co tak cięży sercu — powiedźcież — zginął on czy żyje?

— W bitwie nie zginął i nigdzie go też nie ma.... ani po nim wieści.....

— Opowiedzcież mi przynajmniej ostatnie jego przebywania z wami chwile; niechajbym posłyszał chociaż jedno z ust jego do serc waszych przepłynione słowo — ach! jakżeby to miłe sercu sieroty znękanemu było! Może przeczułbym z tego gdzie się obrócił i po co; może zna-

łazłbym jego ślady jakie — powiedźcież mi co o nim, powiedźcie!

Kiedy to mówił Mleczko, zapominał o wszystkiem, myślał tylko o Komiacie rodzicu; jakaś wtedy w sercu rzewność zagrała, że aż łzą oko błysnęło. —Widzieli to starcy obadwa, podumali chwilkę, i jeden starzec młodszy takie zaczął opowiadanie:

— „ Przed dwudziestu latami, kiedy Leszko król Lacki dognał nasze hufy pośród lasu na tem błoniu co tę świątynię otacza, a po większéj części zarosło już krzewiną — Komiat przywodził szykom zebranéj we wspólnej sprawie Litwy z Jadźwingami — i tu mu stawił czoło. Było w wyprawie onéj wiele naszego ludu tysięcy, a wszystko lud rycerski jak wybierany, dorodny, krzepki i dziarski. — Słyszałeś i szczegóły i skutek owéj bitwy, nie będę powtarzał ci młodzieńcze wszystkiego, ale zwracam opowiadanie do Komiata przywiedzionego do wściekłéj rozpaczy, kiedy ujrzał pierzchającą z pola bitwy Litwę bojaźliwą. Zachęcał swoich przykładem i słowami, walczył jak lew rozjuszony, ja biłem Lachów tuż około niego, co stało się z nim widziałem. Lach olbrzymiego wzrostu, w złocistą strojny zbroję, powalając wszystko do-

koła siebie, łamał się przez zbite hufy aż do wnętrza naszych szyków. Postrzegł go Komiat i nagle poskoczył ku niemu, zepchnął go z konia i do pieszego na ostrza wyzwał harcu. — Lach był silny, ale i Komiatowi nie brakuje na dzielności; zwarli się jak dzikie tury rozjuszone, co spotkawszy się na borze krwawe wyprawią zapasy. Miecz Lacha wyćwiczony, przemagać zaczął broń Komiata — rzuciliśmy się pomimo zakazu na pomoc. — Lach zginął od strzał zagrzęzłych w jego piersi, ale Komiat pierwéj jeszcze padł, mieczem okropnie raniony w bok i prawicę. Pochwyciliśmy go na barki i z pola bitwy unieśli. Gdyby nie te rany Komiata, kto wie czy tego błonia, tak samo jako dzisiaj ścielą je naszych kości, nie zasłałyby były kości Lachów. — Krew rzucała się do ust, głowa obwisła, na ramię spadała... Komiat był jak nieżywy. Widzieli to Jadźwingowie — i pewni jego śmierci zawyli okropnie — i bez ładu, bez szyku, rzucili się na nieprzyjaciół. Nie było komu sprawić szyków i przemogły Lachy, wymordowali naszych. Reszta, co mniej miała serca, albo przypomniał sobie kto przy schyłku bitwy żonę i dziatki w koczowisku, ten litując się ich przyszłego losu uchodził w puszczę, bo wiedział że wszystko przepada.

« Uniósłszy z pola bitwy Komiata uchodziliśmy z drogim ciężarem w głąb' puszczy zarosłéj. Była niegdyś świątynia daleko ztąd pośród zarośli manowców, wykuta w ścianie skalnéj wąwozu. Jeden tylko mały otwór u dołu prowadził do téj jaskini, drugi mniejszy wysoko użyczał wnętrzu nieco światła i dym wypuszczał. A tak było to pokryte zaroślami, że sto razy o krok od nas przesuwały się Lachy i nie spostrzegli nas nigdy. W téj świątyni mieszkał dawniéj pobożny kapłan, znający się na ziół skuteczności — i niedługo, bo w trzy dni niespełna, wygoił rany ciężkie Komiata. Było nas kilku poświęconych chociażby umrzeć dla niego — otaczaliśmy jego łoże, a gdy powstał z mchowego posłania jednego ranka zdziwiliśmy się spojrzawszy na jego wygojone zupełnie piersi. Komiat nie mógł i chwili dłużéj zostać nieczynnym! Skoro przyszedł do siły jakiéjkolwiek, natychmiast rozesłał nas w różne strony wywiadywać się o skutku bitwy i działaniach nieprzyjaciół; sam zaś pozostał w świątyni, przyrzekając że nie odstąpi od niéj i krokiem, dopóki my nie powrócimy, dopóki ranne jego nie wzmocni się ciało. Wybiegliśmy w nasze koczowiska brzegami Bugu — wszędy śmierć i zniszczenie — spotykamy tylko dymiące się pogorzeliska naszych chatek —

na pożogach rozciągnięte starców, niewiast i dzieci trupy—a wszędy kąpią się prawie we krwi Lachy i przebiegają szerokie bory szukając błąkających się jeszcze Jadźwingów — by ich wytępić do szczętu. Ach! co działo się w sercu, patrząc na tyle okropnych klęsk biednego ludu — trudno wypowiedzieć. Co chwila my sami, albo musieliśmy walczyć w pojedyńczych spotkaniach z Lachami, albo ukrywać się przed możniejszą w trójnasób siłą. Nocą tylko zwiedzaliśmy kraj poniszczony, nocą zbieraliśmy naszem hasłem błąkający się lud po lesie, i według zlecenia Komiata odsyłali ich w głębokie lasy nad brzegi Bugu.

„Nieraz widzieć nam przyszło jak tłumy podłych rodaków naszych — czołgały się u stóp Lachów — a chrześcijańscy kapłani z krzyżem w dłoni błogosławili ich i zlewali wodą. Ach, wtedy krajało się serce tym boleśniej — bo niedosyć jeszcze dla biednych Jadźwingów tak okropnej klęski, jeszcze trzeba było niewiary — wyparcia się Bogów ojczystych! Do tych współbraci odrodnych nie zbliżaliśmy się nawet, bo kto tak nikczemnie korzył się przed Lachami, ten niezdolny już nigdy wzbić się do dawnej potęgi: a nam pośród samego nieszczęścia ta jedna przyświecała nadzieja, że jeszcze nie wszystko zgi-

nęło, że jeszcze dźwigniemy się na siłach a ku temu wszystkich poczęliśmy starań dokładać.

„ Zebrało się do tysiąca niewiast i starców i dzieci, około Bugu wyższego, na tem miejscu gdzie dzisiaj główne naszych koczowisko. My spieszyliśmy donieść o tem Komiatowi, spieszyliśmy do świątyni w wąwozie. Gdy pełzaliśmy ciasnym otworem do środka, było tam głucho zupełnie, ognisko ostygłe, a wewnątrz całej pieczary ni żywej duszy. Strwożyło nas to mocno— szukaliśmy wszędy, ale próżno; — czekaliśmy dzień jeden i powrócił stary kapłan i opowiedział nam jako Lachy wypatrzyli onę kryjówkę, i jako Komiat z mieczem w dłoni przedarł się pomiędzy szable i groty, i uszedł do głębokiej puszczy. Sam kapłan ocalał ukrywszy się w tajemnym zakątku świątyni. Cóż było począć w tym razie? umyśliliśmy pójść do zebranego ludu, i uprowadzić go głębiej, bo już dzień dziesiąty jak Lachy nie przestawali zniszczenia okropnego, przebiegając wszystkie nasze wdłuż i wszerz dzierżawy. Jednakże kapłan całą swoją zatrzymał u nas powagę i rozrządził inaczéj. Poszliśmy szukać Komiata i nieść mu pomoc w potrzebie, a kapłan sam udał się do zebranego ludu, by rozdwojone i znękane w jedność zlać umysły.

„Próżno... szukaliśmy długo. już nic.... Nie mogliśmy usłużyć Komiatowi. Spotkaliśmy tylko Lidę niosącą ciebie na rękach, i oblewającą cię łzami. Około Lidy postępowała Aldona: była to pierwsza małżonka Komiata, małżonka pogardzona, bo Komiat dla jednéj wyrzekł jéj się Laszki, odpędził ze swojego łoża — i Aldona z małym synkiem u Lidy matki Komiata ukrywała się, przepłakując dnie i nocy żałośnie po stracie serca Komiata. Synka małego Aldony zabił Lach, co wypuściwszy za Aldoną strzałę trafił w jego maleńkie piersi. Aldona utraciła z tem dziecięciem wszystko szczęście swoje, i szła smutna obok Lidy, trzymając na ręku zbroczone nieżywe dziecię. Nic dowiedzieć się nie mogliśmy od niewiast stroskanych. Lida wyrzekała na Lachów, Aldona przeklinała ich w kamienie. — Dopiero po długiem badaniu dowiedzieliśmy się znowu że Komiat powrócił na kilka godzin do swojéj chaty, zanim przybyli tam Lachy. Porwawszy na ręce płaczącą i broniącą się przemocy Laszkę i dziecię jéj starsze — uszedł z niemi w bór gęsty. Widziały niewiasty jak w chwilę po jego ucieczce przypadły Lachy, a dostrzegłszy jego ucieczkę biegli za nim w ślady; czy go dopędzili, czy uszedł, o tem nic nie wiedziały. Ja odtąd nie zobaczyłem go.... długo... nigdy, aż dotąd.... I oto

wszystko co o nim powiedzieć ci mogę. — Oto Krywe-krywejto który widział go i później — niechaj ci reszty dopowie.

— Ach, ojcze, powiedzcie mi proszę, zaklinam na Boga, powiedźcie — kiedy zobaczyliście go jeszcze? zawołał Mleczko do najwyższego stopnia ciekawości wzniesiony.

Starzec spojrzał na jego lica, widać znał dobrze serce ludzkie, i czułość synowską pojmował, bo nie wahał się długo i w te zaczął słowa:

— Wiadomo ci, młodzieńcze, że Komiatowie, najstarsi Jadźwingów książęta, mieli nad nimi władzę najwyższą; – wszyscy choćby najznamienitsi wodzowie ulegali im zawdy. Ale jak to bywa na świecie, kto ma sławę własnemi zyskaną czynami, ten i miłość ludu posiada — byli i pomiędzy Jadźwingami naówczas wodzowie sławni, a najprzemożniejszy wpływ między ludem mieli — Rodzic Diwany i Lut. Pierwszy był przyjacielem wiernym Komiatowi; drugi, mając sobie za krzywdę iż Komiat stary wydarł mu dziedziny nieprawnie przywłaszczone — odtąd był zawdy książętom zwierzchnim niechętny, i nigdy choćby w interesie całego ludu, nie okazał żadnej dla Komiatów przychylności, jeżeli tam o ich zarazem chodziło dobro. Rodzic

Diwany zginął w ostatniej bitwie; nie było zatém nikogo z możnych w narodzie coby wspierał i radą i ramieniem Komiata, a Lutowi sposobna nadarzyła się pono chwila do wywarcia zemsty i dogodzenia swojéj dumie. Nie można tego ująć Lutowi że jest mężny i niepospolity wojownik — czynami rycerskiemi nie ustępował w niczém Komiatom, ale w intrygach i waśnieniu ludzi biegły, a przytém władzy chciwy, umiał zjednać sobie wiele umysłów. Kiedy lud ocalały od miecza Lachów zbierał się wciąż nad brzegami Bugu, a Luto ujrzał liczbę jego niemałą, wnet duma chciwa obudziła w nim żądzę panowania, i Lut zaczął z góry zniechęcać umysły Jadźwingów ku Komiatowi. Byłem natenczas pomiędzy ludem; napróżno starałem się zapobiegać wzrastającéj niechęci; — Luto był cały krwią Lachów zbroczony, widzieli wszyscy walczącego w bitwie dzielnie, a ślady wielu blizn niezatarte przypominały jego dawniejsze sprawy. Zbierali się zwolennicy jego do koła, szemrali i roznosili pomiędzy lud niezgody nasiona. Kiedy Lut ujrzał się u szczytu swojéj potęgi nad umysłami ludu, zwołał wszystkich ze starszyzny na radę, a tłumy przysłuchiwały się do koła. Pamiętam do téj chwili jak Lut na polu bitwy sam podżegał Komiata do rozpacznych

wysiłków, miasto korzystniejszego cofania się w puszcze — zwłaszcza że Lachy na koniach niezdolni ścigać w gęstym borze, a sami otoczeni na niezbyt szerokiej niwie, napastowani dokoła, byliby mogli jeszcze najcięższą ponieść klęskę. Takie podobno zamiary już snuły się w duszy Komiata, i już zaczynał zbierać do koła siebie rozpierzchnione szyki, a Lachy zmordowane wytrwałością naszych nie nacierali tak silnie, gdy w tem Luto, nienawistny i dumie Komiata nieznośny — stawa, wyrzuca niegodną Jadźwingów pierzchliwość. Ach! Luto waleczny: nie ujmę mu tego; lecz w jego duszy już na polu bitwy urosła myśl dumna pognębienia Komiata choćby pognębić lud wszystek. Posłuchał Komiat własnej dumy, a zapłaciwszy Lutowi malującem dosyć co czuł wtedy spojrzeniem, uderzył i zgubił wszystko przez Luta. Aż oto ten Lut wyrodny stawa przed zgromadzonym ludem Jadźwingów i w te znowu do niego przemawia słowa, codo dziś brzmią w mojej duszy: — „Jadźwingowie nieszczęśliwi, Lachy znękali nas „do szczętu, któż upadku naszego przyczyną? „Laszka sprowadziła na nas nieszczęście, a tę „Laszkę porwał z rodzica zamku Komiat — a „Lachy do naszych aże wtargnęli siedzib — „mszcząc się napadu z Litwą razem na ich kra

„ je, mszcząc się porwania córki znakomitego
„ u nich Wojewody. — Słyszycie do téj chwili
„ jęki nieszczęśliwych; co chwila do nas przybywa
„ któś ocalały z rzezi i wieść przynosi nową o
„ jakiem okrucieństwie mstliwego Wojewody....
„ Bracia. spojrzyjmy i bliżéj, spojrzyjmy do owéj
„ bitwy ostatniéj i najokropniejszéj klęski naszéj —
„ kto był przyczyną tego że poginęli wszyscy
„ najdzielniejsi, kwiat młodzi i dobór mężów? Po
„ co nam było wstępnym bojem potykać się z wy-
„ ćwiczonemi w wojennéj sztuce Lachami? po co
„ było tyle krwi poddanych na stratę wystawiać?
„ niebyliżby otoczeni w nieznanéj puszczy, własną
„ niemocą, niedostatkiem wszystkiego, znękani
„ i zgubieni nieprzyjaciele? Ach bracia, srogie
„ wspomnienie przywodzić na pamięć ową prze-
„ szłość, srożéj jeszcze upadać i w smutnéj za-
„ grzebanym nędzy patrzyć na dumnie rozpoście-
„ rającego nad nami władzę zguby naszéj spraw-
„ cę. Komiat nas tutaj przyzywa a sam zosta-
„ wia lud bez wodza, lud bez obrony; — może
„ on téj chwili w bezpiecznem schronieniu pieści
„ się z Laszką występną — a my — co chwila
„ oczekujemy nowego Lachów napadu, nowéj
„ klęski — Po cóż nam uznawać dłużéj władzę
„ i podlegać woli nierostropnego Komiata?
„ czyliż on nie zasłużył na naszę zemstę za tyle

„ krwi rozlania, za tylu Jadźwingów zagubę! Ach
„ bracia, wspomnijmy na naszych braci, naszych
„ ojców, żony, dzieci, pomordowanych z jego
„ przyczyny — duchy ich wołają zemsty — nie-
„ chaj Komiat krwią swoją za tyle krwi zapła-
„ ci!"

„ Gwar coraz większy szerzył się gdy skończył Lut przemowę do ludu; — przyjaciele Komiata poczęli ujmować się i serca podżegniętych łagodzić — ale było już napróżno.... Zapał ludu wzrastał co chwila, wrzawa powstała coraz okropniejsza, aż wreszcie zabrzmiały odgłosy tłumem: «Niech zginie Komiat! śmierć Komiatowi!»

« Widziałem i słyszałem to wszystko, widziałem lica Luta tryumfującego dziko, niewiernie; podle.... Co chwila nowe starszyzny obrady, co chwila nowe miotania skarg i obelg na nieprzytomnego Komiata. Nie było tu co robić — próżno zwaśnionych pogodzić — zakręciłem się tedy pomiędzy dawnemi przyjaciołmi Komiata, poczciwej wiary ludzi, i gotowych do poświęcenia się za niewinność swojego pana; począłem zmawiać ich ku sobie. Znalazło się takich do dwudziestu; poszliśmy wszyscy szukać Komiata, znaleść go i ostrzedz przynajmniej o grożącem niebezpieczeństwie, by chociaż z życiem ocalał. — Ro-

zeszliśmy się w różne kraju strony; — ja szedłem ku świątyni, której byłem stróżem i kapłanem — aż tu pośród lasu znajduję leżącego na ziemi Jadźwingę; jęk głuchy płynie z jego piersi — zbroczone miał lica, zeschłe usta z pragnienia: — był to Komiat. Czém prędzéj dałem bliższym siebie hasło, otrzeźwiłem omdlałego, wodą ze strumienia obmyłem lica, a gdy przyzwani moim znakiem przybyli Jadźwingowie, podnieśliśmy go i uchodzim daleko. —Niedawno co, dopiero dni kilka, z jednego krwi upływu osłabły, téj pory znowu raniony świeżo — nie dziw że kilkanaście zmian, księżycowych nie podźwignął od posłania głowy.

„Opowiedzieliśmy mu wszystko, jako Lut zbuntował Jadźwingów przeciwko niemu, i niedość że wydarł mu władzę nad ludem, jeszcze krwi Komiatów pragnienie zagrzało wyrodnych serca. Znękany tylu nieszczęściami w krótkim przeciągu czasu, już nie uczuł tak silnie ostatniego, o którym z ust naszych dowiedział się ciosu. Osłabły na siłach, gdy nic przedsięwziąć nie był zdolny, odłożył frasunek ten niedbale na potem. — A gdy wyzdrowiał, już podobno owéj pory nie miał i jednego pomiędzy swoim ludem przyjaciela. Garstka tylko kapłanów i kilku wojowników stanęliśmy wedle niego kołem, a z tylą ludu, cóż mógł uczynić... oto znosić w milczeniu cier-

pliwie swoje krzywdy, gardzić losem, gardzić potwarzą, wrogiem niesytym w swojej dumie jakim był Luto. Opowiedział nam Komiat jak Lachy krążąc około wąwozu mordowali uchodzących Jadźwingów — a on sam wymknąwszy się zręcznie z ich tłumów pośpieszył do swojéj chaty, tam gdzie Lida z Aldoną upatrywały Bożenę Laszkę. którą on tak kochał. Bożena nie odpłaciła mu nigdy przywiązaniem, najmniejszem choćby, za jego miłość gorącą — i zawsze tęskniła do rodziny, do ojczystych błoni i zamku, gdzie urodziła się i wzrosła. Wiecznie łzy z jéj oczu płynęły: ani troskliwość niewiast Jadźwingów, ani tańce i pieśni młodych dziewic nie rozrywały jéj na chwilę. Ten smutek Laszki nie zmniejszył bynajmniéj przywiązania Komiata do niej; kochał ją tym więcéj, jak gdyby w jéj posępnéj boleści nowe upatrywał roskosze i wdzięki. Gdy Bożena urodziła Komiatowi was dwóch synów bliźnięta, zmniejszyła się cokolwiek jéj boleść, pieszczoty bowiem z drobnemi niemowlętami rozrywały jéj smutek. Komiat wymknąwszy się Lachom biegł ciągle ku téj stronie gdzie tęskniła jego ukochana Bożena; co chwila napotykając Lachy, to ukrywać się musiał przed nimi, to z pojedynczemi walcząc zabijał — aż wreszcie stanął pośród chaty i zo-

baczył smutną Bożenę. Komiat chociaż książe nie mieszkał w bogatym zamku jak Litewskie pany, ale w małym ustronnym dworku pędził zawsze, gdy w pokoju, samotnie dnie i noce z Bożeną. — Zaledwie przybiegłszy ujrzał jéj smutne spojrzenie, bladość jéj lica, zdala dał się słyszeć huk trąb i kotłów Lackich — Bożena na to hasło zadrżała z radości, bo ona marzyła sobie zawsze o tem pewno, że jéj rodzic pomści się kiedyś jéj krzywdy i wynaleźć ją potrafi. Gdy posłyszała mówię odgłos trąb, wojenny śpiew swoich braci, klasnęła w dłonie radośnie — uśmiech zaigrał na licach i wołała: « Boże wielki, wysłuchałeś prośb moich ach! to ojciec mój ciągnie z drużyną przyjaciół aby mnie wyrwać z rąk nieprzyjacielskich » Zaledwie jednak tych słów domówiła, zniknęło wesele, zniknęła ta radość — bo odgłos surm wojennych na borze inne w sercu Komiata zrodził uczucie. Komiat widział i niebezpieczeństwo postradania życia, i niebezpieczeństwo utracenia Bożeny. Trwożny o to wszystko przyskoczył do Bożeny i wołał: « uchodźmy! uchodźmy najdroższa! » Ale Bożena nie chciała postąpić i kroku — opierała się to prośbami, to dumą, a Komiat drżący, co chwila widzi wzrastające niebezpieczeństwo — Nareszcie chwyta Bożenę za białe ręce, ciągnie za sobą; upada Bożena om-

dlono, chce ratować ją Lida i Aldona, ale Komiat zawinął w rantuch, wraz z dziecięciem które przyciskała do piersi, Bożenę, i w las uchodzić począł. Lida, z Aldoną drugie pochwyciwszy dziecię Komiata i Aldona swoje dziecię małe w tajemnym ukryły lochu, gdzie do dnia dosiedziały następnego. Komiat zaledwie wybiegł z chaty i skrył się w gęstwinę, ujrzał za sobą kilku uciekających przed Lachami Jadźwingów i razem w jedną z nimi zdążał stronę. Dostrzegli uciekających Lachy i puścili się w cwał tą stroną; konie ich przecież nie mogły sunąć tak chyżo jak Jadźwinga uchodzić przez znajome potrafił manowce: lecz w kilka chwil skończyły się manowce nieprzejrzane i las otwarty wyniosły zasłonić niezdołał uchodzących. Szparkie Lachów strzały świsnęły i leciały na Jadźwingów co chwila, rozproszyli się oni w różne strony, a Komiat zdążał ile sił stało z ciężarem swoim w najniedostępniejsze knieje. Krzyk Lachów odzywał się co chwila groźniej i bliżej — a ten krzyk dodawał tylko siły Komiatowi więcej. Aż strzał kilka świsnęło znowu, jedna z nich przeszyła bok Bożeny owiniętej rantuchem, druga przebiła ramię Komiata, ramię co dźwigało Bożenę. Słyszał jęknięcie głuche bie-

dnej Laszki Komiat, aż tu dłoń zadrżała i rańtuch wyślizga się biały — a Lachy tuż, tuż w tropy. Z ramienia i głowy Komiata krew płynie, dłoń zakaleczona nie podejmie miecza: jeśli wstrzyma się na chwilę by unieść dalej Bożenę pochwycą go Lachy, Komiat zginie niepomszczony. Te myśli przesunęły jak błyskawica w myśli jego, jęknął głucho, wykrzyknął zemsty przysięgę i uchodził dalej zostawiając ukochaną Laszkę, której ani obronić ani uprowadzić już niezdolny. Kilku Lachów goniło jednak za nim i kiedy już osłabł i upadłby był za chwilę — a Lachy co raz doganiali go bliżej — trąba zabrzmiała jakiemś hasłem trwogi, wnet powrócili się Lachy, a Komiat runął osłabiony krwi upływem. Leżał tak długo, leżał do dnia białego, leżał dzień jeszcze jeden, spiekło mu usta pragnienie, osłabił go krwi upływ, aż ja znalazłem go szczęśliwie jak to już mówiłem.

« Wyzdrowiał ze wszystkiem, a Lachy już powróciły do siedlisk. Lut, drugi nieprzyjaciel Komiatów, coraz wzbijał się w potęgę i rozrządzał Jadźwingami jakby ich był książęciem, aż rada starszyzny w której znalazło się kilku wiernych Komiatowi przyjaciół, niszcząc Luta zamiary postanowiła, że nie Lut sam jeden ale starszyzna

rządzić będzie tymi ostatkami ludu, którego ledwie na cztery zebrało się tysiące nad Bugiem, reszta bowiem poddała się Lachom albo pod ich zginęła mieczem.

« Przyszło nareszcie i do tego że Komiata wezwali przyjaciele, aby stanął między nimi i ramionami ich wsparty pomścił się na Luta krwi niesytego podstępach. Wzgardził tą myślą Komiat, bo zawsze był prawym mężem i nie chciał nigdy dla własnej tylko dumy rozlewać krwi bratniej i więcej jeszcze osłabiać Jadźwingi znękane. — Radziliśmy, błagali Komiata, ale... próżne były nasze zabiegi. — Jednego ranka wyszedł Komiat tajemnie, niepowiedziawszy nam i słowa, i odtąd nie słyszeliśmy już o nim. Lut tylko żyje, ale ukarany, bo upadły jego zamysły; chociaż mają wodza, wybrali sobie Olelka, a Olelko godny tego stopnia i działa zawzdy na dobro Jadźwingów. Więcej odemnie żaden o Komiacie nie powie ci Jadźwinga. Kochaj Olelka.... bo on wyrwał z nędzy ciebie, gdzie co chwila groziło ci niebezpieczeństwo: bo któż ochroniłby w chacie Lidy syna Komiata od nieprzyjaciół, chytrych zwolenników Luta? Olelko wynalazł Zdzisława, wychowywał go i utorował mu drogę do odzyskania prawem nale-

żącej mu godności... to wszystko zdziałał Olelko gorliwy o szczęście ludu — bez krwi rozlewu — łagodnością, dobrocią — i dzisiaj — sami nieprzyjaciele... nazywają go ojcem.»

Wysłuchał Mleczko opowiadania Krywe krywejty, dowiedział się wiele, a jednakże serce jego nie nasyciło się jeszcze: chciałby jeszcze zobaczyć się z Lidą, chciałby co od niej usłyszeć. Już przeminęło wszystko w sercu młodzieńca: i miłość dla Diwany i marzenia o bojach z Lachami; nie staną więcej na myśli Litewskich panów zamki obronne — zemsta uleciała gdzieś daleko — i tylko miłość synowska, tęsknota za nieznanym mu ojcem. Mleczko o niczém nie myśli, tylko jakby mógł znaleść Komiata swojego rodzica, a ten Komiat może gdzie w zamku dumnego Lacha w pętach w więzieniu jęczy jak braniec, lub ciężkie roboty podejmować musi nad dźwiganiem kościołów chrześcijańskich, lub zamków potężnych magnatów. A może ten Olelko gdzie bardzo blizko! I któż Mleczkowi powie o nim, po czemże pozna opuszczonego, wzgardzonego przez lud poddany książęcia? Jednakże on nie opuszcza tej myśli że musi znaleść Komiata swojego rodzica, przyprowadzi go pomiędzy Jadźwingów,

zemści się na chciwym krwi Lucie, a utraconą buławę Olelko ... chętnie odda prawemu właścicielowi — bo ten Olelko tak dobry.... on nie pragnie żadnej godności, on tylko chce być dla wszystkich ojcem, i ojcem go też zowią wszyscy Jadźwingowie.

Pożegnał Mleczko starców. — Czy pochwycił do serca rady i nauki ich dawane mu gdy odchodził — czy słuchał ich chociaż pilnie, ja tego nie wiem — dość że pobłogosławiony na dalsze życie od pobożnych kapłanów, opuścił ich unosząc dla nich wdzięczność, żal jakiś posępny na sercu, melancholią w duszy i żądzę oglądania ojca — żądzę niezwalczoną. Gdzie podziała się dzikość dawna Mleczka, to dziwno. Dawniej tylko żądza zemsty grała w sercu, bo wiedział tylko że jest Jadźwingą, a ród Jadźwingów wytępili Lachy, więc pragnął krwi Lachów. Dzisiaj dowiedział się jeszcze więcej o nieszczęściach swojego rodzica zrządzonych przez tychże Lachów, jednakże obraz tych wrogów ani na chwilę nie zadraźni myśli, a zemsty żądza ani na chwilę sercem nie uderzy.

Tak Mleczko raz sam przecierpiał to znowu klęsk nasłuchał się wielu, i traci powoli dzikie w sercu uczucia, przed chwilą wrzące

20*

tak silnie — niedawno jeszcze zabił Lacha i barbarzyńską z krwi jego wyprawiał Bogom ofiarę, dzisiaj myśli tylko o rodzicu nieszczęśliwym, i tak mu z tem błogo, równo smutno. — Już opuścił progi świątyni, opuścił niwę zasłaną kościami poległych ojców — spieszy gdzieś w lasy — spieszy do chatki Lidy.

# 7.

W kaplicy zamkowej Wojewody brzmiały organy. Wojewoda, jego małżonka i dworzanie w cichości zanosili modły do Pana zastępów, a lud zebrany około podwoi szeptał pacierze, rojąc sobie o Bogu tak, jakim go widział w ółtarzu; tak go czcił i tak sławił, jak niedawno przed trzema wiekami bałwochwalcy przodkowie — po których dotąd zachowuje obrządki i obyczaje. Kapłan w pontyfikalnych szatach sprawiał Bogu ofiarę: to światło rzęsiste bijące z ółtarza, ten gwar przytłumiony modlących się, zmięszane z organem poważnie chórowo brzmiącym, przejmowały duszę i unosiły gdzieś

w niebiosa, kędy sama prawda i Bóg jej Twórca!

Około kolumny zdala od tłumu stoi Zdzisław zadumany. Wpatruje się w obrządek święty i ani modli się, ani ofiary sprawowanej Bogu nie rozpamiętywa, tylko roi o przeszłości naddziadów potężnych, — roi o Olelku którego tak pragnie oglądać, — roi o Helszce, której radby zapomnieć jako Jadźwinga, jednakże kochać musi jako Zdzisław, jako ten lat dziecinnych towarzysz, co podzielał jej zabawy w rówienników i rówienniczek kole. Spojrzy do koła siebie, widzi zebranych w Chrystusie braci których w jedności wiary kojarzy miłość bliźnia jakby z jednej matki rodzonych dzieci — A Olelko cóż on rozpowiadał Zdzisławowi? Oto że Bogi Jadźwingów — jedne grzmią piorunem, drugie władają piekłem, tamte przyjazną dłonią ochraniają lud, inne czyhają na tego samego ludu zgubę — a wszystkie pragną ofiary z krwi zwierząt, z krwi ludzkiej. — Tej krwi dostarcza nienawiść, zemsta, tak dzikie, tak twarde namiętności. — Jakże okrutne muszą być te bogi! — Zdzisław spojrzy w swoje serce, tam samej łagodności mieszkanie — tam sama miłość i wdzięczność. Olelko pokazuje mu zgliszcza,

gdzie tysiące poległo jego przodków — a tym wojowuikom wydarli życie Lachy; — dotąd po lasach znajdziesz popalone dworce i chaty Jadźwingów, panów i ludu, a te dworce w gruz zmienili Lachy; — dotąd tam znajdziesz czaszki drobnych dziatek — te dzieci drobne pomordowali Lachy. — O! Zdzisław wtedy szaleńcem; w jego sercu dzika wrzawa. — Jednakże wróci pomiędzy tych Lachów i widzi męże spokojne, cnotliwe, co w pokoju uprawiają rolę i w rodziny kole pożywają własnej pracy kęs chleba; napadnie Tatar, Prusak abo Litwin, wtedy mąż od pługa chwyta za miecz i bije pogany — wtedy tylko Lach wojownikiem i odpłaca zniszczeniem za zniszczenie. Obcuje Zdzisław w pokoju pomiędzy tym rodem co mu przed chwilą zaprzysięgał zemstę, i nie może nienawidzieć nawet nikogo z kim obcuje. — Wojewoda kocha go jak syna i co chwila miłości ojcowskiej daje mu dowody. Starosta wesoły, krotofilny, na łowach śmiały, w boju waleczny — a w domowej zagrodzie dusza każąca się wszystkim co ą znają kochać. Sąsiedzi, starzy towarzysze braci Wojewody, oni zupełnie do siebie podobni, a kiedy Zdzisław spojrzy na niektórych

co okrutnie mścili się na Jadźwingach, kiedy spojrzy na Gerwazego co ponury milczący jeśli się odezwie to chyba ze skargą na te pogany co wymordowali jego rodzinę całą — każdy chowa po Jadźwingach pamięć jakiejciś krzywdy. — Ach, kied y wspomni na to wszystko Zdzisław, kiedy spojrzy na ciche cnoty poczciwych obywateli, mimowolnie dreszcz go przejmuje, sam nie wie co z nim dzieje się prawie, i tylko staje mu na oczach, na myśli, lud dzikszy jeszcze od Tatara, w krwi nurzający się samej, smakujący w mordach i jękach jak w roskoszy — to Jadźwingowie! — Zdzisława serce nie pragnie wtedy tak gorąco zemsty na Lachach za klęski przodkom zadane i tylko sam szepcze do siebie:

— Jam Jadźwinga!... o Boże wielki! na cóż mi zachowałeś żywot pośród tyla śmierci, tyle zniszczenia, poco mnie doczekać tych lat męzkich było? Żyję pomiędzy narodem co tyle krzywd doznał od moich przodków — Wojewoda przybrał mnie za syna, bom synem Bożeny jego córy, bo mnie około jéj trupa znaszedł — lecz gdyby mnie był spotkał na rękach jakiej z Jadźwingów rodu matrony, pewno krwią moją byłby miecz swój spluskał — by zginął syn

barbarzyńcy, coby kiedyś podobnie ojcom swoim krzywdził sąsiednie ludy Lachów albo Rusi. A może jak ten mały Tatarski braniec posługiwałbym wzrosłszy przy pańskim stole... A potém... w czémże i dzisiaj jestem szczęśliwszy? — jestem Jadźwingą: — choć na przybranego syna Wojewody, każdy pokaże ręką ze wzgardą «*to Jadźwinga!*» a z tem imieniem łączy się jęk tysiąca wojowników, tysiąca matek co im przodkowie moi wydarli męże, syny, córy — jęk dzieci osieroconych od matek i ojców. — Gdzie spojrzy Lach na mogiłę, na cmentarz ponury, dojrzy tam pewno wspominku jakiegoś okrucieństwa spełnionego przez moich rodaków. Ach! jakże wtedy trudno znieść spojrzenie człowieka, co z pogardą spogląda na syna rozbójniczego ludu — wtedy i serce boli — i duma gniewem mnie unosi.... O Boże wielki! Ileż ja cierpię!«

Tak sobie podumał, i w chwili nabożnej — w chwili modłów w kaplicy — i kiedy twarz zakrył dłońmi, i boleśnie ściśnione serce, ukorzona dusza zaprzestały myślić nieledwie, śpiew poważny chórowy dźwięczny zabrzmiał w kościele, organ drżący na falach powietrza dźwiękami niebieskiej melodyi zestroił się ze śpiewem — spiż zakołysany na wieży uderzył brzękiem — wszystko to ty·

le urocze, tyle wzniosłe, że Zdzisław zachwyciwszy owej w duszę harmonii podniósł w górę i wypogodził nagle czoło. Spojrzał w niebo, zdało się że prawdziwego ujrzał Boga i modlił się w te słowa:

— O wielki Twórco i nieba i ziemi, Dawco mojego żywota! — ja wielbię, ja czczę i kocham Ciebie — Ty zlituj się nademną; wlej w moją duszę więcej siły do pozostania niezachwianym twojej prawdzie w wierze!...»

I młodzieniec natchniony jakimś ogniem niewidzialnym upadł na kolana, modlił się gorąco. W tem ucichł gwar i organu brzmienie, kapłan zaśpiewał Ewangelją świętą — a ta prawda boska zachęcała lud tak prostą przypowieścią do miłości bratniej, do skromnego wstrzemięźliwego życia, że w słuchających sercach słodycz rozlewała się miła, pokój nieznany, a zawsze pragniony. — Ta prawda przeniknęła i do serca Zdzisława — podniósł ręce ku niebu i razem ze zgromadzonemi dziękował Bogu za ogłoszoną naukę — prosił o ugruntowanie w wierze.

Skończyła się Msza swięta, powróciła do komnat cała zamkowa drużyna; był to dzień świąteczny, wolny od pracy, wolny od zajęcia. — Po obiedzie Wojewoda zasiadł w swojej komna-

cie z nadwornym kapelanem, pobożnym staruszkiem, i taką zaczął z nim rozmowę:

— Dziwno mi co stało się Zdzisławkowi: młodzian dawniej tyle wesoły, staje się coraz posępniejszym, smutniejszym.

— Jak to bywa na świecie, gdy krew dojrzeje znajdą się wnet amory... pono to Zdzisławko ma się ku Helszcze córce Starosty — toć i cały kłopot młodego serca..

— Już ułożyliśmy się ze Starostą o to małżeństwo naszych dzieci — poznałem ja do razu młodzieńca ku owej dziewczynie skłonności, i w czas uprzątnąłem mu w tem zawady. Niepodobna aby Zdzisław z podszeptów dworzan nie dowiedział się istoty rzeczy — powinienby przecież, znając swoje szczęście, nie tak smucić się jak było przedtém, ale owszem wrócić do dawnego humoru...

— To dziwna, w istocie; wiedzieć już musi o przyszłem swojem z Helszką małżeństwie... a posępność nie schodzi cale z jego czoła.

— Może to, i najprędzej — dorasta, dojrzewa rozum i poznaje co chwila rodu swojego uniżenie i pogardę... Przez Boga! czyliż nie płynie w nim krew Chrześcijańska, krew moja! czyliż śmiałby zarzucać mu kto ród jego... Bóg świadkiem, nie zniósłbym tej krzywdy!.

— Ależ, po co wam unosić się, Wojewodo? wszakto już lat dwadzieścia mija, a Zdzisławowi nikt pochodzenia nie wyrzucił na oczy, bo jego czyny, jego serce i dusza aż nadto ujmują tych wszystkich z któremi on obcuje... Ręczyłbym was nieledwie, że nic jak miłość, złego humoru jego przyczyną... To niepodobna, on nie wie nic dotąd o tem co go czeka — któżby mu to powiedział? Wojewodzina sama nie wie o niczem, dworzanie tym bardziej. Oto, jeżeli chcecie uspokoić smutek serca Zdzisława, uczynicie najlepiej, przyzwawszy go do siebie wybadać go powoli i dać mu poznać co się święci.

— W istocie, mówił Wojewoda, usłuchać warto rady waszej, ojcze. I wnet przywołam go do nas — pomocą waszą wsparty potrafię młode serce wybadać.

Niedługo przywołany Zdzisław stanął przed Wojewodą — był już zasępiony nietyle, jednakże w oczach nie było czystego pokoju; jeszczę tam często gęsto przesuwała się chmurka; dreszcz przebiegając w sercu, raz wybijał krasę na lica, to znowu pobielił ję bladością. Nazwyczajony do łaskawości, aż do pieszczot posunionej prawie — stał nad surowość wiekowego obyczaju, blisko przybranego ojca; już nawet miał za-

pytać: «Czego żądacie, ojcze?» kiedy Wojewoda tak go zagadnął:

— Dobry Zdzisławie, wiesz że jesteś starości mojej jedyną pociechą i nadzieją; przybrałem cię za syna, chociaż jesteś wnukiem z prawa natury, bo córa moja dała ci życie. Mając spuścić ci całe mienie, i imię, i prorogatywy, chciałbym i szczęście zlać na ciebie: a tymczasem dziwnem zrządzeniem losu, co chwila, gdy wzrastasz, nie widzę w tobie wesela więcej, ale coraz posępniejsza boleść osiada na twojem sercu, chmura sępi czoło i tajemne jakieś udręczają cię troski. Dobre dziecię, nie potrzebuję powtarzać tobie że kocham cię bardzo: jeżeli więc masz jakie troski na sercu, wynurz mi je śmiało; może złemu byłbym zaradzić w stanie.

Niespodziewanie zagadnięty Zdzisław nic nie odpowiedział od razu i tylko spuścił w dół oczy, a lica jego oblały się rumieńcem....

— Powinieneś synu, rzekł kapłan, na łono przybranego rodzica składać wszystkie twoje cierpienia i szukać tam na nie ulgi. — Nie taj nic coby chociaż najskrytszem sądziłbyś mieć dla wszystkich — bo Bóg w niebie pierwszy, a ojciec drugi. Jesteśmy wszyscy dziećmi Boga, On ludzi ćwiczy w szkole doświadczenia, a ci co już przeszli tę szkołę nauczają drugich; tak, sy-

nu, Bóg rządzi ludźmi przez ojców pokoleń. Bóg widzi z niebios wszystkie ludzi sprawy, nic przed nim ukryć nie zdołasz: gdybyś więc zataił przed ojcem lub opiekunem cokolwiek, grzeszyłbyś przeciwko Bogu samemu. Bóg jest przyjacielem swoich dzieci, i w serca rodzicielskie taką wlewa miłość, że rodzice cały żywot poświęcają dla uszczęśliwienia tylko swojéj dziatwy. Jedni w pocie czoła grzebią w roli, aby mogli potomstwu zostawić jaki dobytek coby ich pamięć dochował w miłości rodzinnéj; — inny pracuje na to aby im znaczenie u ludzi wyjednał; inny w końcu krwią własną okupuje szczęście rodziny — walczy, krew leje, aby wsławione swoje imię oddał synom. Jakże te dzieci powinny być wdzięczne dawcom żywota, lub opiekunom, którzy od dzieciństwa około ich wychowania podejmują trudy! Dzieci zatém powinny być zawdy dla starszyzny uległe i szczere, bo tam potrafią znaleść jedynie ulgę w nieszczęściu, radę w przeciwieństwach i pomoc w potrzebie. — Oj Zdzisławie, podwójnemi obowiązkami związany jesteś z Wojewodą — raz związkiem krwi, drugi raz związkiem jego dobroci i przywiązania ku tobie. Chciej mu więc odpłacać za jego względem ciebie podejmowane trudy — za dobroć je-

go serca, a nie odpłacisz ich inaczej jak szczerością i otwartością względem niego.

Gdy to mówił starzec, Zdzisław i słuchał słów jego pilnie i rozpamiętywał w duszy coś gruntownie... a chwiał się tym mocniej, — rzucał oczami w różne strony bez celu. — Już i kapłan skończył nauki, a on waha się jeszcze, i tylko snuje się po myśli to Olelko plątający go w sieci swego fanatyzmu, to Helszka czarująca go oczami nieporównanej piękności. Zdzisław chwieje się, i zapierać nie śmie że smutno sercu, bo trudno to zapierać co aż nadto wybitnie malują lica i obchodzenie się zimne z ludźmi, — i powiedzieć nie śmie co sam nie wie. Bo cóż by powiedział Wojewoda na miłość ku Helszce? — Nie byłożby znowu zdradą wyjawiać postępowanie Olelka? — Chwieje się młodzian — bo dzikość Jadźwingi i upór fanatyczny wszczepiony przez Olelka, słodkie zaufanie i wiara w miłość bliźnią nauczane przez pobożnego kapłana i przez Wojewodę — rozrywają serce, szamocąc niem z równą siłą.

Wojewoda widząc to pomięszanie Zdzisława rozumiał że nieśmiałość zamyka mu usta, a więc uprzedzając długie ociągania i wahanie się młodzieńca tak przemówił do niego:

— Jeżeli nie zwodzimy samych siebie ufając przeczuciom i spostrzeżeniom serca i oczu — Zdzisławie, toć nie co innego smutku twojego przyczyną jak Helszka starościanka...

— Helszka!?. wymówił Zdzisław z obawą i zadziwieniem — a w sercu tak na jej imię zrobiło się przykro, taki dreszcz wstrząsnął całem ciałem, że znowu zdziwił się Wojewoda niemało i mówił:

— I cóż dziwnego w tem, mój synu? czyliż lękałbyś się wyznać przed ojcem że kochasz Helszkę?

— Ach, ojcze, ja kocham ją, kocham... próżno to chciałbym utaić przed sobą nawet samym... kocham ją co chwila więcej i co chwila więcej dlatego cierpię....

— Ha, ha, ha, dziwny młodzieńcze! otóżto macie, ojcze kapelanie! kocha najpiękniejszą z Lackich dziewic i to dla niego cierpieniem!.. Zdzisławie, cóż cię uciskało gdyś kochał? czyliż miłość podobna do cierpienia? — Mnie zda się znowu że nadzieja to roskosz, a każdy kto pokochał młodą dziewicę, ten żyje tylko nadzieją... a nadzieja to szczęścia połowa, połowa roskoszy!...

— Ona była cierpieniem dla mnie.

— Rozumiałżeś więc że Zdzisław, syn przybrany Wojewody, nie może dostać w zamężcie staróściankí którą kocha? Ach Zdzisławie, jeżeli tak rozumiałeś, było to ubliżeniem i dla mnie i dla ciebie samego... Wiedz młodzieńcze, że dawno poznawszy skłonność twoją, dawno ułożyłem wszystko ze starostą. — Dawnym obyczajem idąc nie mówiłem ci nic o tem, ale dzisiaj litując się twojemu smutkowi i cierpieniom, nie taję dłużej przed tobą że Helszka będzie twoją!

— Helszka moją żoną?!... nie, to być nie może!... on mi zakazał.... Czczę prawego Boga, nie opuszczę go nigdy... jednakże — jednakże zdradzać nie mogę tego co szesnaście lat poświęcał dla mnie.... On mi zakazał! tak, Helszka nie może być moją żoną!...

— Kto zakazał ci, młodzieńcze? Czyliż nad tobą jest władza silniejsza nad przybranego ojca, a nad Helszką kto włada jeśli nie starosta? mówił kapłan.

— Ja nie pojmuję słów twoich, synu, mówił zdumiony słowami Zdzisława Wojewoda.

Zdzisław zadrżał i spojrzał na Wojewodę, spojrzał znowu na świątobliwego kapłana pełen obawy i trwogi, bo powiedział już za wiele i wycofać się niezdolny.

— Synu, jeżeli ród twój który z Jadźwingów prowadzisz staje ci na myśli, jeżeli obawiasz się pośmiewiska nieprzyjaznych jakich znaleść mógłbyś ludzi — zaprawdę, ta obawa twoja dziwaczna, nierozsądna. Jadźwingowie upadli oddawna — ostatek ich przyjął wiarę świętą i zmieszany z naszym ludem co chwila więcej traci dawną dzikość i nam podobniejszym się staje. Ty, synu, odziedziczywszy moich przodków wsławione imie, czynami twojemi dobijając się sławy, zagładzisz pamięć twojego rodu i staniesz się założycielem chwały nowego domu. Jako Polak, bo urodzony z Polki, masz prawo dobijać się chwały mieczem i dobijać się dostojeństw zasługą — i cóż cię taką nabawia trwogą?

— Ja mam zostać Polakiem? czyliż we mnie nie płynie krew Jadźwingów, nie jestemże synem dzielnego Komiata? możeż krew przemienić się w człowieku?

— Tyś synem Komiata? i któż powiedział ci o tém?

— Ten... co zakazał kochać Laszkę, bo Laszka sprowadziła na lud nasz najokropniejsze klęski i upadek okropny....

— Jak widzę, młodzieńcze, z tobą muszą porozumiewać się Jadźwingowie twoi rodacy... Synu, wyznaj mi szczerze, zaklinam cię na wdzię-

czność, jeśli na nią choć w iskierce twojego zasłużyłem sobie serca — opowiedz mi wszystko szczerze, niechaj cię wyrwę z tych szatańskich sideł..

— Miałżebym go zdrądzić?...

— Jestże to zdradą pokazać nieprzyjaciela który w zgubne pląta cię sieci? Zdzisławie, zaklinam cię na wszystko co tylko drogiem ci na świecie, powiedz mi, wyznaj szczerze, niechaj cię wyrwę z grożącego ci niebezpieczeństwa którego nie znasz.... nie przeczuwasz...

— Ach, ojcze, ja was miłuję nad życie! gdybym znalazł nawet rodzica mojego Komiata, nie wiem czy kochałbym go więcej; — jednakże obawiam się zgubić... go... bo on kocha mnie bardzo i dał mi przywiązania swojego dowodów tak wiele..

— Zdzisławie, Jadźwingowie są prawda że mstliwi, ale dzisiaj już za słabi aby nam szkodzić mogli... Czegóż więc żądasz abym cię upewnił? że nie zgubię nikogo z ich rodu, tego nawet który mi wydrzeć usiłował ciebie?

— Wasza dobroć dostateczną mi w tej mierze rękojmią; jednakże w was zawsze obowiązki względem monarchy i kraju są pierwszemi.

— Dla tego dajcież mi wprzódy słowo rycerskie a.. objawię wam wszystko....

— Masz je, mój synu — przyrzekam że mu przebaczę zupełnie.

Zdzisław chwiał się jeszcze, ale po chwili namysłu, po napomnieniu łagodném i upewnieniu ze strony kapelana, w te odezwał się słowa:

— Ten co powiedział mi że jestem synem Komiata Książęcia Jadźwingów — on szesnaście lat nad moją jeszcze kołyską i do ostatka śpiewał pieśni o Jadźwingach, opowiadał mi wielkie ich czyny, nauczał czasami rodzinnej mowy.

— Jest to Olelko... zgadłem?

— Tak... ojcze....

— Jakież więc mogłyby być zamiary Olelka? jestże on Jadźwingą?

— On Jadźwingą wojownikiem, a że był dzielnym, dość na jego spojrzeć lica: liczne tam szramy pokazują jakim był w wojnach. Olelko obiega wszystkie pokolenia Jadźwingów.

Tu opowiedział młodzieniec wszystko jak wypytywał się Wojewoda co wiedział o Olelku i Jadźwingach, a kiedy skończył — Wojewoda w te odezwał się do niego słowa:

— Rozsądku zdrowego przywołaj, Zdzisławie; pomyśl tak jako na twój wiek przystoi — a osądzisz Olelka jako zagorzalca bez zastanowienia. Umiał pobudzić w tobie ogień zemsty pragnący, malowaniem klęsk na twój ród upadłych — a któż był ich przyczyną? — Od dwóch wieków, ile zapamiętają dziadów i naddziadów powieści, Jadźwingowie nieczeskromieni bałwochwalcy żyli tylko okrucieństwami i rabunkiem. Widziałeś synu Tatary, którymi brzydziłeś się tak słusznie jako ludem łupieżnym i nikczemnym. Takimi byli i Jadźwingowie: życiem ich mordy — krwi niesyci — roznosili śmierć i zniszczenie dokoła, żyjąc wydartym kęsem chleba sierocego. Okrucieństwa ich oburzały sąsiadów — a Mazowsze co najwięcej cierpiało od nich, niezdolne samo w sobie znaleść sił dostatecznych na ich poskromienie, nie pokosztowało i na chwilę od nich spokoju. — Gdy i na siłach coraz wzrastali, a dzikość ich górowała co chwila — wypadło polakom wziąść się do oręża by skutecznie poskromiwszy, raz na zawsze położyć koniec ich rozbojom. — Pierwsza klęska zadana przez Bolesława Pudika nie ustatkowała; ich srogości, słabi sami w sobie, łącznie z Litwą puszczali aż w Mało-polskę zagony. Leszek pogonił za niemi z wojskiem, a jęk tysiąca ofiar, płacz zgwał-

conych dziewic, lamentujących sierot, ścigał za nimi w tropy wołając zemsty. Ja sam jak to słyszałeś już po kilka razy, miałem ku nim żałoby najwięcej, i mszcząc się najokrutniej tak jako i oni nie szczędzili naszego ludu, wytępiłem ich najwięcej. — Nie usta zawziętego opowiadają ci to nieprzyjaciela — mówię jako twój miły — wierzaj, że stawiłem ci obraz rzeczywisty przed oczy. Mógłżebyś ty synu łączyć się z tymi Jadźwingami? czyliż umysł twój, dusza twoja nie podniosły się nad ich barbarzyństwa dzikie? Spojrzyj w twoje serce Zdzisławie i przypatrz się jego skłonnościom, jak gdybyś rozważał zupełnie tobie obcego — usłyszyszże tam głos potakający dzikim Olelka zamiarów? — zdolnyżeś połączyć się z rozbójniczym ludem i zginąć w tym rozkiełznanym gminie, czyli też wychowany w zasadach wiary prawdziwego Boga, odziedziczyć imie znamienite i gonić w szrankach życia za sławą — za wielkością jak mąż, jak rycerz prawy?

Nic nie odrzekł Zdzisław, dumał tylko głęboko — Olelko wciąż stoi na myśli, lęka się Zdzisław zdradzonego przyjaciela i chwieje się niewiedząc sam co ma uczynić — gdy Wojewoda znowu przekładał, kapelan wspomógł słowami Chrześciańskiej prawdy — już niesłysza-

łem co powiedział Zdzisław — dosyć że wyrzekł się Olelka i Jadźwingów. Czy jego serce tak było słabem, czy też Wojewody i kapłana tak przekonywające słowa, nie znam i tego; reszta tylko z tej rozmowy taką była:

— Zdzisławie, kochałeś bez nadziei, a nadzieja wróciła w twoje serce. Starosty ze mną przyjaźń trwa od kołyski samej, zerwać jej niezdolna siła żadna, bo serce każe co chwila wzmacniać wiążące nas ogniwa. Uradziliśmy połączyć was z Helszką: powiedz synu, kochaszże ty Helszkę, czy inną piękniejszą z dziewic?

—Ojcze, nie znam nad nią piękniejszej; nie znam godniejszej kochania.

— Pierwszy listek zielonej wiosny, co ustroi zielenią łąki, ustroi was w ślubne wieńce. Bądź cierpliwym, kochaj stale, zapomnij o Olelku i Jadźwingach.

Zdzisław znowu nic nie odrzekł tylko uściskał kolana Wojewody, a na licach jego radośny uśmiech kołysał się swawolnie.

Mijały ranki, dnie, wieczory zimy Zdzisław powoli weselszy, rzeźwiejszy, aż też i w domu weselej, cieszą się wszyscy jakby nowe przybyło szczęście.

Jednego ranka z brzaskiem pierwszej wiosny, Wojewoda z Zdzisławem i dworzanami przypa-

trywał się słońcu złocącemu piękny krajobraz. Stali wszyscy na ganku, aż tu z bramy zamkowej widać posłańca jadącego spiesznie, a na wici trzyma pismo królewskie wzywające na wojnę, na kraju napadniętego od Litwy obronę.

Spustoszone Podole i ziemie Lubelskie: pomimo sojuszów wtargnęło kilka tysięcy Litwy do kraju polskiego, pomordowali wiele ludu, w plon zabrali dziewice, obdarli z bogactw kościoły.

Wojewoda odezwał się do Zdzisława:

— Ród mój, synu, niedawny; rodzic mój Przybysław z Rostkowic pierwszy założył imienia fundament. Ty odziedziczysz po mnie dwóch poprzedników chwałę: pamiętajże czynami swojemi przysparzać imieniowi świetności. Przykro to pono sercu kochać i daleko od lubej pogonić nieprzyjacioły, szukać śmierci co chwila. — Pierwej jednakże nim będziesz ojcem, powinieneś zasłużyć się. Widzę znowu na czole twojem smutek. Czy żałujesz tego coś nam przyrzekał niedawno?

— Ach! nie żałuję ojcze — to mnie tylko niepokoi, że między Litwą znajdą się Jadźwingowie i mnie przyjdzie może z własnym bić się krewnym, którego nie znam; a choćby tylko zabić rodaka, czy i tak nie będzie to zbrodnią wołającą o pomstę do nieba.

— O nie, Zdzisławie! porzuć te myśli, Bóg nie ukarze cię jeżeli zawdy karać tylko będziesz zbrodnie. Jak dziką jest Litwa, jak dzicy Jadźwingowie jeżeli są którzy pomiędzy niemi, na to nie trzeba dowodu.

— Dzikość Jadźwingi byłaby tylko odwetem. I tak jest w istocie: Jadźwingowie mszczą się jedynie krwi własnej przelewu; mało ich zostało, klęski ich były wielkie, a w duszach dzikich zemsta tym gorętsza.

— Zawierz mi, dziecię! Już siódmy krzyżyk minął i ósmy dochodzi, a co pamiętam nie dowiesz się z opowiadań tysiąca. — Od pierwszej młodości kiedy dłoń zdolna była oręż podźwignąć, nie spoczywałem nigdy długo — a z Jadźwingami potykałem się bardzo wiele razy. — Zawsze Jadźwinga był dzikim, a dzikszym jeszcze od Litwy i Tatara; w tem jedna była ich cnota, że byli ludem odważnym, walecznym. — Jeżeli zaś i dzisiaj ostatki ich mięszają się do napadającej nasze dziedziny Litwy — już oni teraz niegodni żadnej litości. Słyszysz co chwila o morderstwach, o łupieży rozbójniczej po lasach co dnia nowej; zginął niedawno dzielny Rycerz Bełcha, młodzian tyle obiecujący po sobie.... znaleziono tylko kadłub jego, a poznali go po-

winowaci po godłach i zbroi... Niedawno kupcy ciągnący od Kijowa stracili cały dobytek w nad-Bużańskich puszczach, jeden tylko ocalał żywy, a co powiadał czy nie nasuwa podobieństwa do Jadźwingów w opisywaniu tych rozbójników co uderzali na tabór?

Zdzisławie, przykro ci słuchać tego, widzę to, ani też wyrzec z pewnością nie można w tej sprawie, że Jadźwingowie a nie kto inny byli winnemi tych zbrodni. O ile ich znam przecież, a znam doskonale nauczony własnych przygód doświadczeniem, że Jadźwingowie zdolni do podlejszych czynów to zaręczyć ci mogę — nie byłożby to uniżeniem się, spodleniem prawie dla ciebie, gdybyś łączył się z nimi, albo też oszczędzał krwi niepoczciwej? Widzisz do koła sąsiady możne, to Węgry, to Niemce, to znowu pogaństwo wschodnie; dochodzą cię powieści o tych ludach a i znasz także niektóre; powiedzże mi, dziecie moje, kto godniejszy szacunku: czy ten co otrząsnąwszy się z dzikości, wzbija się coraz wyżej i w cnotach chrześcijańskiej wiary ćwiczony staje się sławnym? czy ten, co kalając się w pyle barbarzyństwa upornie, co chwila staje się dzikszym?...

— Ojcze, na to pytanie znajdziecie w duszy własnej odpowiedź, w duszy każdego człowieka..... i ja tak czuję.

— A więc pamiętaj na to że jesteś człowiekiem i staraj się coraz godniejszym swojego jestestwa stawać mężem — zapomnij że dał ci życie Jadźwinga — rodzica twoją Polka. Otrząśnij się Zdzisławie stateczną wolą — bo zaręczam ci że wtedy dopiéro zaczniesz być godnym szacunku mężem, kiedy zapomnisz że byłeś kiedyś Jadźwingą!

— Tak, ojcze, przekonywam się o słów waszych słuszności — idę z wami na wojnę. Dopomagaj mi wielki Boże, abym co chwila stawał się godnym synem najcnotliwszego męża!

To mówił Zdzisław już z uczucia; już zrzucił z serca całą obawę — już wyrzekł się imienia ojców! — O gdyby stanął przed nim tej chwili Olelko, gdyby chociaż jeden akkord lutni Olelka zabrzmiał ponurym dźwiękiem i zapłynął do duszy młodzieńca, zerwałby z Lachami. Ale cicho było do koła; Zdzisław ściskał czule kolana Wojewody, a ojciec Kapelan zamkowy, co wszedł tej chwili do komnaty niesłyszany, i dowiedział się ostatniego postanowienia Zdzisława — podniósł ręce do Boga i zaniósł cichą do niego modlitwę. Wojewoda błogosławił przybranego syna, sciskając jego głowę i łza potoczyła się po szramiastem licu. A Zdzisław w objęciach Wojewody zawisnął długo jak gdy-

by wyzionąwszy z siebie duszę Jadźwingi. Towarzystwo i nauki powoli przekształcą zupełnie człowieka, zmienią grunt sam jego duszy. Tak Zdzisław już wyzuł się z cechy rodowej, z charakteru cechującego duszę Jadźwingów. Czuje że szczęśliwy gdy raz otrząsnął się i zaczął żyć jak mąż prawy — obiega wszystkich na zamku, z wszystkiemi wesoły, z wszystkiemi ucieszny; ale czy takim zawsze pozostanie? czy zniszczył w sercu i duszy rodu swojego znamiona? Tego nie wiem. —

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

# PRZYPISKI.

*Przypisek* 1) *do stronnicy* 7.

Kapela i mazowiecki taniec w XIII wieku, niechaj czytelnika nie rażą — bo jak muzyka tak i tańce znajdujemy pomiędzy dzikiemi nawet ludami. U nas w owym wieku dość już było poloru — a stary nasz polonez, mazur i krakowiak sięgają pewno i pogańskich czasów starożytnością swoją.

2) *do str.* 12.

*Pudik*, *wstydliwy* nazwany dlatego iże zostając w związkach małżeńskich z Kunegundą (świętą) córką Beli Węgierskiego króla — do śmierci zostawił ją dziewicą.

3) *do str.* 14.

Wspomina Bielski że na dworze Konrada był rycerz Przybysław z Rostkowic herbu Dąbrowa, który pobiwszy Jadźwingów przyprowadził Konradowi kilkunastu Xiążąt

tego ludu pojmanych, a za ten czyn nagrodził go Konrad dając mu Prasnysz miasto. Od tegoto Przybysława z Rostkowic herbu Dąbrowa, Kostkowie ród wywodzić mają według Bielskiego. —

4) *do str.* 15.

Było to roku 1240.

5) *do str.* 24.

Blanki, mury zamkowe, wyraz bardzo stary.

6) *do str.* 27.

Obacz Bielskiego kronikę wydanie Bohomolca Księga II. Karta 160 i 161.

7) *do str.* 55.

Rohatyna była to broń podobno najwięcej używana przy szturmie. Linde wspomina że czasami używano jej i na łowach także, polując na tury lub zubry, jeśli kto z odważniejszych z ręczną tylko bronią odporną uderzał na takowe.

8) *do str.* 72.

Kładę w usta Olelka opowiadanie głębokiej Jadźwingów przeszłości — bo zdaje mi się że i między narodami nieoświeconemi przechowują się podania mniej więcej prawdziwe chociaż upstrzone fantazją ludu. — Zkądby Jadźwingowie przyszli? tak opowiada Naruszewicz, co zebrał po różnych kronikach drobne ułomki:

„ Jadźwingowie czyli Jaćwierze, naród na teraźniejszem Podlasiu niegdyś siedzący, a od Kronikarzów naszych nieraz dla częstych wojen z Polakami wspomniony, zdaje się

ià ciż sami byli, których najdawniejsza starożytność Grecka i łacińska *Jazygami* nazywa.

„Za czasów Herodota, kilku wiekami przed Chrystusem, Jazygowie niemając jeszcze osobnego i oddzielnego od innych Scytów nazwiska, siedzieli pomieszani za Dnieprem z innymi Scytami, których tenże Herodot *Georgami* czyli *oraczami* i *Nomadami* czyli *pasterzami* nazywa.

„Pierwszy Strabon Geograf Grecki, tych Scytów oraczów i pasterzów Jazygami nazywał: z tej podobno przyczyny, jak domyśla się Sarnicki, że się około wołów i uprawy roli bawili. Posada którą im daje Strabon za Tyrogetami, zgadza się z powieścią Herodota, o Scytach, Georgach i Nomadach, to jest, że mieszkali za Dnieprem gdzie teraz Ukraina, ponieważ Strabon kładnie ich wyżej Tyrogetów, o których ze wszystkich dawnych geografów wiemy że siedzieli z tej i z tamtej strony Dniestru, Tyraz od starożytności greckiej nazwanego.

„Lecz za czasów Strabona musieli ci Jazygowie wyjść z za Dniepru i przeszedłszy przez Dniestr osiąść nad morzem Czarnem, część Wołoszczyzny i Tartaryi mniejszej nadmorskiej zajmując. Musieli też dla bliskości oręża Rzymskiego nad Dnieprem zamienić się po części w ludzi zbrojnych, ponieważ Owidyusz wysłany na wygnanie od Augusta, mając ich w sąsiedztwie, przyznaje im osobliwszą zręczność w strzelaniu z łuków. W sto lat potem jak ci Jazygowie z dalszej jakem mówił Scytyi w Dacyi osiedli; — zdaje się że porzuciwszy to powtórne siedlisko aż ku rzece Tibikus czyli Tysza poszli i między temi dwoma rzekami (?) nowe sobie siedlisko założyli jak to świadczy Pliniusz (Tom I. Ks. IV. § 25 kar. 466).

„Ta tak częsta miejsc przemiana dała pochop Ptolomeuszowi geografowi drugiego wieku po Chrystusie, że ich

Metanastami, co się w greckim języku znaczy *włóczęgami* nazwał. Tacyt w Księdze XII dziejów rocznych wspomina Jadźwingów, gdy mówi o wygnaniu z państwa Króla Swewów Wannina; w tem on miejscu, dotykając trzydziestoletniego jegoż panowania, powiada: — że barbarzyńcy słysząc ciągiem czasu znacznym ugospodarowane państwo Wannina, a przez to samo bogate, na nie następować zaczęli. Mówi dalej Tacyt: miał Wannin piechotę z swego ludu, a jazdę z narodu Sarmatów Jazygów złożoną; przemagającej potędze nieprzyjaciół bronić się mocnemi twierdzami uwarowawszy kraj, zamyślał; lecz nieskrowitość Jazygów niechcąca zwłoki czynić wcale, miejsce bitwie dała; którą Wannin, walecznie się potykając przegrał. Tenże się sam tego narodu geniusz i w dziejach polskich acz nierównie później, nieprzeistoczony dojrzy. O których, w drugiem miejscu Tacyt w Księdze XIX tychże dziejów rocznych, chwaląc Jazygów celujących inne narody barbarzyńskie jazdą, powiada: iż nawet w czasie wojny między Wespazyanem a Witeliuszem o państwo do wspólnictwa broni Rzymskiej przypuszczeni byli. Niewiadomo jest jak długo ci Jazygowie między pomienionemi rzekami Dunajem a Tyszą mieszkali. Zdaje się jednakże aż do czasu Hunnów; którzy wpadłszy do Europy, naprzód Dacyą, potém i obie Pannonie a z niemi i siedziby Jazygów opanowali.

„*Przed Hunnami usuwają się na Podlasie.* Bojaźń tej okrutnej barbarzyńców nawały, mogła bydź przyczyną wędrownym po tyle razy Jazygom, że umykając się od okrutnych Rzymskiego świata wrogów, przeszli po części góry karpackie, i aż w głębszej ku północy Sarmacyi gdzie teraz Podlasie, oparli się. Że zaś ci Jadźwingowie, którzy w teraźniejszem Podlasiu osiedli, byli ciż sami, których

niegdyś przodkowie z głębszej Sarmacyi do Dacyi weszli, mamy niejakiś ślad prawdy w historykach naszych Polskich Kadłubku i Bogufale; z których pierwszy pisując wojnę Masłowa z Kazimierzem Mnichem, kładnie między jego wojskami Getów i Daków; drugi zaś wzmiankując o wojnie Kazimierza Sprawiedliwego z Pollerianami, nazywa ich także Getami. Błąd Bogufała, który na temże miejscu nazywa Podlasianów: *Getticum seu prussicum genus*, ztąd podobno wyniknął, że Podlasianie byli sąsiadami Prusaków, i spółkę z niemi łotrostw i najazdów na polskie kraje trzymali. Prusacy innym wcale od Jadźwingów byli narodem Sarmackim, i bądź od niepamiętanych czasów starożytne Sarmatów Wenedów trzymali siedliska, bądź, jako chcą niektórzy, z północniejszych krajów Sarmacyi tam przyszli; Jadźwingowie zaś jakośmy wyżej mówili zkąd inąd do Podlasia przybyli.

« Uczony pisarz dziejów starożytnych Franków Jan Jerzy Ekkard, nie wiem z jakiego powodu mówi w T I. pod panowaniem Klotaryusza i Dagoberta królów, że ci Jazygowie czyli Jazechy użyczyli nazwiska swojego Czechom: jakoby od dawnych Jazygów, Jazechami czyli Czechami nazwani zostali. Przydaje także, że ci Jazygowie znaczyli toż samo, co Sylvicolae, albo mieszkańcy lasów.

« To ostatnie Ekkarda nazwiska Jazygów tłumaczenie, należałoby raczej stosować do Jadźwingów, którzy nie w Czechach, potem jak od Dunaju i Tyszy wyszli, ale w naszem Podlasiu teraźniejszem mieszkanie założyli. — Dla tej przyczyny Kadłubek i Bogufał pisząc o wojnach Kazimirza Sprawiedliwego z Jadźwingami, nazywa ich Pollesianami, to jest Podlasianami.

« Trudność jest najzawilsza podania potomności, kiedy ciż Jazyges, Jadźwingami od naszych pisarzów nazywani,

do Podlasia przyszli, którego mieszkańcami w późniejszych daleko czasach za owe z Rzymiany pobratymstwo byli. Niewiadomo pewnie, ażali się ten naród od Morza Czarnego w dwie strony razem i za Dunaj i na Podlasie udał? czyli też z między Dunaju i Tybisku rzek nawałą Hunnów wyciśniony, ile przemagających mocą i potęgą, przymuszonym został opuścić międzyrzeczne zasiedziałe kraje a udać się w Podlasie?

« Niezostawiona potomności w starożytnych dziejopisach wiadomość, kiedy Jadźwingowie Podlasie osiedli, samemi domysłami i podobieństwem bliższem ku prawdzie rzecz osądzić dozwala. Wiadome wejście Hunnów na Wołoszczyznę pod Balamberem, niezmierne mnóstwo ludu wiodącym, zwalczenie przez niego Gottów Gepidów, i pod rząd swój nagięcie, pewnie i Jadźwingom w ich sąsiedztwie będącym, lub poddaństwa, lub ucieczki wolność zostawowało, jako środek jedyny. Naród waleczny wedle podania starych pisarzów, a podług Ptolomeusza kładącego ich między średniemi Sarmatów hordami, nienazbyt liczny, musiał się mocnemu umknąć nieprzyjacielowi. Najpodobniejsze być może mniemanie, jak się rzekło, iż wejście Hunnów do Europy może się słusznie kłaść za epokę, jak Alanów części usunięcia się ku Niemcom, tak i Jadźwingów przeniesienia się w Podlasie «

Na tem kończę wypis z Naruszewicza o Jadźwingach; co zaś do ich wojen z Polską, włożyłem to w usta opowiadającemu Wojewodzie — a potem Olelkowi gdy o śmierci Komiata mówi. I tu trzymałem się wiernie faktów podanych od Marcina Bielskiego (k. 88. 152 etc. E. Bochomolca.)

9) *do str.* 73.

Hunnowie wyparli Jadźwingów, a ci wynoszą się na dzisiajsze Podlasie w głąb' północnej Sarmacyi.

10) *do str.* 152.

Biorąc nazwy bogów Litewskich dla bogów Jadźwingów, trzymam się tych podań historycznych co powiadają że Litwa, Prussy i Polesie zamieszkane były przez ludy jednego obyczaju i mowy. Powiadają nam pewne dzieje, że Jadźwingowie osłabieni przez Bolesława wstydliwego złączyli się odtąd z Litwą i czynili na Polskie ziemie napady. *Bielski Marcin* w Kronice swéj opowiada że ścigana Litwa z Jadźwingami przez Leszka Czarnego uchodziła pierzchliwie, a Jadźwingowie powstrzymywali ich tylko własnem zachęcając męztwem. Obszerniej opowiedziałem to w pierwszych rozdziałach mojej powieści.

11) *do str.* 157

Niechaj czytelnik nie robi sobie podobieństwa do nowoczesnych obrad w izbach lub parlamencie — z naszego Olelka zagajającego mową posiedzenia. Wcale nie chcę wystawiać się na śmieszność — i przypominam: że w najdawniejszej starożytności patryarchalnego życia ludów, starsi, królowie lub wodzowie wzywali zawzdy do porady doświadczonych mężów, a chcąc naradzać się z nimi musieli obrady zagajać jako się i dzisiaj dzieje i dziać będzie.

12) *do str.* 192.

Koczownicze ludy spustoszone przez samych siebie dziedziny, gdy wypadało im opuszczać, szukali w przemyślnem rozrzucaniu symbolów sposobu udzielania sobie wzajemnie myśli. Do dziś dnia jeszcze w okolicach Wielunia błąka się horda Cyganów nieliczna. —

Rzadko oni ( przed wydaniem osobnych policyjnych przepisów ) zamieszkiwali na jednem miejscu dwa lata. Przed sześciu laty ostatni raz mieszkając w tych okolicach widywałem w niedalekiem sąsiedztwie Cyganów. Z opowiadania wielu dowiedziałem się ich zwyczajów — a między temi sposób zawiadamiania się wzajem o przedsięwziętej podróży. Kiedy horda przenosi się na inne miejsce, co bywa zwykle o kilkanaście mil od dawnego poprzedniego koczowiska — zamiar powziąwszy szybko, rzadko całą massą wyrusza, bo rozpierzchła część większa dokoła po wsiach już to zarabia wróżbiarstwem, leczeniem koni i bydła, kowalstwem, a najczęściej złodziejstwem. Powracający do opustoszonego koczowiska po ogniskach poznają jakie powody zmusiły ich do przeniesienia się niespodzianego. Dowiedzą się po innych znakach w którą udali się stronę — a zazwyczaj opuszczają po drodze suche jednego gatunku zioła, lub znaki układają po drogach z kamieni, tak, że doganiający maruder do samego miejsca nowej siedziby niemyląc drogi trafi. — Nasi wieśniacy zaraz po wyjściu Cyganów, obawiając się zostawionych czarów lub choroby na gminę rzuconej — Cyganów bowiem za nieprzyjaciół uważają wiecznych — otóż zaraz po ich wyjściu rozrzucają kotliny, szałasy palą i rozmaicie *odczyniają* gusłami gusła. Jadźwingowie do ostatka byli w stanie natury prawie, tak jako Litwa do czasów Jagiełły — książęta chyba i znamienitsi wojownicy więcej miewali poloru. O Jadźwingów obyczajach nie pozostało nam śladu, gdzie więc kolorytu potrzeba *materyalnego*, powinien autor tworzyć go z podobieństwa sąsiadów. O ognisk znaczeniu do dziś na Wielkopolsce dowiedzieć się można z zachowywanego zwyczaju. Gospodynie po południu lub rano wychodząc w pole, dla mającej tam przybyć czeladzi lub mężów

zostawiają wiadomość w którą udają się stronę — a to przez ogarnięcie na kotlinie ognia. W pieśniach zaś Mało-ruskich, Polskich i Litewskich, wiele znajdujemy wspomnień o rzucaniu kwiatków, maku albo puszczania nitki od kłębka przez uprowadzone dziewice — a w klechdach pełno tego.



zostawiają wiadomość o której udzielają się gryce — i tą przez ogarnięcie na kąpiel ciała. W podaniach zaś Mało-ruskich, Polskich, i Litewskich, wiele znajdujemy wzmianek o rzeczeniu kwiatków ... albo porzucaniu nitki od kłębka przez wprowadzonej drzwi — a w układach pełno tego.